

**Polak pije skrycie ■ Kto zatrudnił dziecko w Sejmie ■ Dokąd na pielgrzymkę
Izrael gra na odwet ■ Stulecie Conrada ■ Czary Tima Burtona ■ Gdzie mieszka luksus**

Kraków 7 – 13 sierpnia 2024 nr 32 (3918)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**IGNACY
DUDKIEWICZ
O IMPERIUM
OJCA DYREKTORA**

**Dlaczego
nie ma
mocnych
na Rydzyka**



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

NOWOŚĆ!

Wygodna subskrypcja odnawialna Tygodnika.

7 dni za darmo, później o połowę taniej.

Nagradzane dziennikarstwo,
wydanie cyfrowe z płatnością cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu
- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup



KS. ADAM

Boniecki: Co słyszeć w ciszy

WIECZÓR, NA DZIEDZINCU JUŻ PUSTO, TYLKO jeden człowiek, starszy pan, spaceruje z niejakim trudem. Podchodzę do niego, wita się, siada na metalowym krześle i zaczyna gawędzić, najpierw o byle czym, ale on niepostrzeżenie przechodzi do wspomnień z długiego, zdumiewającego życia. Mija godzina, następna. Za chwilę zamkną bramę, musimy kończyć nasze nocne Polaków rozmowy. Odchodzi wsparty na lasce, ja zostaję z opowieścią, która powinna mnie dziwić, w którą na zdrowy rozum nie można uwierzyć. Może mój wiek, może ta noc, może zawody wykonywane przez starszego pana w jego długim życiu i całkowita jego normalność sprawiają, że nie ma we mnie ani śladu zwątpienia.

Mam w głowie dopiero co przeczytane artykuły Anny Niedźwiedzkiej o tym, czym jest pielgrzymka dla mieszkanki Ghany i wywiad Jacka Tarana z Izabelą Sołjan o pielgrzymowaniu, które publikujemy w tym numerze. Artykuły najzupełniej w porządku. Tyle można sprawdzić, udokumentować, zapisać. Ale, jak w opowieści tego starszego pana, nie wszystko można. Są rzeczy nie do udokumentowania, nie do udowodnienia, trudne do przyjęcia, a przecież przez to nie przestają być prawdziwe.

Trudno osądzić, czy każda podróż do świętego miejsca jest pielgrzymką, nawet jeśli tak się nazywa. Czasem turystyczna wyprawa zmienia się w pielgrzymkę, a pielgrzymka w turystyczny spacer. I nie wszystko zależy tylko od naszego nastawienia. Starszy pan na metalowym krześle mówi mi o rzeczach, których zdrowy rozum nie przyjmuje. On też by nie przyjął, gdyby ich nie przeżył. Ale je przeżył, bo jak sądzę, był uważny. To dlatego jego życie było inne niż życie tylu z nas.

Ghańskie rozmówczynie Anny Niedźwiedzkiej też opowiadają o dziwnych (dla nas) przeżyciach. Autorka ich potem nie zamieszcza w swoich pracach naukowych. I słusznie, bo w ta-



kich pracach nic po nich. Mam jednak dzięki ich opowieściom wrażenie, że słuch duszy mają mniej obciążony niż my, i odbierają długości fal, które dla nas są raczej niedostępne. Ale bywają przecież dostępne dla tych z nas, którzy nauczyli się wewnętrznej ciszy, więc są podatni na sygnały, na które większość jest już głucha.

Starszy pan opowiada o zdumiewających doświadczeniach. W tej opowieści uderza mnie jego gotowość, otwarcie. My badamy trendy, nurty, typowe zachowania i mechanizmy, które pomagają nam zrozumieć świat i się w nim odnaleźć. Ludzie tacy jak mój wieczorny rozmówca także pomagają, przypominając, że nie wszystko się mieści w znanych i sprawdzonych wymiarach, że są wydarzenia i sprawy, które odbiegają od naszych zwykłych doświadczeń.

Niedawno sam doświadczyłem zdarzeń niezwykłych. Chciałbym podziękować wszystkim, którzy je sprawili i pamiętali o moich dziewięćdziesiątych urodzinach. Chcę Wam podziękować za obecność: za obecność na mszy św. w kościele św. Stanisława Kostki w Krakowie, za koncelebrę i homilię, za przygotowanie uroczystości i przyjęcia w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Za pamięć. Chciałbym wyrazić moją wdzięczność za niebanalne, często bardzo osobiste listy. Niestety, nie czuję się na siłach wszystkim indywidualnie za nie podziękować. Wzruszyła mnie zarówno pamięć księdza kardynała, jak i list czytelniczki „Tygodnika”. Bardzo jest dla mnie ważna Wasza obecność fizyczna i duchowa, listy, dary i życzliwość. Wiem, że to wszystko było ponad miarę tego, na co zasługuję. Trudno, ale miło. Obejmuję Was serdecznie i postaram się pamiętać o wszystkich w modlitwie. ©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

Za nami już kilka uderzeń upału, a lato z pewnością nie powiedziało ostatniego słowa.

Czy zmiany klimatyczne zmieniają sposób, w jaki wypoczywamy?

Czy na liście ulubionych polskich celów wakacyjnych miejsce Chorwacji zajmie np. Skandynawia?

W „TYGODNIKU” TAKŻE: ■ WOLNOŚĆ WEDŁUG JANERKI ■ KŁOPOTY Z CIELESNOŚCIĄ MARYI ■ MODNI GEOPOLITYCY

Silne odczucie *déjà vu* wywołała u mnie lektura okładowego tekstu **IGNACEGO DUDKIEWICZA**. Nic dziwnego, Radio Maryja i imperium medialno-edukacyjne o. Tadeusza Rydzyka były tematami jednych z pierwszych tekstów, które pisałem (wspólnie z Michałem Kuźmińskim) jako świeżo upieczony dziennikarz „Tygodnika”. Takie emocje się zapamiętuje.

Odkopałem te teksty w twardych tekturowych oprawach kryjących rocznik 2007. Tak, wiem, można do nich dotrzeć kilkoma kliknięciami w naszym archiwum cyfrowym, lubię jednak korzystać z przywileju fizycznej obecności w redakcji, by czasem zajrzeć do magazynu z archiwalia i poczuć zapach tamtego papieru.

„**POCZUCIE OBLĘŻENIA** zwiera szeregi obrońców, to prawidłowość dostrzegana w socjologii już w XIX w. A strategia wyszukiwania wrogów podsyca poczucie oblężenia” – tak stosowany przez **RYDZYKA** sposób gromadzenia zwolenników tłumaczył nam wtedy socjolog prof. Piotr Sztompka. Mówił, że redemptoryście udało się znakomicie zagospodarować frustrację społeczną osób, które transformacja ustrojowa pozostawiła na lodzie. Medioznawczyni Katarzyna Pokorna-Ignatowicz zachęcała, by odwołując się do ulubionego zwrotu o. Rydzyka: „**PO OWOCACH ICH POZNACIE**”, zapytać o owoce działalności Radia: „Czy mamy znaczący wzrost religijności? Nie. Czy rozwiązano problemy, z którymi **POLSKI KOŚCIOŁ** się zmagają, np. laicyzację? Nie. Czy czujemy się bardziej częścią Kościoła powszechnego? Nie. Co za to mamy? Etykietkę polskiego Kościoła”.

Minęło kilkanaście lat i *nihil novi sub sole* – pomyślałem, czytając materiał Dudkiewicza. Polskie państwo i polski Kościół mierzą się wciąż z tym samym człowiekiem i tym samym problemem. W sumie moglibyśmy przedrukować nasze stare teksty... Czy chcę przez to powiedzieć, że nasz autor nie ma niczego nowego do powiedzenia? Absolutnie nie! Jego tekst ze znanstwem dowodzącym głębokiego researchu opisuje **LINIE FRONTU** na odcinkach Rydzyk–rząd i Rydzyk–biskupi.

Osiem lat rządów PiS-u pozwoliło zakonnikowi wzmocnić swoje imperium o kolejne filary. Pytanie o skutki bezkarności ojca dyrektora wybrzmiewa z jeszcze większą goryczą.

Ciekawe, jak jego **KRZYWY UŚMIECH** rozumieją polscy biskupi, w dużej mierze za to odpowiedzialni. Ja, patrząc na naszą okładkę, słyszę, jakby jej bohater mówił: „po mnie choćby potop”. ©P

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni” o początkach chrześcijaństwa.



**BOHATER
Z OKŁADKI**

32 Nie ma mocnych na Rydzyka IGNACY DUDKIEWICZ

*Rząd się zmienił, biskupi też się zmieniają,
a w dodatku kraj się laicyzuje, ale ojciec dyrektor
wciąż ma się świetnie. Świadczą o tym nawet fantazje
o jego rzekomym męczeństwie.*



42 Akrobacje z talibami JAGODA GRONDECKA

*Budowanie społeczeństwa obywatelskiego
w Islamskim Emiracie Afganistanu to sztuka
akrobacji i balansowania na granicy szarej strefy.
Oraz ustępstw – także w kwestii praw kobiet.*



76 O kurczę, rock żyje OLGA DRENDA

*Niepowstrzymane pragnienie oburzenia zmiata na
swojej drodze wszystko. Nawet fanów muzyki, która
dawno już przestała być symbolem buntu.*

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Ile jest wart rosyjski szpiegAGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI**7-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Perspektywa ojcaANNA GOLUS o tym, jak stworzono
najmłodszą sejmową dziennikarkę**24 Misja ratunkowa**PIOTR ŚMIŁOWICZ: Coraz częściej
słychać komentarze wypychające PSL
w sojusz z PiS. Czy to tylko gierki
w skłóconej koalicji?**26 Patriotyzm z kartonu**PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Polak za
osiedlowym spożywczałem tęskni tylko
w deklaracjach**28 Efekt koktajlu**MATEUSZ PEROWICZ: Choć nad
jakością jedzenia czuwa kilka instytucji
kontrolnych, tak naprawdę nie wiemy,
co ostatecznie trafia na nasze talerze

■ ■ WIARA

32 Nie ma mocnych na Rydyka

IGNACY DUDKIEWICZ

36 Afrykanki pielgrzymująANNA NIEDŹWIEDŹ:
Nierzadko sama podróż do sanktuarium
jest dla kobiet aktem emancypacji**39 Dokąd zmierzają pielgrzymki**ROZMOWA Z IZABELĄ SOŁJAN:
Coraz większe jest zainteresowanie
pozareligijną stroną takiej wyprawy

■ ■ ŚWIAT

42 Akrobacje z talibami

JAGODA GRONDECKA

46 Celowane zabójstwoAGNIESZKA BRYC:
Po izraelskich zamachach na liderów
Hamasu i Hezbollahu świat obawia się
wybuchu wojny regionalnej

TEMAT TYGODNIKA

**12 Ze mną się nie napijesz**

MAREK RABIJ

Większość polskich powiedzeń
o biesiadowaniu przy alkoholu już
wkrótce może być niezrozumiała.
Polacy po pandemii coraz częściej
piją samotnie. Rośnie nam problem, za
który wszyscy możemy płacić przez lata.

■ ■ 90. BONIECKI ■ ■

**31 CZYTELNICZY PYTAJĄ,
KS. ADAM ODPOWIADA**

■ ■ FELIETONY ■ ■

41 WOJCIECH BONOWICZ**76** OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO**82** TOMASZ STAWISZYŃSKI**82** BARTOSZ MINKIEWICZGRAFIKA NA OKŁADCE:
MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”**48 Nadlatują Sokoły**ANTONINA PALARCZYK: Ukraińskie
wojsko do końca roku ma dostać
20 wielozadaniowych myśliwców F-16.
Rosyjscy piloci mogą się bać**49 Kapitan na czas pokoju**EWA KLEWAR:
Opowieść z kolumbijskiej dżungli

■ ■ HISTORIA

52 Komediant o czterech imionachSTANISŁAW CALIK o przedwojennym
gwiazdorze filmowym Stanisławie
Sielańskim

■ ■ Z ODDECHEM

56 Bryza i pyłMICHAŁ SOWIŃSKI:
Jak Józef Korzeniowski stał się
Josephem Conradem

■ ■ NAUKA

60 Życie jako forma współpracyROZMOWA Z JONATHANEM
SILVERTOWNEM: Biologia nie zmusza
nas do tego, byśmy byli dobrzy. Na
współpracy opierają się zarówno grupy
przestępcze, jak i zespoły strażaków

■ ■ KULTURA

64 Czarnoksiężnik powracaANITA PIOTROWSKA o tym, co się dzieje
w głowie Tima Burtona**69 Coś dla ludzi. Bez ludzi**MICHAŁ WALKIEWICZ:
Jak wyglądałby film stworzony dzięki
sztucznej inteligencji? Takie produkcje
w Hollywood już powstają**72 Śmiechu nie warte**PIOTR PAZIŃSKI: Opętańczy
śmiech Thomasa Bernharda zawsze
towarzyszył mi podczas lektury jego
książek. Jego proza działa na mnie jak
antydepresant**75 Ostatnie spotkanie**LEKTOR o książce „Poltergeist”
Urszuli Honek

■ ■ ZMYŚŁY

78 Luksus, ale dyskretnyDOROTA MALINA o domu zbudowanym
za nieograniczony budżet

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę...

... na stronie **55**



Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ
TYGOD

JIM LO SCALZO / EPA / PAP



ILE JEST WART ROSYJSKI SZPIEG

Wsadzając do więzień opozycjonistów czy zachodnich dziennikarzy, Rosja może nimi później handlować jak żywym towarem.

**AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI**

POWYŻEJ:

Zwolniony z rosyjskiego więzienia reporter „Wall Street Journal” Evan Gershkovich z matką, Ellą Milman, i prezydentem Joe Bidenem. Baza lotnicza Andrews, USA, 1 sierpnia 2024 r.

NIE BYŁO, JAK NA FILMACH, BUDZĄCEJ dreszcz sceny wymiany w opustoszałym mieście czy na granicy. Zamiast tego siedem nieprzewidzianych rozkładami samolotów – po jednym z Niemiec, Polski, Słowenii, Norwegii i Rosji oraz dwa z USA – wylądowało w Ankarze. Tureckie służby sprawnie przetransportowały 26 pasażerów do „bezpiecznych lokalizacji”, gdzie dokonano ich identyfikacji i przeprowadzono podstawowe badania medyczne. Zaraz potem 10 osób odleciało do Rosji, 13 do Niemiec, a 3 do USA. Tak zakończyła się największa od czasów zimnej wojny wymiana więźniów między Zachodem a Rosją.

Wcześniej w tej historii było jednak kilka niemal filmowych zwrotów, z których najbardziej dramatyczny rozegrał się 16 lutego. Tego dnia doradca bezpieczeństwa narodowego USA Jake Sullivan miał się spotkać w Białym Domu z rodzicami skazanego w Rosji za szpiegostwo Evana Gershkovicha,

korrespondenta „The Wall Street Journal”, by zapewnić, że ich syn wkrótce będzie wolny. Po miesiącach negocjacji rząd w Berlinie zgodził się wydać rosyjskiego agenta Wadima Krasikowa, odsiadującego w Niemczech wyrok za morderstwo na zlecenie Kremla. W zamian za przekazanie go Rosji, wolność miał odzyskać amerykański dziennikarz, ale też – czego żądał Berlin – Aleksiej Nawalny. Tyle że 16 lutego Rosja ogłosiła, iż odsiadujący wyrok w kolonii karnej opozycjonista zmarł.

AMERYKANOM UDAŁO SIĘ dopiąć nową umowę dopiero w połowie lipca, gdy do wymiany oprócz Niemiec zgodziły się dołączyć także Słowenia, Polska i Norwegia. Moskwa i sekundujący jej Mińsk zwolniły z więzień 16 osób – Amerykanów, Niemców i siedmiu rosyjskich aktywistów. W zamian państwa zachodnie przekazały ośmioro rosyjskich szpiegów oraz umożliwiły wyjazd dwójce dzieci rosyjskich agentów ze Słowenii.

Warto zwrócić uwagę, że dotąd zawierając takie umowy Kreml albo trzymał się parytetu, albo wymuszał zwolnienie większej liczby swoich obywateli. Tym razem proporcje się odwróciły na korzyść Zachodu. Dlaczego Putin zgodził się na tę umowę? Zapewne zwierzył w niej „polityczne złoto”. Jak cenne, najlepiej świadczy pompa, z jaką na czerwonym dywanie, z wojskową asystą honorową, witał wysiadającego z samolotu Krasikowa i pozostałych. Gratulując im powrotu zapewniał, że ojczyzna nigdy o nich nie zapomni.

Na pewno żadna z tych osób nie jest dla rosyjskich służb użytecznym aktywnym. Wątpliwe też, by Putin – choć był oficerem KGB, a później szefem FSB – czuł sentyment do szpiegów, którzy dali się złapać. Wysłał za to czytelny sygnał tym, którzy nadal działają przeciw państwom zachodnim, że Rosja – jak głosi popularny slogan – „swoich nie zostawia”. A że dotyczy to tylko wąskiej grupy szpiegów, a nie wysyłanych na ukraiński front setek tysięcy żołnierzy? Szczegół, propagandowo bez znaczenia.

W RAMACH WYMIANY dla Putina równie ważne mogło być odesłanie z Rosji dwóch demokratycznych działaczy, Władimira Kara-Murzy i Ilji Jaszyna. Prof. Alexander J. Motyl z Rutgers University-Newark na łamach „The Hill” napisał, że śmierć Nawalnego zmobilizowała dziesiątki tysięcy Rosjan, którzy stawili się na jego pogrzebie. Ewentualna śmierć Kara-Murzy albo Jaszyna mogłaby podgrzać atmosferę. „Kto potrzebuje trzech męczenników, skoro jeden już sprawił tyle kłopotu?”. A wysłani za granicę opozycjoniści stracą wpływy w kraju, czego już pół wieku temu dowiodła KGB, wyrzucając z kraju Sołżenicyna. Zresztą o prawdziwych intencjach Kremla wobec uwolnionych dysydentów świadczą słowa pełniącego funkcję wiceszefa Rady Bezpieczeństwa byłego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa. Napisał w Telegramie, że życzy im, żeby „spłonęli w piekle”, i radził, by „oglądali się za siebie”, nie zapominając „o kruchości swojej ziemskiej egzystencji”.

Możliwe, że jeszcze większym zyskiem dla Kremla jest przekaz, jaki wysłał na Zachód. Po pierwsze Rosja pokazała, że wsadzając do więzień pod wysłanymi z palca zarzutami zachodnich dziennikarzy, biznesmenów czy nawet rosyjskich opozycjonistów, może nimi później handlować jak żywym towarem, wymieniając na „swoich”, choćby nawet morderców. Ta „więzienna dyplomacja” budzi moralne rozterki, szczególnie że jej skuteczność, dowiedziona właśnie przez Rosję, może prowadzić do wsadzania do więzień kolejnych niewinnych ludzi i ich cierpień.

ZAWIERAJĄC TĘ UMOWĘ, Putin zaprezentował się jako racjonalny przywódca, z którym da się dogadać. Bo skoro udało się z więźniami, to może da się też porozumieć w sprawie wojny w Ukrainie, której zachodnie społeczeństwa są coraz bardziej niechętnie? Kremlovi nie będzie przeszkadzało udawanie, że dąży do pokoju przy negocjacyjnym stole, gdy na froncie wciąż trwa wykrwawianie Ukraińców. To może jeszcze bardziej spolaryzować zachodnie społeczeństwa i wzmocnić presję, by USA i Europa zgodziły się na ustępstwa wobec Moskwy. A tu stawka jest – co Rosja wyraźnie zadeklarowała – nie tylko włączenie do niej co najmniej czterech ukraińskich obwodów, ale przede wszystkim przemeblowanie architektury bezpieczeństwa w Europie, czyli przekształcenie naszego regionu w strefę buforową.

U NAS WYMIANA WIĘŹNIÓW wywołała rozczarowanie, bo na liście uwolnionych nie było więzionego przez białoruski reżim Andrzeja Poczobuta ani żadnego innego Polaka, choć Warszawa przekazała Rosji uważanego za agenta GRU Pawła Rubcowa. I oczywiście doszło w tej sprawie do politycznej pyskówki, bo opozycja oskarżyła rząd o totalną nieudolność i „moralną klęskę”. Tyle że rząd PiS przez ponad dwa lata nie wskówał w tej sprawie nic. Obecny twierdzi, że negocjacje „toczą się innym trybem”. Jakim? Podobnie jak za rządów PiS – to tajemnica. ©



Dylematy PKW

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PAŃSTWOWA KOMISJA WYBORCZA PO RAZ KOLEJNY odłożyła decyzję w sprawie przyjęcia sprawozdania finansowego PiS. Swoją zwłoką (tym razem do końca sierpnia) doprowadziła do tego, że cokolwiek postanowi, będzie to interpretowane w kategoriach politycznych. To kolejna sfera, która stała się areną walki politycznej, choć przez lata udawało się działalność PKW od takiego kontekstu uchronić. Winny jest jednak przede wszystkim PiS, który poprzez zmianę sposobu wyboru członków PKW uczynił z komisji instytucję bardziej polityczną, niż to było w przeszłości.

Niestety, ostatnie zachowania przedstawicieli koalicji rządowej, którzy nie wahają się publicznie formułować sugestii wobec PKW i nawoływać do odrzucenia sprawozdania PiS, są działaniem w stylu Jarosława Kaczyńskiego, który wyznaje pogląd, iż nie istnieją instytucje wyłączone z walki politycznej i jedyną kwestią jest, czy są one „nasze”, czy „ich”.

Osobiście nie mam wątpliwości, iż PiS nadużywało prawa, by zwiększyć finansowanie kampanii wyborczej.

W większym lub mniejszym stopniu zjawisko to istnieje od lat, a PiS rozwinął „tylko” proceder nielegalnego finansowania na niespotykaną skalę.

Robił to zarazem na tyle sprytnie, że dziś PKW, jeśli będzie chciała jednak przyjąć sprawozdanie PiS, znajdzie zapewne formalną podkładkę. Bo okaże się np., że bezprawne finansowanie nie przekroczyło magicznej kwoty 400 tys. zł (jeden proc. pieniędzy wydanych na kampanię).

To nie jest prosta sprawa, ale być może dla polskiej demokracji będzie lepiej, jeśli PKW sprawozdanie PiS przyjmie (o ile nie znajdzie ewidentnych naruszeń prawa) i nie rozpęta kolejnej burzy niszczącej życie polityczne na lata. W ten sposób pokaże swoją niezależność, co może przysłużyć się odbudowywaniu państwa posiadającego jednak sfery nieskażone polityczną wojną. Koalicja rządząca, choć zdarza jej się czasem wchodzić w buty PiS, ma jednak do instytucji państwa inny stosunek niż formacja Kaczyńskiego. Przykładem rozpatrywany ostatnio w parlamencie projekt ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, zakładający, że członków TK Sejm będzie wybierała większość 3/5.

Gdyby PKW jednak przyjęła sprawozdanie partii Kaczyńskiego, elektorat formacji rządzących powinien to paradoksalnie zinterpretować jako przejaw realnego odchodzenia od państwa PiS. ©P



Skradziona tragedia

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

SUNDERLAND, BRISTOL, BLACK-pool, Middlesbrough, Belfast, Tamworth – to tylko niektóre z miast, w których w minionych dniach doszło do zamieszek. Protesty zwoływane przez skrajną prawicę i radykalnych przeciwników imigracji zamieniły się w brutalne starcia z policją i kontrdemonstrantami. W Liverpoolu podpalamo bibliotekę, w Rotherham próbowano wdrzeć się do hotelu, w którym kwaterowano azylantów. W wielu miejscach spłądrowano sklepy. Zastraszani byli mieszkańcy należący do mniejszości etnicznych. Można się zastanawiać, co przemoc, kradzieże i akty wandalizmu mają wspólnego z tragiczną śmiercią trzech dziewczynek w Southport, które zginęły zaatakowane 29 lipca przez 17-letniego nożownika Axela Rudakubana.

To właśnie od tego wstrząsającego wydarzenia rozpoczęły się uliczne protesty, a raczej od rozpowszechniania w mediach społecznościowych nieprawdziwych informacji, jakoby napastnik był muzułmaninem i nielegalnym imigrantem (tymczasem Rudakubana urodził się w Cardiff, jego rodzice pochodzą z Rwandy). Źródła tej dezinformacji, a także sposób, w jaki była masowo powielana, są wciąż analizowane.

Wydarzenia ostatnich dni są poważnym testem dla nowego bry-

tyjskiego premiera. Keir Starmer zapewnił, że „zrobi wszystko, co konieczne, by postawić bandytów przed wymiarem sprawiedliwości”. Podkreślił też, że „brutalne tłum nie reprezentuje naszego kraju”, w którym wszyscy obywatele mają prawo czuć się bezpiecznie.

Opanowanie sytuacji na ulicach jest jednak tylko jednym z zadań, tym najpilniejszym. Kolejnym powinno być zastanowienie się, jak to w ogóle możliwe, że w wielokulturowej od pokoleń Wielkiej Brytanii dochodzi do takiego wybuchu agresji i gniewu? I jaką rolę odegrała w tym antagonizująca retoryka części polityków? Emocje i podziały nie pojawiły się z dnia na dzień i szybko też nie znikną. O wyzwaniach, jakie przynosi rosnąca w ostatnich latach na Wyspach imigracja, można przecież rozmawiać, nie używając polaryzującego i dehumanizującego języka.

W tym wszystkim tragedia zaatakowanych w Southport dzieci i ich bliskich coraz bardziej spychana jest na drugi plan. Tamtejsza społeczność jednoczy się i próbuje poradzić sobie z traumą, jakiej doznała. Podpalanie samochodów i rozbijanie witryn sklepów tu nie pomaga. ©®

Tekst ukończono 5 sierpnia 2024 r.

Protest skrajnej prawicy po tragedii w Southport, Manchester, 3 sierpnia 2024 r.



CHRISTOPHER FURLONG / GETTY IMAGES



Tajniaczki

MAREK RABI

NIC NIE ODSŁANIA MOTYWACJI STOJĄCYCH za niektórymi decyzjami tak skutecznie, jak błędy popełnione w trakcie ich podejmowania. Rząd właśnie zbiera się z podłogi po ciosie otrzymanym od generalnie przyjaznych mu przedsiębiorców. W świecie biznesu zagotowało się po ujawnieniu założeń nowelizacji ustawy o podatku od nieruchomości, która tak szczerze szafowała pojęciem „nieruchomość”, że powstało realne zagrożenie, iż po zmianie przepisów fiskus będzie mógł uznawać za takową nawet piaskownicę czy namiot – także złożony. Podatek od nieruchomości liczony wedle takich „uśmiechniętych zasad” (cytuje złośliwość, na jaką w komentarzu pozwolił sobie jeden z prominentnych przedstawicieli polskiego biznesu) mógłby objąć również elementy infrastruktury telekomunikacyjnej, ławki pod siedzibą firmy, a także służbowe laptopy. Nie czekając na otrzeźwienie rządowych legislatorów, przedsiębiorcy wylali więc swe gorzkie żale w przestrzeni publicznej, angażując do tego lobbystów i zaprzyjaźnione media.

Na tych łamach krytycznie traktujemy rytualne zawrodożenia świata biznesu, który ustawicznie napotyka anegdotyczne już „ograniczenia swobody działalności gospodarczej”, ale tym razem trudno się pod tymi pretensjami nie podpisać.

Walcząc z pogłębiającym się deficytem finansów publicznych, rząd chwytą się bowiem nie tylko brzydko, ale i niemądrze.

Analiza projektów wychodzących z Rady Ministrów, którą przeprowadzili niedawno dziennikarze „Rzeczpospolitej”, pokazuje, że obóz rządzący postanowił podnosić obciążenia fiskalne cichaczem, w sposób nieskoordynowany, żeby elektorat możliwie najpóźniej zorientował się, w którą stronę zmierzają zmiany. Poza wspomnianym już arcydziełem legislacji, jakim jest projekt zmian w podatku od nieruchomości, mamy też zapowiedź resortu klimatu, który chce objąć sprzedawców paliw napędowych i grzewczych obowiązkiem zakupu uprawnień do emisji dwutlenku węgla. Równolegle trwają prace nad zapowiedzianą wcześniej podwyżką akcyzy na papierosy oraz wejściem w życie od nowego roku przepisów o globalnym podatku minimalnym dla firm, który ma utrudnić chowanie się przed fiskusem w rajach podatkowych.

Puszczając takie legislacyjne tajniaczki, rząd nie zrobi jednego. Nie uporządkuje polskiego systemu podatkowego, który wciąż nie doszedł do siebie po wprowadzeniu Polskiego Ładu. ©®

NA PUNKTY

MUZYKA

Kilkadziesiąt tysięcy widzów na warszawskim koncercie Taylor Swift, kilkadziesiąt tysięcy na Pol'and'Rock Festival Jerzego Owsiaka w Czaplinku – pierwsze dni sierpnia upływają pod znakiem muzyki. Szczęśliwie nad Polską zelżał upał, a parlamentarzyści wyjechali na wakacje.

SPORT

Polityka odpuściła również na igrzyskach: do komentowania lekkiej atletyki wrócił, uprzednio zawieszony przez władze TVP, Przemysław Babiarz. Jego najnowsza wpadka nie miała już charakteru ideologicznego: relacjonując sukces biegaczki z należącej do Wspólnoty Brytyjskiej wyspy St. Lucia, zapomniał, że królowa Elżbieta II nie żyje od blisko dwóch lat.

KULTURA

À propos poprawności: NATO zażądało wymiany jednego z polskich generałów pracujących w Kwaterze Głównej Sojuszu. Według informacji „Rzeczpospolitej” powodem jego odwołania są zarzuty niewłaściwego postępowania podczas konkursu na szefa oddziału ds. polityki wywiadowczej (miał faworyzować polską kandydatkę) oraz oskarżenia o homofobiczne i rasistowskie zachowania. ©P



Szydło bada cierpliwość prezesa

MAREK KĘSKRAWIEC

PUBLICZNE PRANIE BRUDÓW NIE BYŁO nigdy specjalnością polityków PiS, dlatego kolejna wymiana zdań na platformie X pomiędzy Ryszardem Terleckim a Beatą Szydło (na zdjęciu) to unikat. Obie osoby należą do pierwszej ligi obozu dawnej władzy, w dodatku pochodzą z niezwykle ważnego regionu, który zawsze dostarczał prawicy powodów do sukcesów i ludzi do rządzenia.

Tym razem w sporze na linii Szydło – Terlecki poszło o radnego Michała Drewnickiego, chwalonego przez lata szefa krakowskich struktur, którego zastąpiła właśnie Barbara Nowak. Wybór to osobliwy, bo skonfliktowana z nauczycielami i opowiadająca dziwaczne rzeczy o pandemii była kurator co prawda wcale nie szerzy kult smoleński, uczestnicząc w niemal wszystkich rocznicowych uroczystościach, ale z jej prywatnych maili (nigdy nie zakwestionowanych), które wyciekły cztery miesiące temu, wynika, że za tą niezwykłą aktywnością pani Nowak kryje się głęboka emocjonalna fascynacja osobą byłego marszałka Sejmu.

Nie jestem wróżbitą, ale sądzę, że ostatnie wpisy Beaty Szydło, zaadresowane

niemal bezpośrednio do Terleckiego, najpierw skoncentrowane wokół sporu o kandydata na marszałka województwa małopolskiego, który Terlecki sromotnie przegrał, a teraz jawnie sugerujące, że musiał uciekać z Krakowa, żeby w ogóle pozostać posłem – to jawne prowokowanie konfliktu z nieznoszącym podkopywania spójności partii Jarosławem Kaczyńskim. W końcu Terlecki to bliski prezesa.

To może być działanie świadome. Beata Szydło od lat pozostaje w niełasce swego szefa i nie ma szans na nominację prezydencką. Brak złudzeń co do znaczącej roli, jaką mogłaby odgrywać, ciągnie ją poza PiS, któremu puszcza ją silne dotychczas szwy. Secesja bliskiego byłej premier Jana Krzysztofa Ardanowskiego, czy też jej ostatni taktyczny sojusz w małopolskim sejmiku z ludźmi prezydenta Andrzeja Dudy, mogą skończyć się powstaniem nowej partii. Co prawda podobny ośrodkowy ruch po przegranych przez PiS wyborach w 2011 r. skończył się klęską każdej frakcji buntowników, ale to nie musi być przecież klątwa na wieki. ©P



PAWEŁ SUPERNIAK / PAP



Filioque, czyli trzy sylaby niezgody

MACIEJ MÜLLER

SWIATOWA FEDERACJA LUTERAŃSKA i Kościół Prawosławny wydały oświadczenie w sprawie wyznania wiary. Dokument rekomenduje Kościołom luteranckim, by zrezygnowały podczas odmawiania nicejsko-konstantynopolitańskiego *credo* z klauzuli „*filioque*”. To słowo wyraża przekonanie, że Duch Święty pochodzi nie tylko od Ojca, ale także od Syna. „*Filioque*” upowszechniło się w Kościele zachodnim w czasach karolińskich i stano-

wi od stuleci jedną z najpoważniejszych osi sporu między wschodnim a zachodnim chrześcijaństwem. Prawosławie uważa, że wprowadza ono nierównowagę w opis funkcjonowania Trójcy Świętej i podkreśla, że jego dopisanie złamało wyrażony na soborze w Efezie (431 r.) zakaz modyfikowania *credo*.

Reformatory z XVI w., mimo porządkowania wielu kwestii teologicznych i liturgicznych, akurat sprawie

„*filioque*” nie poświęcili uwagi. Od 40 lat jest ona jednak intensywnie dyskutowana w dialogu luterancko-prawosławnym. Najnowsza deklaracja posuwa te rozmowy o kolejny krok, bo poprzednie wzywały do odmawiania pierwotnej (zatwierdzonej w 381 r. na soborze w Konstantynopolu) formy *credo* podczas nabożeństw ekumenicznych (tak się dzieje np. w parafii krakowskiej).

Podobne rozwiązanie przyjął Kościół katolicki. Jan Pa-

weł II podkreślał, że *credo* bez „*filioque*” jest wyznaniem wiary Kościoła. Ks. Wacław Hryniewicz, który dużą część życia poświęcił dialogowi z prawosławiem, podkreślał, że Wschód nie oczekuje odrzucenia teologii związanej z „*filioque*”, ale usunięcia tego sformułowania z *credo*. Sprzeciw wobec dopisku wyrażał choćby Leon III w IX w. – niestety ponad dialog wysuwała się ostatecznie ostra rywalizacja o prymat w Kościele między Rzymem a Konstantynopolem, zakończona schismą.

Czy dla – jak pisał Hryniewicz – „aktu ekumenicznej szczerości” będziemy gotowi wyzbyć się tych trzech sylab? ©P



JĘDRZEJ WITKOWSKI,
EKSPERT EDUKACYJNY:

*Musimy zacząć lepiej
zarządzać różnorodnością
w polskiej szkole*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Za trzy tygodnie w szkołach pojawia się, w związku z zadekretoowaniem przez rząd obowiązku szkolnego dla ukraińskich dzieci w wieku szkolnym, tysiące nowych uczniów. Ile dokładnie?

JĘDRZEJ WITKOWSKI: MEN mówi o 80 tys. dzieci – razem z przedszkolnymi. Tyle że to tylko szacunki, uprawdopodobnione co prawda bazą PESEL, ZUS i danymi ukraińskimi – ale nadal szacunki. Te niejasności to nie tylko problem Polski, ale również innych krajów, głównie unijnych, które – ze względu na wolność przemieszczania się w strefie Schengen – nie są w stanie dokładnie ustalić liczby ukraińskich uchodźców, także w wieku szkolnym. Na razie wiemy jedno: w polskich szkołach uczy się 134 tys. ukraińskich dzieci. Nową liczbę poznamy we wrześniu.

We wrześniu zaczną też być może obowiązywać nowe limity w klasach i grupach. MEN przygotował projekt rozporządzenia, zgodnie z którym w grupie przedszkolnej będzie można umieścić nie 25, a 28 dzieci, a w klasach 1-3 podstawówek – 29 uczniów. Te limity obowiązywały po lutym 2022 r., ale się z nich wycofano. Teraz rząd chce do nich wrócić, co odbieram jako racjonalny ruch w sytuacji, gdy nie znamy skali wyzwania, z jakim będziemy się mierzyć. MEN nie może dopuścić do sytuacji, że zabraknie miejsc – to rozporządzenie ma nas przygotować na takie ryzyko od strony formalnej.

Jednak część nauczycieli protestuje. Uważają, że to na nich przerzuca się odpowiedzialność za nauczanie w nowych, trudniejszych okolicznościach. I że należało stworzyć warunki dla istnienia większej liczby klas.

Oczywiste jest to, że lepiej pracować i uczyć się w mniej licznych klasach. I mam nadzieję, że ich liczebność – pomimo zwiększenia limitów – mocno nie wzrośnie. Pamiętajmy też, że nie było łatwo przygotować się do nowej sytuacji: obecny rząd nadrabia wielkie zaległości powstałe przez ostatnie dwa lata.

Jakie?

Chodzi głównie o to, że obowiązek szkolny dla ukraińskich uczniów był do tej pory iluzoryczny – wystarczyło, że rodzic przyniósł oświadczenie o pobieraniu nauki online w ramach ukraińskiego systemu, by jego dziecko nie musiało chodzić do polskiej szkoły. Ministerstwo mówiło wtedy, że bierzemy odpowiedzialność za dzieci uczęszczające do naszych placówek, ale już za te uczące się online odpowiada strona ukraińska. Oznaczało to, że nasze państwo nie brało odpowiedzialności za tysiące dzieci, i że pozostawały one w edukacyjnej próżni. Ponadto cały ciężar wymyślenia, jak ma wyglądać nauczanie ukraińskich dzieci, poprzedni resort edukacji rzucił na dyrektorów i nauczycieli. Nie było rekomendacji, wskazówek. Rzecz trzecia: nauczyciele nie zostali wsparci kompetencyjnie.

Teraz mamy zmianę przepisów, ale potrzebujemy też systemowego podejścia do zarządzania różnorodnością w polskiej szkole – np. większej liczby asystentów międzykulturowych, lepiej wyszkolonej kadry, profesjonalnego nauczania języka polskiego jako obcego. Będziemy zachęcać MEN, by te elementy jak najszybciej wprowadził. Gdyby działania nowego rządu zakończyły się na jednym rozporządzeniu, byłoby to zdecydowanie za mało. ©P

DR JĘDRZEJ WITKOWSKI jest prezesem Centrum Edukacji Obywatelskiej, największej polskiej organizacji pozarządowej zajmującej się oświatą.

Kardynał z powyłamywanymi zasadami

FINANSE WATYKANU ■ Tania, sensacyjna literatura – tak kard. Gerhard Müller (na zdjęciu) nazwał ubiegłotygodniowe doniesienia na temat finansowych nadużyć w Kongregacji Nauki Wiary za jego rządów.

Jak poinformował portal „The Pillar”, kongregacja zatajała dochody przed sekretariatem ekonomicznym Watykanu (instytucją powołaną przez Franciszka do pilnowania finansów kurii). W 2015 r. kontrolerzy odkryli, że pieniądze dykasterii (blisko 0,5 mln euro) zdeponowano na niezalegalizowanych kontach (w tym na prywatnym rachunku kard. Müllera) lub trzymano w gotówce, którą w dniu inspekcji próbowano ukryć, wynosząc w reklamówkach z biura. Amerykański portal, znany z rzetelnego sprawdzania informacji, pisze też o innych nieprawidłowościach, m.in. oddaniu zabytkowego stołu konferencyjnego handlarzowi antyków, zaprzyjaźnionemu z prefektem.

W oświadczeniu przesłanym mediom kard. Müller wyjaśnia, że pieniądze kongregacji nie były poza kontrolą, nawet jeśli „inventaryzowano je w nieco zagmatwany, przypadkowy i odbiegający od później przyjętych standardów sposób”, a biskup, który za to odpowiadał, to „człowiek o wielkiej prawości i doświadczeniu”. Dodaje, że dykasteria nie straciła na tym ani centa. On sam też się nie wzbogacił – 200 tys. przesłane mu „omyłkowo” natychmiast oddał. A stół konferencyjny był stary i zniszczony.

Kardynał uważa, że celem artykułu i stojących u jego źródła przecieków było zniesławienie go, bo cała sprawa została wyjaśniona już w 2017 r. A jego odejście z kongregacji – wbrew temu, co sugeruje „The Pillar” – nie miało z tym żadnego związku.

Być może. Ukrywanie dochodów i okłamywanie instytucji kontrolnych było w kurii rzymskiej (*nota bene* uważanej za „Kościół powszechny w miniaturze”) niemalże normą i żaden prefekt nie został za to ukarany – co najwyżej przenoszono go na inne stanowisko. Przypadek kard. Müllera dowodzi, że przepisy zmieniać łatwo, ale nawyki i mentalność o wiele trudniej. ©P EDWARD AUGUSTYN



JOHANNES NEUDECKER / DPA / AFP / EAST NEWS

W Paryżu na razie więcej polskich łez niż medali

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE ■ Gdy tworzone listę polskich pewniaków do olimpijskich medali, Iga Świątek była na jej szczycie. Na paryskich kortach Rolanda Garrosa wygrała przeciw 25. meczów z rzędu. Spotkanie z Chiną Zheng Quinwen w półfinale miało być formalnością, wielu otwierało już szampana.

W sporcie nie ma jednak niczego pewnego – te słowa słyszymy w nowym miniseriale o Simone Biles, amerykańskiej gimnastyczce, która zdobyła w Paryżu drugie złoto (szóste w swojej karierze), która przed trzema laty w Tokio nagle zrezygnowała z występów. Po meczu z Zheng popłynęło sporo łez. Świątek mówiła o „dziurze na bekhandzie”, która rzadko jej się przydarza. Przejmujące były jej słowa tuż przed odejściem od mikrofonu – „po prostu zawaliłam”. Obrazki obrócone do ścianki faworytki wielu kibicom



ADAM WARZAWA / PAP

zapadną w pamięć jako ilustracja tego, że nawet mistrzowie potrafią okazać słabość. Ostatecznie Świątek zdobyła brąz. Na ceremonii medalowej wróciły uśmiech i radość.

Po przegranej płakała też młodocianka Angelika Szymańska, murowana kandydatka do podium. Łzy płynęły już na macie, potem przed kamerami. Podob-

ALEKSANDRA JARECKA
po zwycięskim
pojedynku o brązowy
medal w drużynowym
turnieju szpadzistek,
Paryż,
30 lipca 2024 r.

nie reagowała pięściarka Elżbieta Wójcik po przegranej walce o strefę medalową. „Ciężko pogodzić się z tym, że ciągle brakuje szczęścia” – mówiła zapłakana kolarzka Katarzyna Niewiadoma, która straciła szansę na krążek po kraksie w początkowej fazie wyścigu. W sieci krąży również zdjęcie Aleksandry Jareckiej, szermierki, dzięki której Polki zdobyły w Paryżu brąz. Ale oprócz łez był też okrzyk radości, dużo krzyku. Łzy widziałam też w oczach jednego z wioślarzy, gdy na jego szyi zawisł brązowy medal.

Igrzyska wchodzi w kolejny tydzień, do walki o medale przystąpili lekkoatleci. Choć z pustymi rękami do kraju wrócą Ewa Swojda (podczas rozmów po biegu płacząca i śmiejąca się jednocześnie), Wojciech Nowicki i Paweł Fajdek, to nadal szansę ma Natalia Kaczmarek, a może i Pia Skrzyszowska lub Maria Andrejczyk. Wkrótce na tor wypłyną też medalistki z Tokio Anna Puławska i Karolina Naja.

Kibiców czekają więc kolejne łzy. Miejmy nadzieję, że tym razem będą to łzy szczęścia.

© JOANNA WIŚNIEWSKA

Boks w czasach dwóch obozów

SPORT I PŁEĆ ■ W czwartek 1 sierpnia włoska bokserka Angela Carini poddała mecz po 46 sekundach walki z Algierką Imane Khelif, a w momencie powstawania tego tekstu (4 sierpnia) Khelif jest już jedną nogą na olimpijskim podium (w kategorii do 66 kg). To drobne wydarzenie ożywiło kontrowersje na temat obecności osób transpłciowych i interpłciowych w sporcie. Dlaczego?

Uporządkujmy fakty. Khelif jest metrykalnie kobietą, tak też była wychowywana i tak się identyfikuje, a całe życie startowała w kategorii kobiet. Dla pewności powtórzyła to ona sama, jej ojciec, przedstawiciele algierskiego Ministerstwa Sportu i przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, Thomas Bach. Khelif z definicji nie jest więc transkobie-

tą. Przypomnijmy: słowem tym określa się osoby, które zostały po urodzeniu przypisane do płci męskiej, jednak na pewnym etapie życia podejmują decyzję, aby stan ten odmienić.

Khelif i osoby z jej otoczenia zaprzeczają ponadto, aby algierska bokserka była osobą interpłciową. To słowo opisuje ludzi, których cechy biologiczne nie pozwalają na jednoznaczną identyfikację z jednym z dwóch płciowych „typów idealnych”. Są to, przykładowo, osoby z zestawem chromosomów „męskich” (XY), albo osoby posiadające „męskie” poziomy testosteronu, ze względów genetycznych rozwijające się jednak w dużym stopniu jak „typowe kobiety” (te dwa przypadki to, odpowiednio, zespół Swyera i Morrisa).

Skąd więc problem? Khelif została w 2023 r. wykluczona z Mistrzostw Świata w Boksie Kobiet, odbywających się pod pieczęcią międzynarodowego stowarzyszenia boksu IBA. Media donosiły wówczas, że przyczyną miałyby być albo badania gene-

tyczne (np. obecność chromosomów XY), albo hormonalne (za wysoki poziom testosteronu), ale IBA nigdy tego jednoznacznie nie wyjaśniło. Co gorsza, IBA, którego przewodniczącym jest Rosjanin Umar Kremlew, a jedynym sponsorem Gazprom, zdyskwalifikował Khelif zaledwie trzy dni po jej zwycięskim meczu z Rosjanką Azalią Aminewą. IBA, dodajmy, zostało już w 2022 r. odsunięte od współorganizacji boks na tegorocznych igrzyskach – MKOl jako przyczynę podał „nieprawidłowości dotyczące finansowania, zarządzania, etyki oraz praktyk sędziowskich”.

Carini wyjawiała, że po pierwszym ciosie Khelif w twarz poczuła paraliżujący ból nosa – i stąd ta rezygnacja. Niektórzy pośpiesznie uznali ją jednak jako demonstracyjną odmowę walki z osobami transpłciowymi/interpłciowymi, a od tego momentu zaczęły już działać standardowe prawa funkcjonowania mediów i polityki w czasach dwuobozowych.

© ŁUKASZ ŁAMŻA

ZE MNĄ SIĘ NIE NAPIJESZ

Większość polskich powiedzeń o biesiadowaniu przy alkoholu już wkrótce może być niezrozumiała. Polacy po pandemii coraz częściej piją samotnie.

Rośnie nam problem, za który wszyscy możemy płacić przez lata.

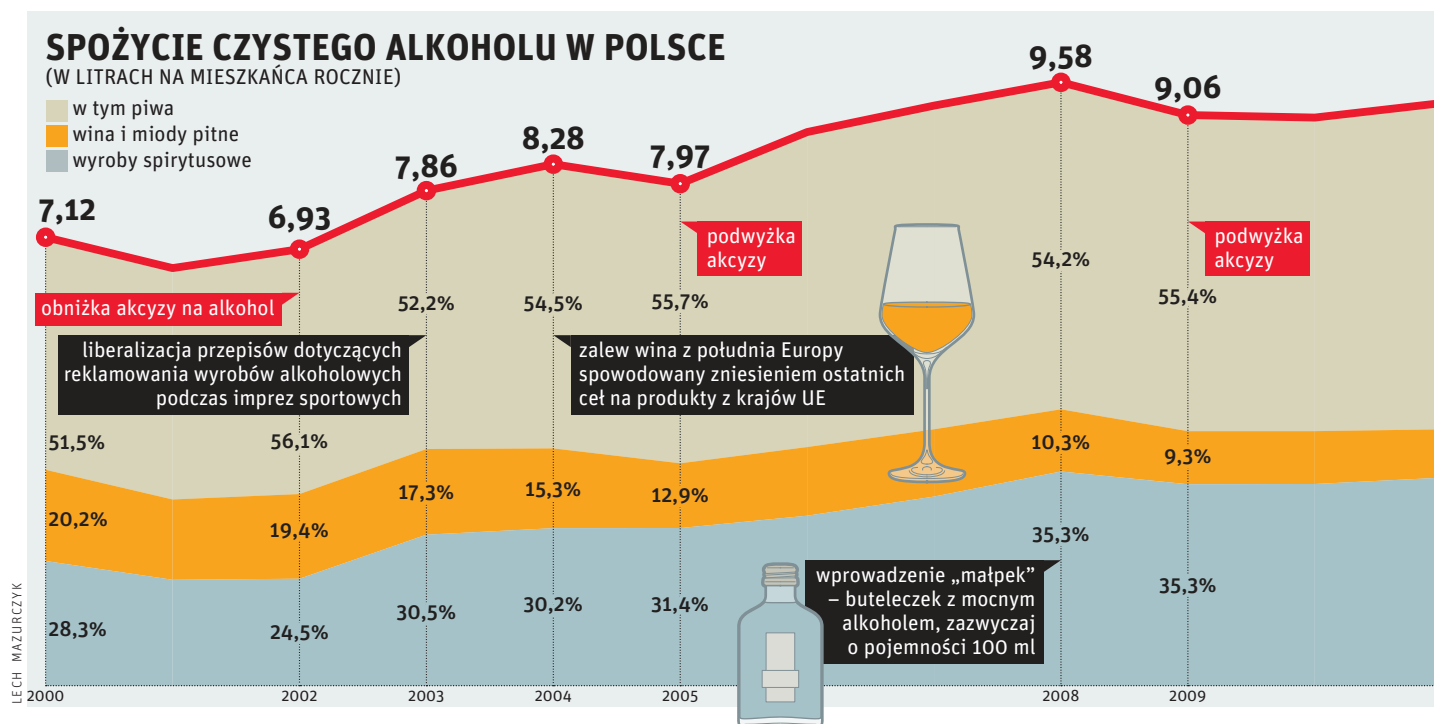
MAREK RABIJ

RODZIMY ŚWIATEK BADACZY UZALEŻNIEŃ chyba nigdy z taką ciekawością nie wyczekiwał corocznych danych o spożyciu alkoholu w Polsce. Wyniki takiego badania Główny Urząd Statystyczny publikuje zwykle pod koniec wakacji. Tegoroczne będą jednak o tyle istotniejsze od wcześniejszych, że mogą

przynieść potwierdzenie intuicji części ekspertów odnośnie do skuteczności polskiej polityki antyalkoholowej. A mówiąc wprost: pokazać, że Polacy znowu piją więcej.

W statystykach namieszała pandemia. Lockdown wprowadzony w marcu 2020 r. przez rząd PiS oddzielił od klien-

tów ponad 150 tysięcy polskich pubów, barów i restauracji serwujących alkohol. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Dane za rok 2020 pokazały, że statystyczny nadwiślański konsument wypił wtedy o 160 gramów mniej czystego alkoholu niż rok wcześniej. Różnica niby niewielka, ale po raz pierwszy od 2016 r.



w krajowych statystykach spożycia dało się zauważyć tendencję spadkową. Zanim co bardziej krewcy publicyści zdążyli ogłosić narodowe trzeźwienie, nadeszły dane za rok 2021, z których wynikało, że ponownie wpuszczeni do barów Polacy nadrobili szybko zaległości, windując spożycie alkoholu niemal do poziomu z 2019 r. Już rok później spożycie spadło jednak ponownie, co dostarczyło niektórym politykom i komentatorom argumentu, że skok z 2021 r. był tylko rezultatem narodowego odreagowania obustrzeń, a strategia zapobiegania problemom alkoholowym działa. Jeśli odczyt GUS za rok 2023 znów pokaże wzrost spożycia czystego alkoholu w przeliczeniu na mieszkańca, trzeba będzie jednak przyznać, że Polska – jako jeden z nielicznych krajów rozwiniętych – nadal ma problem z rosnącym spożyciem napojów alkoholowych.

Flaszka w 10 minut

W tym miejscu warto poczynić jedną uwagę. Dywagacje o prozdrowotnym działaniu „jednej lampki czerwonego wina na dobę” czy dobroczynnym wpływie koniaczki na krążenie świat medycyny już obalił. Naukowcy nie mają wątpliwości, że każda porcja alkoholu szkodzi zdrowiu. Światowa Organizacja Zdrowia WHO już na początku tego stu-

lecia zarekomendowała strategię opartą przede wszystkim na ograniczaniu popytu za pomocą presji cenowej. Mówiąc krótko, alkohol nie może być ani tani, ani łatwo dostępny.

Jak wygląda to w Polsce? Na koniec 2021 r. w całym kraju działało aż 84 tys. punktów detalicznych, w których można było się zaopatrzyć – nierzadko przez całą dobę i siedem dni w tygodniu – w napoje wysokowe. Wraz z lokalami gastronomicznymi, także oferującymi alkohol, dawało to ponad 235 tys. punktów sprzedaży. Sklepów spożywczych mieliśmy w tym czasie w całym kraju zaledwie 90 tys. W wielu miejscowościach wieczorem łatwiej kupić pół litra niż bochenek chleba. W samej Bydgoszczy działa obecnie więcej monopolowych niż w całej Norwegii.

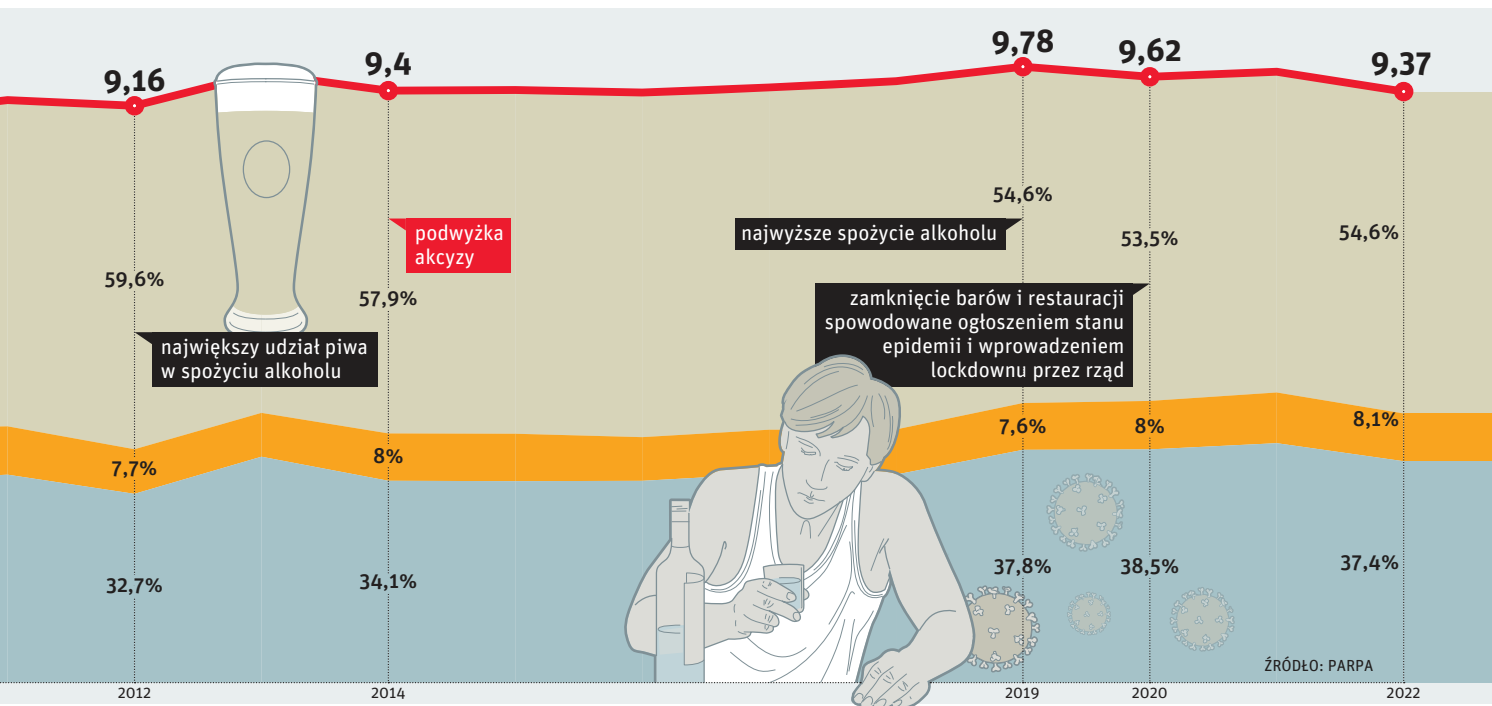
Alkohol w Polsce jest też coraz tańszy – a właściwie należy powiedzieć, że jego zakup kosztuje statystycznego Polaka coraz mniej. W 1989 r. przeciętna polska pensja wystarczała do zakupu 17,5 półlitrowek z wódką 40 proc. W 2021 r. można było kupić za nią już ponad 216 butelek – i to pomimo wprowadzonej wówczas 10-procentowej podwyżki podatku akcyzowego od napojów alkoholowych. Producenci napojów wysokowych nie byli oczywiście wyjątkiem i w okresie wysokiej inflacji oni także podnosili ceny.

Nawet z uwzględnieniem rosnącej akcyzy alkohol drożał jednak w ostatnich latach wolniej od żywności, której ceny w Polsce wzrosły w latach 2020-2023 o 38,9 proc. W tym samym czasie ceny napojów wysokowych poszły w górę tylko o 17,6 proc. Skutek? Taniej niż w Polsce można dziś upić się jedynie na Węgrzech, w Rumunii oraz w Bułgarii. Jak wynika z ostatniego zestawienia Eurostatu, polskie ceny alkoholu w porównaniu z fińskimi, gdzie pod tym względem jest dziś najdrożej, są ponad dwukrotnie niższe.

Cud nad akcyzą

Jesienią 2021 r. weszła w życie ustawa o podatku akcyzowym, która miała regulować wysokość zmian tego podatku w latach 2022-2027. Od 1 stycznia 2022 r. wprowadzono w Polsce 10-procentową podwyżkę akcyzy na napoje alkoholowe; w kolejnych latach wysokość podwyżki ustalono na 5 proc. Stały mechanizm wzrostu akcyzy miał sprawić, że ceny piwa, wódki czy win zaczną w końcu nadążać za postępującym szybko wzrostem zarobków (przypomnijmy, że tylko między 2021 a 2023 rokiem średnie polskie wynagrodzenie urosło o 24 proc.).

Tyle założenia. Odpowiedź na pytanie, jak poszło faktycznie, przynosi opublikowane właśnie badanie Jacka Moskałowicza i Janusza Sierosławskiego →



→ z Instytutu Psychiatrii i Neurologii PAN, którzy w dwóch, przeprowadzonych rok po roku ankietach sprawdzili wpływ ostatniej podwyżki akcyzy na decyzje zakupowe Polaków w monopolowym. Z ich obserwacji wynika, że wzrost akcyzy był zbyt mały, aby wyróżnić alkohol na tle innych drożących w tym czasie produktów i w ten sposób sprawić, że konsumenci zaczęli oszczędzać na zakupach alkoholu. Stało się wręcz przeciwnie. Szybszy wzrost cen innych towarów spowodował, że to alkohol został uznany przez konsumentów za produkt relatywnie tańszy od innych.

Badanie koncentrowało się na zakupach, ale przy okazji ujawniło też niepokojące tendencje w polskiej konsumpcji alkoholu. Pomiędzy 2021 a 2022 r. jedyną grupą wiekową, w której zaobserwowano wzrost spożycia, byli młodzi Polacy (18-39 lat). Tu w ciągu roku konsumpcja zwiększyła się z 3,95 do niemal 4,6 litra czystego alkoholu rocznie. Wcześniejsze badania w okresie pandemii pokazały wyraźny spadek spożycia napojów alkoholowych wśród młodych, co pchnęło część publicystów ku odważnej konstatacji, że generacja Z jest pierwszym polskim pokoleniem, które naprawdę umie się bawić bez alkoholu. Wyniki ankiety psychiatrów z PAN świadczą o czymś dokładnie przeciwnym.

Badacze zaobserwowali także wyraźny wzrost wielkości jednorazowej porcji wypijanych napojów spirytusowych. W dniu, w którym statystyczny polski konsument sięgał po takie trunki, w roku 2021 wypijał średnio po 13 centylitrów czystego alkoholu, czyli porcję odpowiadającą 0,33 litra 40-procentowej wódki. Rok później średnia dawka dzienna wzrosła już do 17 centylitrów, czyli aż 0,42 litra wódki o zawartości 40 proc. alkoholu. Największy, bo ponad 50-procentowy wzrost wielkości jednorazowej porcji wypijanej wódki czy whisky badacze zaobserwowali wśród mężczyzn. Jeszcze gorzej rzecz przedstawiała się w grupie panów w wieku 40–59 lat (wzrost o prawie 60 proc.) i z wykształceniem średnim (tutaj jednorazowo wypijana porcja mocnego alkoholu z roku na rok zwiększyła się o prawie 80 proc.).

Jak podkreśla w komentarzu do tych wyników Krzysztof Brzózka, były wieloletni dyrektor Polskiej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, duża

część polskich badaczy problematyki uzależnień widzi w tym jedynie potwierdzenie wcześniejszych intuicji. Spadek sprzedaży alkoholu zaobserwowany w 2022 r. można łatwo wytłumaczyć inflacją, która upośledziła polską siłę nabywczą i musiała też przełożyć się na skalę zakupów piwa, wódki czy win.

– Gdy zestawimy te badania z danymi o konsumpcji alkoholu w Polsce, otrzymamy obrazek kraju, w którym chwilowo nie rośnie sprzedaż napojów alkoholowych, ale utrzymuje się na poziomie o ponad 38 proc. wyższym niż w latach 90. ub. wieku – komentuje Brzózka. – I kraju, w którym już wkrótce może się znacznie pogłębić problem z osobami pijącymi w sposób wysoce ryzykowny i szkodliwy. Decydenci powinni więc jak najszybciej odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dalej trzymać się kurczowo wersji, że spożycie alkoholu w Polsce się wypłaszcza, czy zacząć zapobiegać zagrożeniu, które niebawem wybuchnie nam w twarz.

Generacja Z jest pierwszym
polskim pokoleniem,
które umie się bawić
bez alkoholu?

Wyniki badań psychiatrów
z PAN świadczą o czymś
dokładnie przeciwnym.

Planeta małpek

Opowieść o alkoholowym widmie krążącym nad krajem na pierwszy rzut oka wydaje się kłócić i z potoczną obserwacją, i z danymi. Widok zataczającego się o poranku jegomościa, niegdyś powszechny, znikł właściwie z krajobrazu polskich miast. Policja od lat raportuje z ulgą spadek liczby wypadków z udziałem pijanych kierowców. W 2023 r. policjanci zatrzymali 92951 osób, które prowadziły po alkoholu, czyli o 5 proc. mniej niż rok wcześniej. W słynnej z racji adresu placówce Miejskiego Centrum Profilaktyki Uzależnień w Krakowie przy ul. Rozrywka, zwanej niegdyś izbą wytrzeźwień, statystyki również napawają optymizmem. W ub. roku pracownicy

„gościli” tam 7495 osób, o 425 mniej niż rok wcześniej. W ciągu dekady liczba podopiecznych spadła aż o 4248 osób. W danych z krakowskiej izby widać jednak jeszcze inną, już niepokojącą tendencję. Liczba udzielonych noclegów spada zauważalnie szybciej od liczby osób, które policja, pogotowie lub straż miejska dowożą tu do ocucenia. A to oznacza, że stali bywalcy ośrodka pojawiają się w nim coraz częściej.

Krakowskie pogotowie ratunkowe, podobnie jak inne takie placówki, nie prowadzi statystyk interwencji do osób po alkoholu. Jak tłumaczy rzeczniczka Joanna Sieradzka, w wielu przypadkach ratownicy mogą mieć najwyżej podejrzenia, że udzielają pomocy osobie nietrzeźwej. Zaznaczają to w karcie zdarzenia, ale taka informacja podlega ochronie tak jak inne dane osobowe pacjenta. Poza protokołem pracownicy pogotowia są jednak bardziej skłonni do zwierzeń.

Krystian, ratownik medyczny: – Dostaliśmy niedawno wezwanie do jednego z urzędów. Środek tygodnia, nie było jeszcze południe, upał jak diabli. Urzędniczka spadła ze schodów, uszkodziła sobie zuchwę i zwichnęła nogę. Od razu wyczułem alkohol, spytałem więc dyskretnie, ile wypila i czego. Okazało się, że w piątą godzinę pracy pani referentka kończyła trzecią „małpkę”.

„Małpka”, czyli alkohol w niewielkich, zwykle stumililitrowych buteleczkach, funkcjonuje w Polsce od lat. Jak twierdzi językoznawczyni Katarzyna Kłosińska, słowo to występowało w gwarze warszawskiej już na początku XX wieku na określenie butelek o pojemności osiemdziesięciu mililitrów. Na początku kolejnego stulecia „małpki” upowszechniły się w całym kraju, odnosząc spektakularny sukces rynkowy, który cieszy właścicieli koncernów alkoholowych – i niepokoi resztę, na czele z terapeutami uzależnień. Każdego dnia Polacy kupują około 3 mln takich buteleczek. Milion schodzi w porze śniadaniowej. Alkohol w kieszonkowym formacie przestaje być produktem do biesiadowania. Wręcz zaprasza do picia w pojedynkę, nierzadko pokątnego, wykorzystującego każdą nadarzącą się do tego sposobność. I trafia na podatny społeczny grunt.

Badanie „Zmiana profilu konsumpcji napojów alkoholowych w Polsce w trakcie i po pandemii”, przeprowadzone

11,9 proc.

Tyłu respondentów w 2022 roku przyznało, że przynajmniej raz w tygodniu czuje potrzebę napicia się rano alkoholu, żeby dojść do siebie po intensywnym piciu dzień wcześniej.

Tymczasem w czasie pandemii odsetek takich odpowiedzi wynosił **11,4 proc.**, a przed wprowadzeniem lockdownu – tylko **8,6 proc.**



LEV DOLGACHOV / STOCK.ADOBE.COM

dzione w sierpniu 2022 r. przez firmę SW Research pokazało, że pandemiczny stres wpłynął niszczycielsko na polski sposób picia. Aż 27 proc. ankietowanych przyznało, że pije w sposób ryzykowny i szkodliwy, czyli powyżej 6 litrów czystego alkoholu rocznie. 11,6 proc. tej grupy stanowiły osoby pijące powyżej 12 litrów czystego alkoholu rocznie. W porównaniu z rokiem 2019 oznaczało to wzrost aż o osiem punktów procentowych. Na pytanie „jak często musisz napić się rano alkoholu, żeby dojść do siebie po intensywnym piciu” 11,9 proc. respondentów odpowiedziało, że odczuwa taką potrzebę przynajmniej raz w tygodniu. W czasie pandemii odsetek takich odpowiedzi wynosił tymczasem 11,4 proc., a przed wprowadzeniem lockdownu – tylko 8,6 proc. Aż 11,1 proc. ankietowanych w 2022 r. przyznawało się także do tego, że przynajmniej raz w tygodniu nie jest w stanie pohamować potrzeby dalszego samotnego picia po porannym „klinie”. Przed pandemią do takich problemów przyznawał się co dziesiąty ankietowany.

Serial, bańka i do spanka

Trend widoczny w tych wynikach również może się wydać na razie marginalny, ale z jednego powodu lepiej go nie lekceważyć. Rodzący się właśnie w Polsce styl picia niesie ze sobą ryzyko poluzowania

bezpieczników kontroli społecznej. Polska czynna nieprzypadkowo roi się od wyrażen podkreślających biesiadny, wspólnotowy charakter konsumpcji procentów. „Chluśniem, bo uśniem”, „Zdrowie wasze w gardła nasze”, „Ze mną się nie napijesz?”... Z drugiej strony, jednoznacznie tabuizuje picie ukradkiem, „do lustra”, utożsamiając je z ostatnią, schyłkową fazą choroby alkoholowej.

To obyczajowe *status quo* pandemia odesłała na śmietnik. Kilka miesięcy lockdownu wystarczyło, by to, co dotychczas uchodziło za skrajność, weszło do głównego nurtu.

– Alkohol i kontakty międzyludzkie to bodaj najskuteczniejsze sposoby rozładowywania stresu, jakie zna nasz gatunek – podkreśla Wojciech Fijałkowski, terapeuta uzależnień związany od kilku dekad ze środowiskiem opolskiego MONAR-u. – Kiedy zamknięto nas w domach, te drugie stały się niedostępne. Siedzieliśmy więc w odosobnieniu przed telewizorami, karmieni kolejnymi żółtymi paskami z danymi o rosnącej liczbie zgonów, i narastało w nas napięcie. Alkohol był na wyciągnięcie ręki, wielu z nas zaczęło więc sięgać po niego częściej niż zwykle. Uczucie ulgi, choć chwilowe, było tak kuszące, że wielu zaczęło pić jeszcze częściej i jeszcze więcej. Było o tyle łatwiej, że wcześniej po ostrym za-

picu trzeba było pójść do pracy. W trakcie lockdownu można było bezkarnie zaklinować nawet podczas porannego zebrania. W gabinecie słyszę takie opowieści coraz częściej – podkreśla Fijałkowski.

Powrót na wschód

Polska kultura picia – jak zauważa prof. Andrzej Fal, prezes Polskiego Towarzystwa Zdrowia Publicznego – wskutek pandemii przesunęła się z powrotem w stronę modelu typowego dla krajów Europy Wschodniej, czyli z rosnącym udziałem napojów wysokoprocentowych kosztem tych o mniejszej zawartości alkoholu oraz malejącym udziałem piwa. Być może to chwilowe wahnięcie trendu, ale historia i tak sprawiła nam psikusę wątpliwej jakości, bo prymat gorzałki nad słabszymi alkoholami ma na ziemiach polskich relatywnie krótką metrykę.

Przez stulecia ziemie Rzeczypospolitej były krainą piwa i miodów pitnych. Pierwszą falę popularności mocnego alkoholu przyniósł dopiero kryzys ekonomiczny, który rozszalał się po wojnie trzydziestoletniej. W realiach powojennej Europy gospodarka folwarków szlacheckich, oparta na eksporcie zboża, natrafiła na poważne trudności. Plantatorzy pozostali z nadwyżkami w spichrzach i szybko doszli do wniosku, że najprostsza droga wyjścia z tych

→ problemów prowadzi przez gorzelnię. Jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku w Wielkopolsce jedna destylarnia przypadała średnio na ponad 50 wsi. Sto lat później gorzelnia działała już w co dziesiątej wiosce, a pod koniec istnienia Rzeczypospolitej jedna przypadała na 6–7 wsi. Mocna, czasem nawet 80-procentowa, gorzalka była po prostu łatwiejsza w przechowywaniu od niepasteryzowanego piwa, gwarantowała też producentom wyższą marżę na każdym kilogramie zboża wykorzystanego do produkcji. Nic dziwnego, że już pod koniec XVII wieku alkohol na ziemiach polskich po raz pierwszy stał się wyznacznikiem statusu społecznego. Szlachta piła nadal piwo oraz wino i coraz częściej zaglądała do butelek z wódką (wtedy właśnie to słowo, znane polszczyźnie mniej więcej od czasów Kazimierza Wielkiego, zaczęło zastępować „okowitę” i „gorzalkę”). Chłopi upijali się natomiast już niemal powszechnie dostępną i tanią wódką, która szybciej dawała też upragnione poczucie odurzenia.

Polskie domowe picie Anno Domini 2024 jest w pełni egalitarne. Bez względu na to, czy raczysz się dwudziestoletnią szkocką *single cask* pod najnowsze arcydzieło koreańskiej kinematografii, czy otwierasz sześciopak mocnego piwa z dyskontu do meczu polskiej pierwszej ligi, masz taką samą gwarancję anonimowości i takie same, nazbyt łatwe wytłumaczenie, że nie dzieje się nic niepokojącego. Wieczorne popijanie wprost woła o połączenie z rytuałem wieczornego seansu przed telewizorem. Język angielski, *lingua franca* epoki globalizacji, termin *binge watching*, oznaczający kompulsywną konsumpcję seriali, zapożyczył przecież od wyrażenia *binge drinking*, czyli potocznej nazwy picia na umór.

Wojciech Fijałkowski: – Jako terapeuta uzależnień nie nazwę normalnością sytuacji, kiedy ktoś każdego wieczora wypija po dwa piwa, ale nie powiem też, że mamy już do czynienia z sytuacją alarmową. Problem w tym, że tysiące takich mikroproblemów składają się na poważny problem społeczny, za który wszyscy będziemy płacić latami. Alkohol to nie fentanyl, uzależnia i niszczy wolniej.

Minima, maksima

Zliczając społeczne i gospodarcze koszty alkoholizmu zwykliśmy w Polsce



FIREFLY / STOCK.ADOBE.COM X3

11,7 l

Kiedy alkoholizm staje się problemem społecznym? WHO za taki próg uważa 12 litrów czystego alkoholu wypitego rocznie w przeliczeniu na mieszkańca. Polskie statystyki na razie są od niego dalekie, ale tylko dlatego, że spożycie dzielimy na wszystkich mieszkańców. Gdyby przyjąć metodologię Eurostatu, która liczy konsumpcję w przeliczeniu na mieszkańców powyżej 15. roku życia, otrzymamy już 11,7 litra czystego alkoholu na osobę rocznie.



5,6 l

W populacji mieszkanki Polski w wieku od 15 lat wżwyz na jedną kobietę przypada dziś statystycznie 5,6 litra wypitego czystego alkoholu rocznie.



18,4 l

Statystyki zawiżają natomiast mężczyźni, na których przypada aż 18,4 litra na osobę rocznie.

uwzględniać przede wszystkim skrajności. Na rachunku widnieje więc detoks, sprzątanie miejsc kilku tysięcy wypadków drogowych z udziałem pijanych, leczenie ich ofiar, niebieskie karty założone sprawcom domowej przemocy, budżety izb wytrzeźwień. Są tam nawet koszty tzw. rent alkoholowych, wypłacanych obecnie przez państwo około trzem tysiącom obywateli, którzy zrujnowali sobie zdrowie nadmiernym zamięłowaniem do procentów. Podsumowując ten rachunek, Polska Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych zatrzymała się w 2020 r. na kwocie 93,3 mld zł rocznie – czyli niemal siedmiokrotności ówczesnych dochodów budżetu z tytułu akcyzy na alkohol! Gdyby doliczyć do niego także korzyści utracone z powodu choćby zmniejszonej produktywności „dzień po” oraz przedwczesnych zgonów, bilans zysków i strat wypadłby dla producentów alkoholu jeszcze gorzej. A jednak nie przeszkadza im to funkcjonować w przestrzeni publicznej w roli kreatorów miejsc pracy i płatników podatków, którzy „utrzymują budżet”.

W zeszłym roku, jak wynika z danych badania NielsenIQ, na wódkę wydano w Polsce 16,8 mld zł. Na piwo – 22,8 mld zł. Tylko te dwie pozycje w narodowym rachunku za alkohol, bez wina, likierów i bardziej egzotycznych trunków, stanowiły równowartość 20 proc. polskich wydatków na cele spożywcze. Lwia część tej fortuny trafiła na konta kilku największych producentów.

Można jednak spojrzeć na tę statystykę z drugiej strony. Wówczas okaże się, że blisko 70 proc. polskich wydatków na alkohol pochodziło z kieszeni zaledwie... 17 proc. najczęściej pijących konsumentów, czyli ludzi silnie uzależnionych od substancji psychoaktywnej, jaką jest etanol.

Pomysł, by przyjąć im z pomocą w formie minimalnej ceny alkoholu, może wydawać się karkołomny, ale doświadczenia innych krajów pokazują, że skuteczniejsza metoda po prostu nie istnieje. Podwyżki akcyzy skutkują symbolicznym zwrotem cen objętych nią trunków. Mazowiecki Związek Stowarzyszeń Abstynenckich od lat apeluje więc do władz polskich o zastąpienie jej ceną minimalną za jednostkę czystego alkoholu. Proponuje nawet stawkę na poziomie 2,5 zł za każdych 10 gramów 100-proc. alkoholu zawartego w produkcie.

Cena detaliczna pół litra wódki 40-proc. wzrosła dzięki temu z obecnych 20-30 zł do ok. 50 zł, a butelki popularnego piwa z ok. 4 zł do 6-7 zł. Przemysł spirytusowy ustami swoich lobbystów zwykle zestawia takie propozycje z figurą ubogiego koniesera win, któremu antyalkoholowi zeloci zamierzają wylać hobby z kąpielą. W rzeczywistości w tej rozgrywce chodzi jednak nie o pieniądze tych, którzy od czasu do czasu chcą dla przyjemności napić się dobrego alkoholu, lecz o tych, którzy każdego ranka szacują, jak najniższym kosztem pozabawić się przytomności. Wprowadzenie ceny minimalnej alkoholu w znikomym stopniu wpłynęłoby na cenę detaliczną burgundzkiego *pinot noir* czy szkockich single maltów, bo tu płaci się przede wszystkim za renomę i tradycję stojącą za regionem oraz producentami. W świecie tanich win i piw „jasnych ekstra mocnych” oznaczałoby jednak rewolucję. Cena minimalna pod znakiem zapytania postawiłaby m.in. sens istnienia specyfików w rodzaju słynnej Amareny z jednego z polskich dyskontów, która w cenie piwa oferuje 0,7 l kilkunastoprocentowego alkoholu. Niemożliwe byłyby także sezonowe promocje alkoholowe z gatunku „zapłać za sześć piw, odbierz dwanaście”.

Pij drożej, żyj dłużej

Minimalną cenę alkoholu w 2018 r. wprowadziła Szkocja, która od października podnosi ją w dodatku z 50 do

Termin „binge watching”,
oznaczający kompulsywną
konsumpcję seriali,
pochodzi wprost
od wyrażenia
„binge drinking”,
czyli potocznej nazwy
picia na umór.

65 pensów za każde 10 g czystego alkoholu. W efekcie w całym kraju butelki whisky nie będzie można kupić taniej niż za 18,2 funta (obecnie – 14 funtów). Puszka piwa będzie kosztować co najmniej 1,3 funta, a standardowa butelka wódki – 17,06 funta. Szkoci nie obawiają się martwicy ruchu turystycznego, nie oczekują też fali bankructw właścicieli pubów. Doświadczenia z poprzedniej podwyżki pokazały, że właścicielom lokali gastronomicznych spadek ruchu rekompensują wyższe przychody. Korzyści po stronie państwa są oczywiste: spadek przestępczości i dalsza poprawa statystyk długości życia. Według danych szkockiej służby zdrowia z 2022 r., już pierwsza regulacja ceny minimalnej doprowadziła do spadku o 13,5 proc. liczby zgonów spowodowanych nadużywa-

niem alkoholu w porównaniu do spożywanej liczby takich przypadków przy założeniu, że nie doszłoby do wprowadzenia ceny minimalnej.

Petycja Mazowieckiego Związku Stowarzyszeń Abstynenckich w sprawie ceny minimalnej trafiła wiosną do Senatu, a ten wystąpił o opinię do resortów zdrowia i finansów przed ewentualnym skierowaniem jej do Sejmu. W obu ministerstwach do wakacji nikt się sprawą nie zajął. Oficjalnie politycy nazywają pomysł interesującym i widzą dla niego miejsce w pakiecie rozwiązań, które mają zmniejszyć ekspozycję Polaków na wyroby alkoholowe. Resort zdrowia zapowiada dalsze podwyżki akcyzy, chce też wycofania wyrobów alkoholowych ze stacji benzynowych i z zainteresowaniem spogląda w stronę rozwiązań niektórych samorządów, które na swoim terenie wprowadziły już zakaz sprzedaży takich napojów w sklepach w godzinach nocnych.

Suma tych pomysłów, po wdrożeniu w życie, mogłaby faktycznie sprawić, że alkohol przestanie być królem polskiej przestrzeni publicznej i nie będzie atakować potencjalnych konsumentów za każdym rogiem.

Producenci alkoholu w reakcji na takie zapowiedzi straszą wizją powrotu instytucji meliny. Problem w tym, że już dziś centra wielu polskich miast zmieniają się w nią każdego wieczora.

© P MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiar: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabin, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Mateusz Gawron, Lech Krupa, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałek, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Róbiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Bez kobiet ani rusz



CÓRKI: „DAJ NAM CZĘŚĆ ZIEMI WRAZ z braćmi naszego ojca”. Mojżesz: „Córka nie może dziedziczyć”. Córki: „Dlaczego?”. Mojżesz: „Jesteście kobietami”. Córki: „Więc niech nasza matka zawrze jibum [czyli niech poślubi ją *levir* – po łac. szwa-

gier; małżeństwo lewirackie zawiera się z żoną zmarłego bezpotomnie brata, pierwszy syn nowej pary jest według prawa spadkobiercą zmarłego] i w ten sposób pocznie dziedzica”. Mojżesz: „To niemożliwe – gdy pierwsza para miała dzieci, jibum już nie jest możliwy”. Córki: „Sam sobie przeczysz, Mojżeszu. Albo nie jesteśmy potomstwem i naszej matki dotyczy obowiązek jibum, albo jesteśmy potomstwem i możemy same odziedziczyć ziemię”. Wówczas przekonały Mojżesza. Kiedy uznał zasadność ich skargi, natychmiast przedstawił ich sprawę Najwyższemu – tak wyobraził sobie autor midrasza ledwie zarysowany w Biblii dialog między córkami Celofchada a pustynnym przywódcą.

Z Tircą, Noą, Milką, Machlą i Chogłą spotkaliśmy się już w zeszłym tygodniu, lecz ich sprawa właśnie powróciła na wokandę z powodu apelacji złożonej przez zatroskanych krewnych. Jeśli kobiety poślubią przedstawicieli innych plemion, po ich śmierci ziemia przejdzie na własność ich dzieci, formalnie przyporządkowanych klanom swoich ojców – czyli powiększy to stan posiadania innych plemion na niekorzyść Manassesza, którego potomkiem był Celofchad. By uniknąć takiej sytuacji – brzmi wyrok – córki Celofchada oraz wszystkie inne kobiety w podobnej sytuacji rodzinnej muszą ograniczyć swoje plany matrymonialne do przedstawicieli własnego plemienia. Talmud spieszy nas poinformować, że było to jedynie rozwiązanie przejściowe, obowiązujące przez kolejnych 14 lat, póki podział Kanaanu między izraelskie klany był jedynie dzieleniem skóry na niedźwiedziu. Po osiedleniu w Ziemi Obiecanej można już było parować się, nie zważając na plemienną przynależność. Nic dziwnego, że perspektywa się zmieniła, skoro między Biblią a Talmudem przynależność do Dzieci Izraela dziedziczona po ojcu przeszła w żydowskość po matce.

A kiedy – według prawa żydowskiego – spełniliśmy przykazanie posiadania potomstwa? Jedna opinia mówi: gdy mamy przynajmniej dwóch synów (jak Mojżesz, zob. 1 Krn 23, 15), druga – syna i córkę, wszak „[m]ężczyznę i niewiastę stworzył ich” (Rdz 5, 2; Cyilkow). Jak by nie patrzeć – bez kobiet ani rusz. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Miła woń



BOHDAN I SWITŁANA DŁUGO STARALI SIĘ o dziecko. Spodziewając się, że Bohdan w każdej chwili może zostać powołany do wojska i pójść na front, zdecydowali się na *in vitro*. Switłana, że jest w bliźniaczej ciąży, dowiedziała się trzeciego dnia po po-

grzebie Bohdana. Jak żyć, będąc rozpiętym między niewymowną radością i rozpaczą? Nocami budziła się, by z przerażeniem stwierdzić, że Bohdana przy niej nie ma, przecież został zabity. Ale wystarczyło „jedno kopnięcie w brzuchu, żeby złe myśli ulatywały”, mówi Switłana. Czasami mówi do Bogdana: „Chciałeś mieć syna albo przebojową dziewczynkę. Dałam ci dwoje, a ty nigdy nie zobaczysz, jak będą rosły”. Switłana pod koniec rozmowy z Tatianą Kolesnychenko i Dariuszem Farnem mówi: „Teraz myślę: Bóg próbuje oddać, co zabrał”.

To zdanie przygważdza człowieka i jednocześnie unosi ponad wszystkie paradygmaty i dogmaty, domagając się istnienia innego porządku od tego, w którym ostatnie zdanie należy do zbrodniarzy. A że taki świat istnieje, świadczą ci, którzy nie dają się zwieść fałszywemu pięknu zła. Którzy zepchnięci na samo dno piekła, również tam znajdują powód do dalszego istnienia i działania. Wierzą, że Bóg jest „miłośnikiem życia” i „wszystko jest w jego ręku”. A jeśli przyszło im żyć w piekle, to nie przypadek, skoro jako dzieci Boga postavili się do jego dyspozycji. Widzą siebie, jako powołani i wysłani przez Boga właśnie tam, gdzie się w tej chwili znajdują. Dlatego zamiast wciąż śpiewać „Przemień, o Jezu, smutny ten czas”, mówią do Boga: „Oto jestem, poślij mnie”.

Paweł Apostoł mówi: „Bądźcie więc naśladowcami Boga jak umiłowani dzieci i życie w miłości na wzór Chrystusa, który nas umiłował i samego siebie wydał za nas jako dar i ofiarę dla Boga, jako miłą woń”. A czym jest ta miła woń, która sprawia Bogu tak wielką przyjemność, mówi jego Syn: „Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Ktokolwiek będzie spożywał ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata (...). Kto Mnie spożywa, będzie żył dzięki Mnie”.

Bohdan Nazar, mąż Switłany, i wielu innych, walcząc i ginąc, „dają swoje ciała za życie świata”. Dzięki nim żyjemy. Wiedząc o tym i nie wiedząc, udowodnili, że są naśladowcami Syna Boga w życiu, w śmierci i wniebowstąpieniu. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Babilon w głowie

Gdy gniew wstrząsa duszą,
umysł nie jest w stanie
trwać w pamięci o Bogu.

DIADOCH Z FOTYKI



Oto najwyższa modlitwa:
posiąść całą mądrość
i modlić się jak małe dziecko.

MENACHEM MENDEL
Z RYMANOWA

ZUPEŁNIE NIESŁYCHANY tekst przeświecił nas niedawno w liturgii mszalnej. Oto Pan wzywa proroka Jere-

miasza: „Idź i kup sobie lniany pas, i włóż go sobie na biodra”; a potem zaraz mówi do niego: „Weź pas, który kupiłeś, a który nosisz na biodrach, wstań i idź nad Eufrat, i schowaj go tam w rozpadlinie skały”. A kiedy – po upływie „wielu dni” prorok wraca nad Eufrat, by zabrać stamtąd pozostawiony pas, znajduje go „zbutwiałym” i „nie nadającym się do niczego” (zob. Jer 13, 1-11).

Obraz jest czytelny i prosty. Mówi o tym, co stało się z Izraelitami: z narodu, który był jak Pańska szata – ściśle przylegająca do właściciela (przecież nie jedynie zewnętrzną formą) – stali się bezużyteczni i obcy, oddają się bałwochwalczym kultom babilońskich bogów (czczonych nad Eufratem).

Problem jednak polega na tym, że kiedy Jeremiasz wykonuje – z polecenia Pana – ową symboliczną akcję, Izraelici nie znajdują się jeszcze w Mezopotamii; niewola babilońska pozostaje dla nich jeszcze daleką przyszłością. W rzeczy samej „Eufrat”, o którym mówi Pan Bóg, znajduje się jakieś 10-15 kilometrów od Jerozolimy – 4 mile od Anathoth (poświadczone w Joz 18, 23 jako: Parah), którego nazwa

przywołuje słowo „Eufrat” (hebr. *Perat*). Żyją więc ciągle na swojej ziemi, która jest Ziemią Boga, a dla nich Ziemią Obiecaną. Są u siebie. Nie zostali pojmani i uprowadzeni do bałwochwalczego Babilonu. Cóż więc prorok chce im powiedzieć?

Czy nie to właśnie, że zanim zostaną uprowadzeni do Babilonu fizycznie – po zdobyciu Jerozolimy przez Nabuchodonozora – już znajdują się w nim duchowo: z własnego, wolnego wyboru, wskutek własnej, nieskrępowanej decyzji. Sami wybrali babilońskich bogów, poddając im swój sposób myślenia i postępowania. Niewola babilońska – która w przyszłości nastąpi – będzie więc dla nich nie tyle „karą Bożą” za odstępstwo, co raczej konsekwencją i potwierdzeniem ich własnych wyborów. Duchowo już stali się obywatelami Babilonu.

Prawda, że może dopiero wtedy, gdy w Babilonie zostaną zredukowani do roli niewolników, będą w stanie prawdziwie ocenić swoje poprzednie decyzje.

Przyznajcie, to mocny tekst – wywołujący do tablicy naszą odpowiedzialność – zwłaszcza tam, gdzie chcielibyśmy ją zrzucić na zewnętrzne i wrogie „siły”. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 VIII)

19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 4-8;

Ps 34; Ef 4, 30 – 5, 2; J 6, 41-51;

Poniedziałek: Ez 1, 2-5. 24-28c;

Ps 148; Mt 17, 22-27;

Wtorek: Ez 2, 8 – 3, 4; Ps 119;

Mt 18, 1-5. 10. 12-14;

Środa: Ez 9, 1-7. 10, 18-22;

Ps 113; Mt 18, 15-20;

Czwartek, uroczystość Wniebowzięcia NMP:

1 Krl 15, 3-4. 15-16. 16, 1-2; Ps 132;

1 Kor 15, 54b-57; Łk 11, 27-28;

Piątek: Ez 16, 1-15. 60. 63. lub Ez 16, 59-63;

Ps: Iz 12, 2-6 45; Mt 19, 3-12;

Sobota: Ez 18, 1-10. 13b. 30-32; Ps 51; Mt 19, 13-15;

20. niedziela zwykła: Prz 9, 1-6;

Ps 34; Ef 5, 15-20; J 6, 51-58.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

PERSPEKTYWA OJCA

„Perspektywa Sary” to kontrowersyjny projekt rodziców,
których 10-letnia córka – wykreowana na ikonę
wolności słowa i praw dziecka
– sama jest tych praw pozbawiana.

ANNA GOLUS



CO TO JEST MANIPULACJA I CZYM SIĘ różni od propagandy? „Czy należy usunąć punkty trzeci, czwarty, piąty, szósty artykułu sto dwudziestego drugiego Konstytucji?” – takie pytania zadaje politykom najmłodsza dziennikarka z akredytacją w Sejmie i Senacie, Sara Małecka-Trzaskoś. Dziewczynka zaczęła pracować jako reporterka sejmowa dla serwisu ibo-ma.media pół roku temu, mając 10 lat. Do dziś w tym serwisie i w mediach społecznościowych – na kanałach „Perspektywa Sary” na TikToku, Instagramie i YouTube – opublikowano kilkadziesiąt jej rozmów z politykami, m.in. z Donaldem Tuskiem, Szymonem Hołownią, Grzegorzem Braunem i Barbarą Nowacką.

Wolność słowa

O dziewczynce zrobiło się głośno w połowie lipca za sprawą Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS, schodząc po schodach

i rozmawiając z dziennikarzami o dekryminalizacji aborcji, powiedział do Sary, która czekała na niego na dole: „Wiesz, może to nie są sprawy dla dzieci, także, kochana, odejdz sobie”. Sara odpowiedziała, że ma wolność słowa, na co on: „Ale wolność słowa nie jest dla dzieci, na prawdę odejdz”. To nie było jego pierwsze spotkanie z Sarą – wcześniej rozmawiał z nią dwukrotnie, w spokojniejszych okolicznościach: o manipulacji i artykule 99. Konstytucji.

O tym jednak liczni krytycy prezesa PiS nie wiedzieli. Niektórzy nie wiedzieli nawet, że Sara ma konto na TikToku, choć nie powinna, bo z tego serwisu można korzystać od 13. roku życia. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę wyraziła w mediach społecznościowych „sprzeciw wobec oburzających słów jednego z polityków”, a prezeska FDDS dodała w komentarzu na Facebooku, że z tego, co wie, Sara prowadzi bloga o prawach dziecka. Poseł Marcin Józefaciuk z KO złożył do Komisji Etyki Poselskiej wniosek o ukaranie Kaczyńskiego, a jego klubowa koleżanka Ewa Kołodziej skierowała do Sary list, w którym wyraziła żal z powodu zachowania prezesa PiS i senatora Jana Hamerskiego (który bez słowa odsunął rękę Sary, gdy chciała podsunąć mu mikrofon i zadać pytanie).

„Śledzę Twoją działalność internetową w Twoim profilu »Perspektywa Sary« (...) Twoje zaangażowanie w życie polityczne budzi mój głęboki podziw i uznanie” – zapewniła posłanka i zaprosiła Sarę do wspólnej pracy na rzecz edukacji żywieniowej młodych osób. Zaintervenowała też u rzeczniczki praw dziecka w sprawie incydentów z Kaczyńskim i Hamerskim. Sama rzeczniczka Monika Horna-Cieślak również wyraziła sprzeciw wobec słów Kaczyńskiego, podobnie jak były RPD Marek Michalak, Komitet Ochrony Praw Dziecka, fundacja Kosmos dla Dziewczynki (która również podała, że Sara ma bloga), a także były przewodniczący państwowej komisji ds. pedofilii Błażej Kmiecik oraz inni.

To nie cenzura

„W przypadku Sary, niezależnie od motywów ojca, należałoby coś z tym zrobić, a nie koncentrować się na tym, że pan Kaczyński powiedział, co powiedział”

15. posiedzenie Sejmu X kadencji,
Warszawa, 12 lipca 2024 r.

– stwierdziła psycholożka dr Aleksandra Piotrowska w wypowiedzi dla serwisu zdrowie.pap.pl. Jej słowa zostały jednak wycięte z opublikowanego już na stronie PAP artykułu Beaty Igielskiej „Mała dziennikarka. Co z dobrem dziecka?”. Usunięto również stanowiący puentę tekstu fragment wypowiedzi logopedki dr Danuty Emiluty-Rozy. Ekspertka mówiła o terapii dzieci z problemami zdiagnozowanymi też u Sary (i upublicznionymi osobiście przez jej rodziców): „(...) Ważne są więc doświadczenia werbalne w nowym otoczeniu, żeby dziecko wiedziało, że potrafi porozumiewać się słownie w różnych sytuacjach. Ale czy aż tak, że dziecko idzie prowadzić rozmowy w Sejmie? Tu miałabym wątpliwości. Czy nie narażamy go w ten sposób na sytuacje trudne?”. Wycięto trzy ostatnie zdania.

Dlaczego? Redaktor naczelny PAP Wojciech Tumidański zapewnia, że to nie cenzura, lecz „nie najlepsza decyzja” podjęta podczas ponownej obróbki redakcyjnej tekstu po interwencji rzeczniczki prasowej RPD. Zwróciła się ona do PAP w związku z przedrukowaną w artykule Igielskiej wzmianką o tym, że według rzeczniczki praw dziecka rozwijanie zainteresowań usprawiedliwia nieobecność dziecka w szkole. Słowa te są rozpowszechniane przez ojca Sary, ale według rzeczniczki prasowej – Monika Horna-Cieślak ich nie wypowiedziała. Z artykułu Igielskiej usunięto więc ten fragment, a ona sama opublikowała na Facebooku przeprosiny.

Biuro RPD nie odpowiada wprost na pytanie, czy Monika Horna-Cieślak użyła cytowanych słów oraz czy obiecała dziewczynce, że napisze jej usprawiedliwienie za nieobecność w szkole. Przesyła mi natomiast link do postu z przeprosinami Igielskiej na Facebooku.

Idź porysuj

Z Sarą i jej rodzicami spotkałam się w łodziarni w Gdańsku. Podczas trzygodzinnego spotkania najpierw rozmawiałam z Sarą, a następnie, przez ponad dwie godziny, z rodzicami, Franciszkiem i Marzeną Małeckimi-Trzaskoś. Rodzice kilkakrotnie wtrącali się, zadawali córce pytania, a raz – gdy zaczęła mówić o czymś, czego sobie nie życzyli – przerwali jej wypowiedź. Ojciec poprosił też Sarę, by opowiedziała mi o spotkaniu z rzeczniczką →



PAWEŁ WODZIŃSKI / EAST NEWS

→ praw dziecka i jej obietnicy, że napisze dziewczynce usprawiedliwienie.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, ojciec kazał Sarze iść porysować. Powiedziałam, że może zostać, jeśli chce. Chciała, ale rodzice ponownie kazali jej odejść. Dodałam jeszcze, że może do nas wrócić, jeśli będzie się nudzić, ale przez ponad dwie godziny nie zrobiła tego, chociaż wyglądała na wyraźnie znudzoną. W pewnym momencie przesiadła się tylko do innego stolika, bliżej nas.

Perspektywa rodzica

Rodzice Sary twierdzą, że córka nie ma smartfona ani laptopa, posiada tylko limitowany dostęp do tabletu, do wybranych przez rodziców aplikacji. Może z niego korzystać jedynie w weekendy, gdy wywiąże się ze wszystkich swoich obowiązków szkolnych i pozaszkolnych. To oni też prowadzą konta „Perspektywa Sary” w mediach społecznościowych, ale fakt, że to nie Sara jest autorką postów, ujawnili dopiero po naszej rozmowie w lipcu. Mówią, że wcześniej pisali w jej imieniu, ale czasem pytali ją, co chciałaby napisać. Są pewni, że Sara będzie chciała prowadzić działalność dziennikarską w Sejmie przez wiele lat.

Twierdzą też, że choć córka od dawna chce mieć smartfona, otrzyma go dopiero, gdy skończy podstawówkę, czyli w wieku 16 lat. I to nie podlega dyskusji. Na pytanie, co w sytuacji, gdy jako np. 14-latką zarzuci im hipokryzję – bo nie pozwalają jej korzystać ze smartfona i mediów społecznościowych, a jednocześnie sami wykorzystują i kreują jej wizerunek w internecie – odpowiadają, że w takiej sytuacji postawią przed nią wybór: albo własny smartfon (z limitami), albo kontynuacja projektu „Perspektywa Sary”. Matka już teraz wie, co dziecko wybierze.

Ich córka codziennie ogląda z nimi „Fakty” i „Wiadomości”, przy czym najpierw robi to sam ojciec – nagrywając je i sprawdzając, czy nie ma w nich treści nieodpowiednich dla dziecka, np. informacji o ludobójstwach – a następnie wszyscy razem z Sarą oglądają treści nagrane i wybrane przez ojca.

Sara ponoć sama wymyśla pytania, które zadaje politykom. Codziennie zapisuje w brudnopisie dwa pytania, rodzice sprawdzają je i poprawiają błędy, po czym ona przepisuje poprawione wersje do drugiego zeszytu, na czysto. Rodzice zapew-

Rodzice Sary uważają, że jej działalność to forma terapii logopedycznej.

Dokumenty mówią co innego: taka praca jest **sprzeczna z zaleceniami poradni psychologiczno-pedagogicznej.**

niają też, że „Perspektywa Sary” to inicjatywa i projekt własny ich córki, która realizuje swoją pasję i rozwija zainteresowania. Twierdzą, że choć Sara ma legitymację prasową i akredytację sejmową, jej działalność dziennikarska nie jest pracą i nikt na niej nie zarabia, dlatego zezwolenie inspektora pracy ani umowa z iboma.media nie są potrzebne.

„Ze względu na niezwykłość projektu, jakim jest cykl wywiadów realizowanych przez Sarę, projekt ten ma charakter całkowicie autonomiczny i na ten temat proszę rozmawiać z rodzicami Sary, którzy go wymyślili i realizują. Sara podczas swoich działań dziennikarskich jest zawsze pod opieką rodzica lub rodziców. Dodam, ponieważ takie pytania również się pojawiają, że projekt ten ma charakter non-profit i nikt na nim w żaden sposób nie zarabia ani w żaden inny sposób nie czerpie z niego korzyści. Taki jest zresztą charakter strony www.iboma.media. Nie ma tam żadnych reklam ani materiałów sponsorowanych” – informuje Mateusz Cieślak, redaktor naczelny iboma.media i katowicedzis.pl. Ten drugi serwis nie ma charakteru non-profit, ale również tu dziewczynka jest przedstawiana jako „nasza dziennikarka” i „najmłodszy członek zespołu”.

A na kanale Sary na YouTube trafiam na włączone reklamy.

Słowa kontra dokumenty

Rodzice Sary uważają, że jej działalność dziennikarska stanowi skuteczną formę terapii logopedycznej. Dziewczynka zrobiła dzięki niej ogromne postępy, logopeda jest zachwycony i nawet w orzeczeniu o potrzebie kształcenia specjalnego jest wyraźnie napisane, że zainteresowania dziennikarskie Sary mają pozytywny

wpływ na leczenie. Pozwolili mi jednak sfotografować to orzeczenie. Okazało się, że niczego takiego w nim nie ma. Przeważnie. Po lekturze dokumentu nie mam wątpliwości, że zarówno praca Sary w Sejmie, jak i udzielanie przez nią wywiadów stoją w sprzeczności z zaleceniami ekspertów z poradni psychologiczno-pedagogicznej (neurologa, logopedy, psychologa i pedagoga). Sugerują oni stworzenie dziecku przyjaznej atmosfery, wolniejszego tempa pracy w szkole i większą ilość czasu na utrwalenie nowego materiału, a nawet nieodpytywanie Sary na forum klasy, jeśli wymagałoby to dłuższych wypowiedzi. Polski parlament nie kojarzy się z tego rodzaju atmosferą.

Państwo Małeccy-Trzaskoś starali się ponadto przekonać mnie, że dyrektorka szkoły (której nazwę rodzice już wcześniej upublicznili, podobnie jak diagnozę córki) zgłosiła ich rodzinę do sądu rodzinnego i Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, bo nie podoba się jej działalność dziennikarska Sary oraz wciąganie jej w politykę. Zapewniali, że ani kurator rodzinny, ani pracownicy socjalni nie dopatrzyli się niczego niepokojącego.

„Sędzia rodzinny na podstawie wywiadu środowiskowego sporządzonego przez kuratora sądowego nie stwierdził podstaw do podjęcia czynności nadzorczych związanych ze sprawowaniem władzy rodzicielskiej nad małoletnią” – potwierdza rzecznik prasowy ds. cywilnych Sądu Okręgowego w Gdańsku, sędzia Łukasz Ziola.

Gdański MOPR (podobnie jak szkoła) nie może udzielać informacji, ale pracownik socjalny pozwolił rodzicom sfotografować wniosek, jaki szkoła w połowie lutego skierowała do ośrodka – oni zaś przesłali go do mnie. Nie znalazłam w jego treści ani jednej wzmianki o działalności Sary. Szkołę niepokoi bowiem nie zachowanie dziecka, lecz rodziców, którzy – jak twierdzą – poskarżyli się na dykcję placówki do kuratorium oświaty, Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego, RPD, prokuratury i wielokrotnie do sądu administracyjnego. To zresztą nie pierwsza szkoła, z którą rodzice młodej dziennikarki mają poważny konflikt. Poprzednia, prywatna, w środku zeszłego roku szkolnego rozwiązała z nimi umowę.

Zapytany o własne wykształcenie, Franciszek Małecki-Trzaskoś stwierdził, że skończył studia wyższe neuropsychologiczne.

logiczne, ale nie nostryfikował dyplomu. Nie chciał powiedzieć, gdzie zdobył ten dyplom, ale zapewniał, że musiał przedstawić go, gdy kilka lat temu prowadził szkolenia dla sądów, prokuratur, ośrodków pomocy społecznej, poradni psychologiczno-pedagogicznych i innych jednostek budżetowych.

Uznany konsultant

– Prowadzący mówił, że studiował na Sorbonie, jest neuropsychologiem i antropologiem, ale nie odpowiadał na pytania, gdzie uzyskał wyższe wykształcenie – mówi pracowniczka jednego z sądów, która kilka lat temu brała udział w szkoleniu pt. „W zderzeniu z psychopatą” i do dziś nie może mówić o tym spokojnie. – Obrażał uczestników, mówiąc, że są kłamcami i idiotami, i szokował pytaniami, na przykład „czy zabiłaby pani swoje dziecko?”. Albo „proszę spojrzeć w lusterko i odpowiedzieć, czy tym długopisem zgwałciłaby pani dziewczynkę w odbyt”. Zgłaszaliśmy to, ale w kolejnym roku sąd ponownie zamówił szkolenia prowadzone przez tego człowieka. Gdy potem widziałam w internecie wywiady, gdzie przedstawiano go jako eksperta, pisałam do redakcji z pytaniem, czy sprawdzono jego kompetencje. Ni gdy nikt mi nie odpisał.

Kwalifikacji Małeckiego-Trzaskosia nie sprawdzali również pracownicy sądów i innych instytucji państwowych, którzy w latach 2017-2019 zamawiali jego usługi (ustaliłam to korespondując z niemal 30 z nich). Były one realizowane przez założoną przez niego w 2014 r. fundację Instytut Badań i Analiz Działalności Jednostek Samorządu Terytorialnego. Małecki-Trzasko organizował i prowadził szkolenia, ale faktury wystawiała jego koleżanka z jednoosobową działalnością gospodarczą (hanuU concept) Anna Wojtas. Na pytanie, na czym polegała ich współpraca, oboje nie odpowiadają.

Początkowo, w 2017 r., w ofercie fundacji dla sądów znajdowało się jedno szkolenie – „W zderzeniu z psychopatą” – na którym można było się dowiedzieć, „jak rozpoznać osobowość psychopatyczną, nawet podczas incydentalnego kontaktu, który trwa kilka minut”. Małecki-Trzasko przedstawiał się jako „uznany konsultant ds. neuropsychologii i Public Relations”, który „od 2006 roku stale doradza w zakresie zarządzania wizerunkiem



PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Posłanka Ewa Kołodziej zaprosiła Sarę do wspólnej pracy na rzecz edukacji żywieniowej młodych osób.

marek, osób i idei” i wykorzystuje w tym celu „autorskie narzędzia neuroPR”. Dwa lata później rozszerzył ofertę o szkolenia z zakresu rozpoznawania kłamstwa i stosowania przemocy psychicznej (*sic!*). O sobie natomiast pisał, że „od 2006 roku stale prowadzi szkolenia z zakresu neuropsychologii oraz neurodydaktyki” i że „najlepszym potwierdzeniem jego kwalifikacji jest fakt, że w szkoleniu »W zderzeniu z psychopatą« brało udział ponad 3500 pracowników wymiaru sprawiedliwości oraz instytucji pomocy społecznej a także placówek oświatowych”.

W rzeczywistości nie miał nawet matury, którą zdał – ledwo – dopiero w 2022 r.

Po wykonaniu usługi Małecki-Trzasko prosił o wystawienie referencji. Dziś na stronie fundacji – samorządowosc.pl – znajduje się ponad 60 listów polecających, w tym prawie 30 wystawionych przez sądy i prokuratury. Nie ma tu natomiast żadnych sprawozdań, choć powinny być, bo fundacje mają obowiązek upubliczniania ich. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, które sprawuje nadzór nad tą organizacją, odmówiło udostępnienia sprawozdań, twierdząc, że to „dokumenty prywatne”, i powołując się na orzeczenia sądowe: nieistety, niezwiązane z tematem.

Natomiast Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, które sprawuje nadzór nad drugą fundacją Małeckiego-Trza-

skosia – założoną pod koniec 2011 r. Fundacją Edukacji Społecznej „Figure Culturales” – przekazało „Tygodnikowi”, że organizacja ta nie złożyła nigdy żadnego sprawozdania i że minister podejmie w związku z tym działania nadzorcze. Jak informowała katowicka „Gazeta Wyborcza”, prezes tej fundacji (którym według KRS od początku jest Małecki-Trzasko) w 2012 r. zatrudnił swoją żonę jako pełnomocniczkę zarządu do spraw pozyskiwania funduszy. Wynagrodzenie: 9500 zł. Niestety, żona już po dwóch dniach się rozchorowała, zaraz potem zaszła w ciążę i nie wróciła do pracy, a ZUS nie chciał wypłacić jej wynagrodzenia.

„Cóż złego jest w tym, że zatrudnił mnie mąż? Co komu do mojej pensji? (...) Jeśli ktoś myśli, że wszystko sobie zaplanowałam i ciąża pojawiła się, bo tak sobie zażyczyłam, to po prostu ręce mi opadają” – mówiła w 2013 r. Annie Malinowskiej z „Gazety Wyborczej” matka Sary, obecnie ławniczka w Wydziale Cywilnym Rodzinnym Sądu Okręgowego w Gdańsku.

Od 2021 r. państwo Małeccy-Trzasko mają też firmę o nazwie Instytut Badań i Analiz Działalności sp. z o.o. (nie mylić z fundacją). Czym się zajmują? Twierdzą, że wynajmem sprzętu medycznego.

Jest dobrze

Zapytałam rzeczniczkę praw dziecka oraz posłów Marcina Józefaciuka i Ewę Kołodziej, czy podjęli jakieś działania – oprócz opisanych powyżej – w związku z pracą Sary w charakterze dziennikarki sejmowej. Biuro RPD po 10 dniach odpowiedziało, że nie udziela szczegółowych informacji i że jest w kontakcie z dziewczynką i jej ojcem. Józefaciuk zapewnił, że rozmawiał z nimi w lutym i nie dostrzegł niczego niepokojącego. Kołodziej natomiast, zamiast odpowiedzieć na pytanie, co zrobiła dla Sary, napisała, co Sara może zrobić dla Polski: „Obecność Sary w Sejmie jest dowodem na to, że nasza demokracja ma się dobrze i z pewnością przyczyni się do powrotu Polski na właściwe miejsce we wskaźniku wolności prasy opracowywanym przez organizację Reporterzy bez Granic”.

Biuro Obsługi Medialnej Sejmu przez ponad dwa tygodnie nie odpowiedziało na nasze pytania o akredytację Sary. Nie wiemy więc, na jakiej podstawie wydało dziecku zgodę na pracę w polskim parlamencie.

© ANNA GOLUS



IREK DOROŻAŃSKI / FORUM

Władysław Kosiniak-Kamysz podczas uroczystości 80. rocznicy Powstania Warszawskiego na Powązkach Wojskowych, 1 sierpnia 2024 r.

Misja ratunkowa

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Coraz częściej słychać komentarze wypychające PSL w sojusz z PiS. Czy to tylko gierki w skłóconej koalicji, czy też szykuje nam się polityczne trzęsienie ziemi?

OSTATNIE ZACHOWANIA WŁADYSŁAWA Kosiniaka-Kamysza zaskoczyły wszystkich. Zapowiedzi wprowadzenia w szkołach wychowania patriotycznego i nazywanie partnerów koalicyjnych „lewactwem” wzbudziło w formacjach współpracujących z PSL podejrzenie, że ludowcy już rozglądają się za nowym politycznym rozdaniem. Znani byli przecież w przeszłości z tzw. obrotowości, czyli gotowości do wchodzenia w sojusze niemal z każdym.

Tak daleko idące wnioski są jednak przesadą. Dziś bardziej chodzi o nadkrzeszenie duopolu PiS–KO, który dusi mniejsze partie, oraz zwiększenie prezydenckich szans Szymona Hołowni, który nie jest już taką gwiazdą jak w tygodniach przed sformowaniem rządu Donalda Tuska. Sami politycy PSL przekonują, że tak naprawdę chodzi im o szczerą w wyra-

żaniu poglądów, która pomoże oczyścić atmosferę i obronić obecną koalicję.

PSL walczy

W czasie drugiej wojny światowej na murach polskich miast pojawiły się napisy „PPR walczy”. Choć w czasach PRL zdjęcia tego hasła były wykorzystywane propagandowo, w rzeczywistości ich ilość była śladowa; Polska Partia Robotnicza w czasach II wojny światowej stanowiła polityczny margines.

Właśnie czasów wojny dotyczyła pierwsza zaskakująca wypowiedź prezesa PSL. Władysław Kosiniak-Kamysz skrytykował obecną dyрекcję Muzeum II Wojny Światowej za to, że przywracając do kształtu pierwotnego ekspozycję, zmienioną w 2016 r. przez PiS, ograniczyło rolę rotmistrza Witolda Pileckiego, św. Maksymiliana Kolbego i rodziny

Ulmów. Zwłaszcza interwencja w obronie tych ostatnich może nie do końca dziwić, bo ratujący Żydów Ulmowie przed wojną byli związani ze Stronnictwem Ludowym.

Niemniej całe wystąpienie Kosiniaka-Kamysza mogło być dla opinii publicznej zaskoczeniem. Wypowiedzi liderów PSL w sporach ideowych były w III RP tak samo rzadkie, jak wojenne napisy „PPR walczy”. Ludowcy zwykle trzymali się na uboczu najgorętszych politycznych naparzanek (spór o najnowszą historię oraz preferowany model patriotyzmu budzi zawsze ogromne emocje) i koncentrowali się na pragmatycznej polityce. Czyli zazwyczaj na dbaniu o interes własnego, wiejskiego elektoratu, ewentualnie na sprzyjaniu patriotyzmowi gospodarczemu. No i oczywiście, co lubią podkreślać przeciwnicy PSL, na skutecznym zabieganiu o stołki dla swoich działaczy, niezależnie od tego, kto właśnie rządził. Jednocześnie, gdy dochodziło do ważnych dla polskiego społeczeństwa sporów ideowych, ludowcy umywali ręce, przekonując, że takie sprawy są raczej domeną prywatną, a podczas głosowań nie ma u nich dyscypliny partyjnej.

Jednak w ostatnich tygodniach to się wyraźnie zmieniło. Sformułowana przez Kosiniaka-Kamysza ocena kształtu ważnej muzealnej ekspozycji współbrzmiała z linią PiS i różniła się od wypowiedzi partnera z Trzeciej Drogi Szymona Hołowni, który oświadczył, że politycy nie powinni ingerować w kształt wystaw historycznych.

Niedługo później była jeszcze bardziej zaskakująca akcja lidera PSL, a zarazem wicepremiera i szefa MON. Wystąpił on z zapowiedzią przygotowania projektu ustawy o wychowaniu patriotycznym. Zaskoczył tym wszystkich partnerów z Koalicji 15 Października, a także resort edukacji narodowej, który właśnie dokonał zmian w podstawie programowej i liście lektur w odmiennym kierunku. Jego przedstawicielki, minister Barbara Nowacka i wiceminister Katarzyna Lubnauer, wyrażały publicznie zdziwienie, że Kosiniak-Kamysz nawet nie skonsultował tego pomysłu z MEN.

O co im właściwie chodzi

Zmiana strategii w PSL dotyczy też świętej zasady braku dyscypliny w głosowaniach światopoglądowych.

Przyczyną głośnej porażki koalicji rządzącej w kwestii dekryminalizacją aborcji byli właśnie ludowcy, którzy w zdecydowanej większości zagłosowali przeciw. Jak można usłyszeć w kulisach, ci, którzy zastanawiali się nad wstrzymaniem od głosu, byli namawiani do tego, aby tego nie robić – w ten sposób PSL miał pokazać swoje wyraziste oblicze.

Niemniej jednak marszałek-senior Marek Sawicki zapewnia, że głosowanie to (za liberalizacją przepisów były tylko cztery posłanki PSL) odzwierciedla ideowy układ sił w stronnictwie, gdzie zdecydowaną większość stanowią działacze o poglądach konserwatywnych.

Jeszcze innym przejawem nowej linii PSL ma być zablokowanie prac (tak przekonują politycy innych ugrupowań Koalicji 15 Października) nad likwidacją Funduszu Kościelnego. Na czele zespołu, który ma nad tym pracować, stoi właśnie wicepremier Kosiniak-Kamysz, ale zespół ten w ostatnim czasie niewiele robi.

Krytycy PSL zwracają uwagę, że ludowcy najwyraźniej w poszukiwaniu politycznego interesu zaczynają swój kolejny „obrót” i coraz bardziej zaczynają zerkać w stronę PiS, licząc na to, że samym straszeniem partnerów z koalicji będą mogli sporo ugrać. Bo oczywiście jakiegokolwiek realne porozumienie z PiS, co przynajmniej najważniejsi ludowcy, jest dziś zupełnie niemożliwe – za krótki czas upłynął od rządów formacji Kaczyńskiego i zbyt żywa jest pamięć o jej strategii niszczenia PSL na wsi.

Starsi politycy lewicy przypominają jednak przypadki z przeszłości, gdy PSL stosował różne formy nacisku w doraźnych celach, by np. powiększyć zasoby kadrowe swoich działaczy w strukturach rządowych czy spółkach Skarbu Państwa.

W Sejmie II kadencji (lata 1993-97) PSL miał ponad stuosobowy klub parlamentarny i wraz z SLD tworzył koalicję. Niejednokrotnie walcząc o własne polityczne interesy, opowiadał się jednak przeciw partnerowi, zwłaszcza po 1995 r., gdy prezydentem został dotychczasowy lider SLD Aleksander Kwaśniewski. Zdarzyło się nawet, że ludowcy złożyli wniosek o wotum nieufności wobec współtworzonego przez siebie rządu. W ostateczności jednak nie zagłosowali za nim (poza ówczesnym prezesem Waldemarem Pawlakiem). Działo się to jednak tuż pod koniec rządów tamtego sojuszu.

Gdy w 2001 r. znów powstała koalicja PSL z SLD (trzecim partnerem była Unia Pracy), ludowcy ponownie wykonali wolę. Zagłosowali przeciwko firmowanemu przez rząd Millera winietom na autostrady. Zapłacili za to wyrzuceniem z koalicji, bo premier zinterpretował ich zachowanie jako typową dla PSL grę, prowadzącą do poszerzenia wpływów. PSL tym razem przedobrzyło, ale Millerowi ten ruch też się nie opłacił, bo niestabilna większość, jaką od tego momentu miał jego gabinet, przyspieszyła koniec epoki SLD.

Nadzwyczajna interwencja

Politycy PSL zaprzeczają, że dzisiejsze ruchy Kosiniaka-Kamysza podyktowane są gierką nastawioną na doraźne cele. Jeżeli już, mówią, jest to realizacja strategii mającej pokazać rzeczywiste oblicze ideowe PSL.

– Bardzo nas przez lata bolało, że PiS zawłaszczał przekaz patriotyczny, a nas przedstawiał jako spadkobierców ZSL – mówi poseł Andrzej Grzyb.

Oczywiście zwykły rachunek polityczny w tym wszystkim też jest ważny. Po pierwsze stoi za nim chęć odzyskania części elektoratu straconego na rzecz PiS, czyli wyborców pochodzących ze wsi i małych miast. – Po ostatniej awanturze aborcyjnej zadzwonił do mnie człowiek, który powiedział wprost: „tylko PiS, Konfederacja i wy bronicie życia oraz wartości. Możecie liczyć na moje wsparcie”. To pokazuje, że choć dotąd głosował zapewne na PiS, dziś może poprzeć nas – opowiada poseł PSL.

Inni zwracają uwagę, że Kosiniak-Kamysz nie mógł nie zaostrzyć retoryki po tym, co ludowców spotkało po głosowaniu dotyczącym depenalizacji aborcji. – Mówiąc o „lewactwie”, tylko odpowiedział na ataki, w czasie których pod jego adresem zaczęły padać okrzyki „spierdaj”, a biura poselskie niektórych kolegów były oblewane czerwoną farbą – mówi inny polityk PSL. – Poza tym dzięki tym jego słowom przestaliśmy być w końcu „letni” – dodaje.

Zdaniem Marka Sawickiego, który zwykle otwarcie pozwala sobie mówić więcej niż inni, zmiana retoryki Kosiniaka-Kamysza ma też inny wymiar. Ma być czymś w rodzaju nadzwyczajnej politycznej interwencji, tym razem w obrocie zagrożonego sojuszu rządowego.

Bo, jak mówi Sawicki, Kosiniak-Kamysz musiał zareagować na „fanaberie” lewicy sprzeczne z umową koalicyjną, które objawiły się podczas ostatnich głosowań. Tym bardziej że nadarzyła się ku temu okazja; akurat wypadała 129. rocznica powstania ruchu ludowego.

– Jeśli w przypadku ustawy o ochronie granic, wzmacniającej uprawnienia wojska i Straży Granicznej, na dodatek przyjętej na Radzie Ministrów, połowa klubu lewicy głosuje przeciw, w tym dwie panie minister rządu Donalda Tuska, to koalicyjny wicepremier nie może nie zareagować. Tym bardziej, że nie zareagował sam Tusk, który karciał polityków po sprawie aborcji, choć to był poselski projekt, a tym razem milczał. Dlatego trudno się dziwić Kosiniakowi, że zabrał głos w taki sposób – tłumaczy Sawicki.

Polityk PSL podkreśla, że nie może być dowolności w głosowaniu w przypadku projektów rządowych, co zresztą zostało zapisane w umowie koalicyjnej. Dlatego zachowanie polityków lewicy w sprawie ustawy granicznej, co w kulisach komentowane było jako zemsta za głosowanie PSL w sprawie aborcji, Sawicki określa mocno: jako naplucie całemu rządowi w twarz.

– Tymczasem pan premier udaje, że nic się nie stało. Niech się więc nie dziwi, jeśli kolejni ministrowie, a już na pewno posłowie, nie będą głosować za jego ustawami. Co on wtedy zrobi? – pyta marszałek senior.

Trzy filary koalicji

Sawicki przypomina też, że porozumienie koalicyjne opiera się na trzech filarach. Pierwszy: sprawy uzgodnione realizowane są natychmiast. Drugi: w kwestiach spornych podejmowane są próby dogadania się. I trzeci: jeśli są sprawy, w których koalicjanci na pewno się nie porozumieją, to przynajmniej nie zgłaszają projektów ustaw przeciw sobie. Tymczasem, dodaje Sawicki, dziś żaden z tych elementów nie działa. Sprawy uzgodnione się ślimaczą, nie ma np. pakietu ustaw reformujących wymiar sprawiedliwości – pod auspicjami ministra sprawiedliwości Adama Bodnara powstało zaledwie kilka projektów.

Nie ma też zapowiadanej w umowie koalicyjnej reformy finansów publicznych, tak by skończyć z sytuacją stworzoną przez PiS, w której samorządowcy →

→ muszą „wisieć” na klamkach ministrów i prosić o pieniądze. W tym samym czasie lewica nie ma zahamowań, by zgłaszać własne ustawy, co do których wiadomo, że nie będzie pełnej zgody. W dodatku nie głosuje za projektami rządowymi, jak w przypadku wspomnianego użycia broni. Stąd Tusk, zdaniem Sawickiego, jeśli chce, by koalicja przetrwała, powinien nie tylko pilnować ministrów podczas głosowań za projektami rządowymi, ale i „pogonić szefów resortów, aby przyspieszyli prace nad projektami, które są w umowie koalicyjnej”.

Inni politycy PSL przekonują, że zaostrenie przez nich retorycznego kursu to nie tylko wyraz frustracji, ale właśnie rodzaj „misji ratunkowej” dla koalicji. I przypominają, że w przeszłości, dzięki niekonwencjonalnym zachowaniom, PSL nie raz doprowadzał do realizacji trudnych politycznie celów.

Na przykład w 1997 r. to właśnie dzięki PSL (w Sejmie zdominowanym przez SLD i niemal pozbawionym prawicy), udało się uchwalić ustawę lustracyjną, porządkującą chaos w tej sprawie. Ludowcy, już jako ugrupowanie opozycyjne, odegrali też kluczową rolę w powstaniu Instytutu Pamięi Narodowej w następnym parlamencie, w którym rządziła koalicja AWS–Unia Wolności. Posłowie obu tych ugrupowań przegłosowali w 1998 r. ustawę o utworzeniu IPN, ale zawetował ją prezydent Kwaśniewski. AWS i UW nie miały wtedy większości trzech piątych, by odrzucić weto. Z pomocą pospieszył PSL, który co prawda miał zaledwie 26-osobowy klub parlamentarny, ale to wystarczyło, aby odrzucić weto i powołać IPN, dziś jedną z fundamentalnych instytucji państwa. Oczywiście potem we władzach Instytutu ludowcy uzyskali oczekiwaną liczbę miejsc dla swoich ludzi.

Ośmioletnia koalicja rządowa PSL z PO w latach 2007–15 też była pełna napięć. Jednak to dzięki postulatowi zgłaszanemu przez PSL udało się nieco złagodzić np. reformę emerytalną, która była najtrudniejszym przedsięwzięciem tamtej koalicji. Ludowcy w takich sprawach wykazywali zwykle instynkt polityczny, a ich postulaty na ogół po latach okazywały się słuszne. Instynkt ten nie opuszczał ich też przy zawieranych porozumieniach wyborczych. Dziś widać, że korzystne dla ludowców było wycofa-

nie się po wyborach do PE w 2019 r. z Koalicji Europejskiej i start w wyborach parlamentarnych razem z Kukiz'15 pod szyldem Koalicji Polskiej. Co prawda największym profitentem tego porozumienia okazał się sam Paweł Kukiz, ale ludowcy nie stracili, bo dostali kilka procent głosów więcej, a oddali kukizowcom tylko trzy mandaty. Jednocześnie PSL skorzystał na współtworzeniu paktu senackiego zarówno w 2019, jak i w 2023 roku.

Rola Hołowni

Jak na razie korzystne dla ludowców wydaje się także porozumienie z Polską 2050 w ramach Trzeciej Drogi, a układ ten nie jest bez wpływu na ostatnie, asertywne przebudzenie PSL. Kontekstem są oczywiście wybory prezydenckie. Dziś wiadomo, że jedynym pewnym horyzontem dla Trzeciej Drogi – jako porozumienia PSL i Polski 2050 – są wybory głowy państwa wiosną 2025 r. Ludowcom oczywiście zależy na dobrym wyniku Szymona Hołowni, który jest niemal pewnym kandydatem całej Trzeciej Drogi.

Wygrana Hołowni, ale też jego dobry wynik, umocni politycznie całą Trzecią Drogę, a więc również PSL, zarazem ludowcy mogą liczyć na przejęcie części aktywów Polski 2050, której jedynym spoiwem jest sam Hołownia. Stąd, według niektórych, ostatnią akcją PSL i wypowiedzi jego lidera można zinterpretować jako skomplikowaną grę polityczną z wyborami prezydenckimi w tle. PSL zwrótem w prawo ma próbować zagospodarować konserwatywne skrzydło potencjalnego elektoratu Hołowni i odebrać część głosów kandydatowi PiS. Z kolei bardziej umiarkowany lider Polski 2050 ma „łowić” w centrum. – Wychodzimy z założenia, że jeśli kandydat KO będzie miał twarz Marty Lempart, to nie wygra wyborów, a nam to tylko pomoże – mówi polityk PSL.

Czy postępowanie ludowców przyniesie im korzyści, okaże się po jakimś czasie. Z punktu widzenia PSL sytuacja, w której kilku działaczy PiS, sfrustrowanych sytuacją w tym ugrupowaniu postanowi zmienić barwy i zapuka do ich drzwi, już będzie sukcesem. Będzie to oznaczało wywrę w wysokim murze, który dzieli obecnie polską politykę.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



Patriotyzm z kartonu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polski konsument coraz bardziej upodabnia się do rodzimego polityka: za niezależnym osiedlowym spożywczakiem tęskni w deklaracjach. Bo już portfel otwiera coraz chętniej w dużym dyskoncie, ewentualnie w mniejszej, sieciowej Żabce.

ZACISK IMADŁA. WŁAŚNIE TAKIEGO, dalekiego od świata handlu porównania, mającego zobrazować sytuację małych sklepów w Polsce, używa specjalista ds. rynku Wiktor Miałkowski. Dekadę lub dwie temu ten zacisk był powolny i mniej dotkliwy, teraz trudno go nie zauważyć: o ile w 2010 r. udział małaformatowych sklepów w sektorze FMCG, czyli produktów szybkozbywalnych, wynosił



LUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Otwarcie 10 000. sklepu „Żabka”, Centrum Handlowe „Stary Browar”, Poznań, październik 2023 r.

niemal 50 proc., to już dekadę później spadł o połowę.

Ogłoszony w zeszłym tygodniu „Raport Strategiczny” firmy CPS GfK potwierdza ten trend: „W 2023 roku liczba sklepów detalicznych sprzedających produkty FMCG w Polsce zmniejszyła się o 2 proc. rdr. Oznacza to, że z rynku zniknęło ponad 2300 placówek (...) Największą redukcję odnotowano wśród niesieciovych sklepów małoformatowych, drogerii oraz kiosków”.

– Pamiętam sondaż z okresu pandemii, w którym większość pytanek deklarowała przywiązanie do sklepów osiedlowych – wspomina Wiktor Miałkowski z firmy doradczej Pro Business Solutions. – Zadałem wtedy w mediach społecznościowych pytanie: ciekawe, czy deklaracje przełożą się na zachowania zakupowe? Nie przełożyły się. Polacy w ostatnich latach jeszcze chętniej wybierają dyskonty. Ten trend wzmocniło kilka czynników.

Pierwszy z nich to właśnie pandemia, w czasie której wybieraliśmy szybkie i wygodne zakupy na większych powierzchniach supermarketów. Drugi to inflacja, uderzająca dotkliwiej w małe sklepy, które nie mogą sobie pozwolić na obniżenie marż. Wreszcie czynnik trzeci: podnosząca się za czasów PiS pensja minimalna. To właśnie dla niewielkich punktów sprządaży pensje stanowią większą – niż choćby w przypadku supermarketów – część kosztów.

Jednak nie wszystkie małe sklepy w 2023 r. straciły. „Na przekór trendom podąża franczyza, która konsekwentnie umacnia swoją pozycję w branży” – piszą autorzy raportu GfK, przytaczając statystykę, wedle której o pięć punktów procentowych rok do roku wzrosła liczba małych sieciowych punktów.

– Kondycja Żabki i podobnych jej punktów pokazuje, że jednak istnieje nadal potrzeba sklepów typu *convenience* [ang. wygoda – red.] – uważa Miałkowski. – Zlokalizowanych blisko domu, ze stosunkowo niskimi cenami i starannie dobranym zestawem produktów pierwszej potrzeby. Mogą przeżyć, bo działają w sieci, a więc dysponują bazą danych pokazującą, co się opłaca sprzedawać, a co mniej. Mogą też kupować produkty w lepszych cenach i są wspierane kampaniami reklamowymi.

Co na rozkwicie sklepów typu Żabka (z ponad 10 tys. punktów bierze jedną czwartą tortu przeznaczonego dla sieciówek) zyskują konsumenci, z grubsza wiadomo. Co mogą stracić?

– Potencjalne ryzyko jest takie, że przy jeszcze większej koncentracji rynku wielcy gracze tak go zduszą, że nie będą już musieli walczyć o klienta – mówi ekspert Pro Business Solutions. – Na szczęście na razie tych sieci jest tak dużo, że muszą ze sobą konkurować.

Swoją katalog zalet i wad mają też franczyzobiorcy: właściciele rozsianych po

Polsce tysięcy Żabek raz chwalą stabilizację, gotowy biznesowy brand i przewidywalne przychody, innym razem pomstują na przepaść między rozbudzonymi oczekiwaniami a rzeczywistością. – Objąłem jeden z punktów Żabki w 2020 r., a już rok później się z tym biznesem zżegnałem – opowiada „Tygodnikowi” Henryk Wesołowski, przedsiębiorca spod Słupska. – Owszem, przychody rzędu 16 tys. okazały się prawdą, ale znacznie większe od oczekiwanych były koszty: zatrudnienia, ZUS-u czy rachunków. Według mnie „sukces Żabki” odbywa się często kosztem franczyzobiorców takich jak ja.

– Przychodzi do pana zwykły Kowalski chcący otworzyć mały sklep. Co pan mu poradzi? – pytam Wiktora Miałkowskiego. – Jeśli franczyza, to od razu z zastrzeżeniem: zastanów się, czy jesteś gotów na początku pracować dziesięć, dwanaście godzin przez sześć, siedem dni w tygodniu – odpowiada. – Jeśli niezależny sklep osiedlowy, to: pamiętaj o ryzyku, że taki biznes się nie powiedzie. Tu prędzej doradzałbym sklep specjalistyczny, jak piekarnia, bo właśnie takie nisze trzymają się stosunkowo dobrze.

Potwierdza to raport GfK. „Interesującym zjawiskiem na rynku FMCG w Polsce jest stabilny poziom liczby sklepów specjalistycznych” – piszą jego autorzy, podając, że takich punktów (np. sklepów rybnych, mięsnych czy piekarni) było w 2023 r. niemal 23 tysiące.

Na polską sieć sklepów FMCG można też spojrzeć inaczej – z punktu widzenia struktury właścicielskiej. Dla ekonomicznego patrioty będzie to widok smutny: o tym, co i za ile kupi każdego dnia Polak, decydują niemal wyłącznie – z nielicznymi wyjątkami, jak sieć małych sklepów Dino – zagraniczni właściciele z Portugalii, Niemiec lub Czech. Jak to pogodzić z ośmioma latami rządów PiS, którego politycy mieli ekonomiczny patriotyzm na sztafardach? – Ano tak, że co innego mówić, a co innego potrafić zrobić – komentuje krótko Wiktor Miałkowski.

Ekspert ma prognozę na przyszłość. – Koncentracja, koncentracja i jeszcze raz koncentracja – mówi, przewidując wzmocnienie obecnych trendów. – Po prostu nie ma przesłanek, by było inaczej. Ostatnią był zakaz handlu w niedzielę, który miał tym małym sklepom pomóc. Ale jak pomógł, to wszyscy widzimy w corocznych danych. ©P

Efekt koktajlu

MATEUSZ PEROWICZ

Choć nad jakością spożywanego przez nas jedzenia czuwa kilka instytucji kontrolnych, tak naprawdę nie wiemy, co ostatecznie trafia na nasze talerze. Inspekcje są zacofane, a pracowników brakuje.

ZDROWE ODŻYWIENIE STAŁO SIĘ w ostatnich czasach dogmatem, więc w układanie odpowiedniego jadłospisu dla przeciętnego Polaka włączają się coraz częściej instytucje publiczne – zarówno krajowe, jak i międzynarodowe. Chipsy, słodkie napoje gazowane, fast foody i słodczyce stały się symbolami niewłaściwej diety, w przeciwieństwie do szklanki wody oraz ryb, zwłaszcza gatunków bogatych w nienasycone kwasy tłuszczowe, jak łosoś czy pstrąg. Wielu z nas mogłoby te prawdy wyrecytować po przebudzeniu w środku nocy, problem w tym, że niekoniecznie mają one coś wspólnego z rzeczywistością.

Ryba i antybiotyków w bonusie

„Według aktualnych zaleceń Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego i Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego (ESC), powinno spożywać się ryby dwa razy w tygodniu, w tym co najmniej raz tłuste ryby morskie” – informuje nas portal pacjent.gov.pl. Na tej samej stronie przeczytamy też: „Polecane ryby to łosoś, śledź, morszczuk, makrela, sardynka, dorsz. Możesz wybrać tę, którą lubisz”.

Znajdujący się na czele listy łosoś bez wątplenia posiada wiele cennych i potrzebnych nam składników odżywczych, lecz tylko pod warunkiem, że pływa sobie w wodach Atlantyku. Niestety, ten łosoś, którego my spożywamy, to najczęściej łosoś hodowlany, który raczej nie będzie źródłem polecanych kwasów omega-3. Masowa hodowla ma bowiem niewiele wspólnego ze zdrową żywnością, a to z kolei oznacza, że trudno cieszyć się z faktu, iż Polska jest trzecim co do wielkości eksporterem tej ryby w UE i największym jej przetwórcą. Nasze łososi są przetwarzywane w niewielkich zbiornikach wodnych, co sprawia, że wszelkie choroby i pasożyty z pojedyn-

czego osobnika błyskawicznie przenoszą się na całą populację. Aby tego uniknąć, rybom podaje się antybiotyki i inne środki ochronne, które – niestety – trafiają później na nasz talerz.

Problem nie zamyka się jednak w świecie łososi, ogromna ilość farmaceutyków wiąże się w Polsce również z produkcją mięsa z kur, świń i krów. „Nad Wisłą stosuje się więcej antybiotyków niż w europejskich potęgach rolniczych. Kupujemy niemal tyle antybiotyków co Hiszpania, która ma dwa razy więcej zwierząt. [...] Polska zużywa coraz więcej antybiotyków do produkcji zwierzęcej, gdy reszta krajów Unii Europejskiej je ogranicza” – pisała w lutym „Rzeczpospolita”.

Za resztki antybiotyków pływających w polskiej wodzie nie można obwiniać jedynie hodowców łososi, drobiu, trzody chlewnej czy bydła. Znajdują się w niej również pozostałości medykamentów zażywanych przez ludzi, ponieważ nasze oczyszczalnie ścieków nie są sobie w stanie z nimi poradzić. W 2019 r. Wodociągi Jaworzno zainicjowały projekt „Opracowanie innowacyjnej metody usuwania farmaceutyków ze ścieków” i była to pierwsza tego typu instalacja zamontowana w polskiej oczyszczalni. Marnym pocieszeniem jest fakt, że nad problemem głowi się cała Unia Europejska, która w 2020 r. przyjęła rezolucję „w sprawie strategicznego podejścia do substancji farmaceutycznych w środowisku”.

Dokument ten doskonale podkreśla wszystkie luki systemu ochrony żywności, z których najważniejszą jest brak kontroli nad nadmiernym stosowaniem farmaceutyków. Niestety, Polska należy tu do niechlubnych liderów. Na leki wydajemy już 22 mld zł rocznie, a lekarze wystawiają nam w tym samym czasie ponad 20 mln recept. Według danych Eurostatu z ubiegłego roku, stanowi to 3 proc. bu-

dżetu domowego przeciętnej polskiej rodziny – tylko Bułgarzy wydają większy odsetek zarobków na leki.

Coraz więcej leków

Kolejny problem to luki w systemie pozbywania się ścieków. Do naturalnych zbiorników wodnych trafiają nie tylko resztki leków, ale wszystko to, czego nie jest w stanie odfiltrować oczyszczalnia, w tym ścieki z zakładów przemysłowych. Z informacji Wirtualnej Polski wynika, że aż 92 proc. punktów monitorowania jakości wód wskazuje na przekroczenie norm środowiskowych. Takie dane pokazują raporty lokalnych inspektoratów ochrony środowiska.

Wszystkie te negatywne zjawiska zapewne będą się nasilać. Produkcja żywności na masową skalę wciąż rośnie, a za sprawą starzenia się społeczeństwa w środowisku pojawi się jeszcze więcej leków. Treść wspomnianej rezolucji z 2020 r. wskazuje, że Unia Europejska jest świadoma wyzwań, jednak pewnego ważnego elementu nie uwzględnia. Chodzi o instytucjonalne braki w zakresie systemu ochrony naszej żywności. Państwowe organy są rozproszone, każdy z nich zajmuje się tylko wycinkiem całego rynku, ale nikt nie patrzy na proces produkcji całościowo. Do tego dochodzi słabość inspekcji kontrolujących europejskie jedzenie i nieprecyzyjność różnego rodzaju oznaczeń na produktach. W efekcie do Europy trafiają też trucizny spoza naszego kontynentu, np. ze Stanów Zjednoczonych.

Śmiercionośna sałata

Sytuacja w USA doskonale ukazuje dokument „Trucizna na talerzu”, z którego można się dowiedzieć, że najbardziej niebezpiecznym produktem spożywczym jest tam... sałata rzymska. Dlaczego? W USA dopuszcza się, aby mięso trafiające do sprzedaży zawierało substancje szkodliwe. To z kurczaka może np. zawierać salmonellę. Wychodzi się tam z założenia, że przecież i tak będziemy je podgrzewać do temperatury, w której bakterie salmonelli zginą.

Tak samo jest w przypadku hodowli bydła. Dopuszcza się obecność bakterii *E. coli*, która trafia do wód gruntowych wraz z odchodami zwierząt, a później tą wodą nasączane są rosnące nieopodal uprawy sałaty rzymskiej, której przecież nie podgrze-



MAGDALENA PASTEWICZ / EAST NEWS

Stragany z żywnością w Hali Targowej we Wrocławiu, maj 2024 r.

wamy przed zjedzeniem. Taka sałata trafia na amerykańskie stoły oraz na eksport.

Problem jest powszechnie znany (dokładnie wiadomo, w których regionach dochodzi do skażenia), ale nikt z tym sobie nie umie poradzić ze względu na nieefektywny model państwowej kontroli. W USA istnieje kilkanaście instytucji zajmujących się kontrolą żywności. Jedna sprawdza zakłady przetwórstwa mięsnego, inna kontroluje warzywa itd. Jednak żadna z instytucji nie ma kompleksowego nadzoru nad procesem powstawania żywności. W efekcie najniebezpieczniejszą częścią hamburgera nie jest podgrzewane mięso, tylko wspomniana sałata.

Istnieją przedsiębiorcy, którzy z pełną świadomością wysyłają do klientów (także na świecie) skażony produkt. Co roku w USA notuje się 1,35 mln zachorowań na salmonellę, 26 500 hospitalizacji i 420 zgonów. Co to ma wspólnego z Polską, w której nie spotkamy znaczącej ilości gotowej żywności z USA? Otóż surowce wykorzystywane do naszej produkcji mogą już być stamtąd importowane. W 2019 r. UE podpisała porozumienie z USA w sprawie importu surowej wołowiny; ponadto Stany są znaczącym dostawcą produktów rolnych. Łącznie handel nimi pomiędzy USA i UE wyniósł 44 mld dolarów w 2022 r., co sta-

wia Unię Europejską na piątym miejscu wśród rynków eksportowych dla amerykańskich produktów rolnych. Co prawda faktem pozostaje, że zarówno polskie, jak i europejskie prawo jest bardziej rygorystyczne niż amerykańskie, to jednak nadal mamy liczne luki w systemie, które mogą być wykorzystywane przez firmy z kapitałem zza oceanu lub potężne amerykańskie koncerny zajmujące się produkcją np. środków ochrony roślin, które prowadzą w Europie intensywny lobbying.

Rozproszony system do reformy

Sytuację polskiego konsumenta, narażonego na te wszystkie zagrożenia, trafnie podsumował dr Marcin Kędzierski w raporcie „Integracja czy połączenie – analiza możliwości zwiększenia efektywności działania inspekcji weterynaryjnej oraz ochrony roślin i nasiennictwa” (publikacja Europejskiego Funduszu Rozwoju Wsi Polskiej). Raport przedstawia smutny obraz krajowego systemu ochrony żywności, rozproszonego pośród kilka różnych instytucji, z których każda jest niedofinansowana, pełna wakatów i nieefektywna.

Kontrolą żywności w Polsce zajmują się: Państwowa Inspekcja Sanitarna (PIS), Inspekcja Weterynaryjna (IW), Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa (PIORiN) oraz Inspekcja

Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych (IJHARS). Raport Kędzierskiego wskazuje na znaczące braki kadrowe, zwłaszcza w Inspekcji Weterynaryjnej, co skutkuje ograniczoną możliwością kontroli gigantycznej ilości żywności na naszym rynku i jej produkcji. W kulminacyjnym momencie aż 191 zespołów na 306 istniejących nie było w stanie wykonywać swoich głównych obowiązków z powodu braków kadrowych. Kiepskie płace i niski prestiż zawodu sprawiają, że nikt specjalnie nie garnie się do wypełniania tych luk. W raporcie czytamy, że „w przypadku aż 56 proc. ogłoszonych naborów nie złożono żadnej aplikacji”.

Na przestrzeni lat w Polsce mogliśmy obserwować rażące naruszenia przepisów, które skutkowały obecnością na rynku żywności szkodliwej dla zdrowia. W 2012 r. miała miejsce duża afera z suszem jajecznym produkowanym przez firmę Viga z Kalisza, który wykorzystywano m.in. do produkcji makaronów i ciastek – zawierał on szkodliwe substancje, takie jak kadm i ołów, a także bakterie *E. coli*. Rok później wybuchła z kolei afera mleczna. Ośmiu producentów słodczy otrzymało z Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej „Rokitnianska” 10 ton zanieczyszczonego środkiem gryzoniobójczym mleka w proszku. ➔

→ Obecnie nie jest lepiej. W 2022 r. było głośno o mięsie z dodatkiem komponentów do produkcji paliwa; w tym samym czasie nagłówki wielu gazet i portali zdobyły też wiadomości z ważnym komunikatem szefostwa inspekcji sanitarnej: „Główny Inspektorat Sanitarny ostrzega klientów przed spożywaniem produktów, które są skażone, a trafiły do sprzedaży w sklepach IKEA, Lidl, Auchan, Biedronka, Netto i Żabka”. Łącznie chodziło o ponad 130 różnych produktów, które były dostępne w największych sieciach w kraju. GIS zbadał próbki słodczy, kiełbas, wędlin, mięsa oraz jajek – znalazł w nich zanieczyszczenia chemiczne i bakteriologiczne, a nawet drobiny szkła. W efekcie wydano decyzję o natychmiastowym usunięciu produktów ze sprzedaży.

Można by powiedzieć, że wszystko działa poprawnie, bo przecież GIS wykrył skażenia, a żywność wycofano ze sprzedaży. Problem w tym, że ta żywność była wcześniej dostępna w sklepach i zdążyła trafić już do naszych domów. Produkty zbadano po tym, jak trafiły do sprzedaży, choć byłoby lepiej, gdyby takie badania odbywały się na wcześniejszym etapie.

Przepisy z głębokiej przeszłości

Możemy tylko próbować sobie wyobrazić, ile skażonej żywności mogło trafić na nasz rynek – i pozostać na nim – z powodu braków kadrowych w instytucjach kontrolnych. Polski system ochrony żywności działa dziś doraźnie, reagując na łamanie przepisów (i to nie zawsze), zamiast zapobiegać wprowadzaniu do obrotu niezdrowej żywności. Co gorsza, krajowe przepisy nie są dostosowane do bieżących wyzwań.

Przykładem mogą być badania wody. W ich trakcie sprawdza się, czy woda zawiera azotany, ołów, pestycydy, kadm, rtęć etc. To oczywiście bardzo ważne, ale czy regularnie sprawdzamy też, ile znalazło się w niej antybiotyków i mikroplastiku? Raczej nie, bo nie ma ku temu odpowiednich przepisów.

Na leki wydajemy 3 proc. domowych budżetów,

niemal najwięcej w Europie.

Ich resztki trafiają do ścieków, których nie potrafią odfiltrować nasze oczyszczalnie.

„W badaniach na obecność wybranych hormonów i antybiotyków, które prowadzono w latach 2016-2019 w ramach państwowego monitoringu substancji z list obserwacyjnych i Programu Monitoringu Wód Morskich, odnotowano ich stężenia powyżej granicy oznaczalności, przy czym najwyższymi zawartościami w wodzie cechowały się diklofenak, klarytromycyna, 17-beta-estradriol oraz estron” – czytamy w raporcie opublikowanym rok temu przez Portal Samorządowy.

Oczywiście od razu pojawiły się głosy, że nic złego się nie dzieje, bo przecież są to dawki poniżej dopuszczalnych norm. Ale co to właściwie znaczy dla konsumenta, który napije się wody z dopuszczalną dawką estronu, po czym zje sałatkę z kurczakiem pojonym wodą z tym samym hormonem oraz pomidorami, ogórkiem i sałatą, które były podlewane wodą – a jakże – z estronem? Instytucje badające żywność zachowują się tak, jakbyśmy nie łączyli ze sobą produktów spożywczych, tylko zawsze każdy jadali oddzielnie.

Mało tego, badania wskazują zazwyczaj, jaka dawka danej substancji jest akceptowalna, ale nikt nie sprawdza, jak kilka różnych substancji zareaguje w połączeniu. Tymczasem niemal każdy z nas wie, że łączenie niektórych leków może być niebezpieczne. Można więc wyobrazić sobie, jak wszystkie te medykamenty łączą się w wodzie, która trafia potem do hodowli i zakładów produkcyjnych, oraz

na plantacje i do naszych kranów. Nazywa się to „efektem koktajlu”, złożonego z leków i chemicznych środków ochrony – *de facto* nie mamy więc pojęcia, co dzieje się z nami po połączeniu tych substancji, zwłaszcza w dłuższej perspektywie. Wkraczamy w erę zupełnie nowych zagrożeń żywności, która zaowocowała już odpowiednim terminem: „nowo pojawiające się zanieczyszczenia” (ECs), na które żadna instytucja nie jest gotowa.

Gorsi niż big techy

Mówi się, że największą zgorą współczesności są duże firmy technologiczne, które odpowiadają za niszczenie debaty publicznej i uzależnienie od internetu. Warto jednak zadać sobie pytanie, czy niektóre gałęzie przemysłu nie są bardziej niebezpieczne. Internet można poddać kontroli, a w ostateczności jego część wyłączyć. Natomiast jak pozbyć się z organizmu kilku różnych szkodliwych substancji i jak ich unikać, skoro mogą być wszędzie? Na razie nie bardzo możemy liczyć na istniejące instytucje kontrolne, jesteśmy jednak w stanie wpływać na naszych decydentów, sami wcześniej poszerzając swoją świadomość nie tylko dzięki raportom, ale i coraz liczniejszym filmom, odsłaniającym kulisy przemysłu spożywczo-farmaceutycznego („Mroczne wody”, „Rotten”, „Zabić ból”, „Lekomania”, „What the Health”). Produkcje te pozwalają wyobrazić sobie skalę działań „big farmy”.

Potrzebujemy reformy systemu ochrony żywności. Integracji istniejących instytucji i podniesienia prestiżu pracy w nich. Niezbędna jest również kompleksowa baza danych na temat produkcji żywności, otwarta dla konsumentów. Tak, aby w jednym miejscu zgromadzone były wszystkie informacje na temat danego producenta i jego produktów. Ważną rolę w procesie kontroli żywności mogą odegrać obywatele, jeśli zostaną wyposażeni w odpowiednie narzędzia. Musimy też powszechnie wiedzieć, które produkty spożywcze są zdrowe, a które nie. I dlaczego łośoś może być gorszy niż chipsy i cola. Każdy obywatel ma święte prawo do własnego bezpieczeństwa, również tego żywnościowego.

© MATEUSZ PEROWICZ

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Autor jest ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego ds. patriotyzmu gospodarczego.

Redaktor senior odpowiada na Wasze pytania

JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK, dziennikarka, pisarka, autorka m.in. książki „Chłopki. Opowieść o naszych babkach”:

Czego nauczył się Ksiądz od swojej babci?

KS. ADAM BONIECKI: Matka mojego ojca – Maria Tyszkiewicz – umarła, zanim się urodziłem. Matka mojej matki, Maria Łosiowa z d. Wielowiejska, momentami mieszkała z nami w Świdnie i w Potworowie, także w czasie wojny.

Od babci nauczyłem się dobroci. Początek okupacji, a ona zawsze znajdowała dobre cechy w ludziach. Oraz: pracowitości. W ostatnich latach życia, jako osoba dobrze leciwa, a czasy były ciężkie, malowała spławiki do wędek. Cały jej pokój był nimi zajęty. Malowała ich końcówki na czerwono i niebiesko, suszyła. Staranność, z jaką to robiła, i jej wytrwałość. Była w tym niesamowicie uparta. Niezłomna. Można powiedzieć: pani hrabina, właścicielka majątku, żona społecznika, a ona nie chciała być dla nikogo ciężarem.

Miałem zaszczyt zanosić gotowe spławiki do spółdzielni i odbierać materiał, z których je robiła.

KS. MICHAŁ HELLER, kosmolog, filozof i teolog:

Adamie, jakie byłyby trzy pierwsze Twoje inicjatywy, gdybyś został przewodniczącym episkopatu Polski?

KS. ADAM BONIECKI: Ponieważ nie będę przewodniczącym episkopatu, mogę fantazjować. Postarałbym się o zwolnienie z celibatu wszystkich księży, którzy tego pożądamy, i w miarę możliwości udzielił im ślubu.



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki i Anna Goc w redakcji „TP”, Kraków, 28 czerwca 2024 r.

Druga rzecz – więcej bym się modlił, śmierć stoi u drzwi i kołaczce.

Trzecia? Nie wiem. Jeśli zostanę przypadkiem przewodniczącym episkopatu, to się rozejrzemy.

MAGDALENA URBAŃSKA, pisze o sobie: „wolontariuszka Arolsen Archives, koordynatorka akcji i projektów, m.in. Żonkile, BohaterON. Członkini Polskiego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka, członkini Komitetu Społecznego »Dumni z Powstańców« ds. obchodów 80. Rocznicy Powstania Warszawskiego. Pasjonatka historii, literatury i filologii klasycznej”:

Jak patrzy Ksiądz na dzisiejszy świat? Dlaczego ludzie (pomimo tylu bolesnych doświadczeń) nie potrafią sobie ułożyć życia w pokoju?

KS. ADAM BONIECKI: Nie wiem. Myślę, że taki jest człowiek. Nigdy nie ułoży sobie życia w pokoju. I też się tym bardzo martwię. Ale bez złudzeń. Taki jest człowiek.

KAŚKA: Drogi Adamie, przepraszam, że piszę tak poufale, ale wierzę, że w jakimś aspekcie naszego istnienia jesteśmy sobie na tyle bliscy, że może mam prawo. Chciałabym mieć w sobie Twój spokój i pogodzenie się z tym, co

koniecznie zaakceptować musimy. Bo masz je, prawda? Ja nie mam. Nie potrafię wyjść w mojej wierze poza próg nieustannego zadawania sobie pytań, która z boskich cech, które zawsze mi wpajano, jest nieprawdziwa. Czy bezgraniczna miłość do nas, czy wszechmoc. Bo jeżeli kocha nas tak nieprzebranie, to czemu pozwala na tyle niezawinionego cierpienia? Czemu nie stworzył nas doskonałymi i szczęśliwymi, czemu hodzi nas jak w jakimś potwornym eksperymencie? Bo przecież mógł. Czy nie? Jeżeli może wszystko, to mógł nam dać brak cierpienia, a na pewno zrozumienie. Bo nasza ludzka logika, nasze zmysły, jedyne, do czego mamy dostęp – też z Jego nadania, prowadzą nas na manowce zrozumienia Jego intencji i przeświadczenia o wszechmocy i miłości. Nie wiem, czy lepiej by było dowiedzieć się, że jednak jest słaby, czy że nie kocha nas aż tak bardzo. Jedno i drugie wydaje mi się być bezgranicznie smutne. Jak sobie radzisz z tym, Adamie?

KS. ADAM BONIECKI: Pytanie to zadaje sobie wielu ludzi, zwłaszcza wtedy, gdy doświadczają cierpienia. Odpowiedź jest jedna: rozłożenie rąk – nie wiemy, tajemnica Boga.

Pewnym wyjaśnieniem jest to, że człowiek jest wolny. Że często my sami komplikujemy nasze życie. Do myślenia dają ludzie święci, którzy, choć nie zawsze mieli wesołe życie, wierzyli w dobry sens wszystkiego, co się dzieje. Gdzie jest granica ludzkiego psucia możliwości, które dał nam Bóg? Gdzie natura ludzka? A gdzie nasze wyobrażenie o Bogu?

Jestem stary, widziałem wiele strasznych rzeczy, które ludzie robili ludziom, ale mam nadzieję, że Bóg jest dobry, i to, czego tu brakuje, znajdziemy w tamtym świecie. Mam nadzieję.

© © Opracowała ANNA GOC



Do końca wakacji możesz zadać pytanie **KS. ADAMOWI BONIECKIEMU**

Poprosiliśmy redaktora seniora naszego pisma, żeby z okazji swoich 90. urodzin zrobił nam wszystkim prezent i odpowiedział na kilka pytań. Nie naszych – Twoich.

Przedłużamy świętowanie! Czekamy na Wasze pytania jeszcze do końca sierpnia.

Wszystkie odpowiedzi czytaj na: [TygodnikPowszechny.pl/boniecki](https://tygodnikpowszechny.pl/boniecki)

Jeśli chcesz zadać pytania, napisz na: zapytajAdama@tygodnikpowszechny.pl



WIARA

NIE MA MOCNYCH NA RYDZYKA

Rząd się zmienił, biskupi też się zmieniają, a w dodatku kraj się laicyzuje,
ale ojciec dyrektor wciąż ma się świetnie.

Świadczą o tym nawet fantazje o jego rzekomym męczeństwie.

IGNACY DUDKIEWICZ

GDY W LIPCU 2024 R. O. TADEUSZ Rydzik przemawia podczas XXXIII pielgrzymki Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę, oklaski przerywają mu co kilka zdań. Gdy dziękuje biskupom i politykom, nie udaje, że traktuje ich poważnie. Hierarchów chwali niczym pojętą dzieci. O Sławomirze Oderze, bisku-

pie gliwickim, mówi: „No pilny był, najpierw studiował gdzieś coś tam na świeckim uniwersytecie, nawet skończył. (...) Ile ten człowiek się nastudiował, dobrze, że jest zdrowy po tym wszystkim”. Wymieniony śmieje się nerwowo.

W przypadku polityków Rydzik sprawdza listę obecności: Piotr Ćwik,

Mariusz Błaszczak, Przemysław Czarnek, Marek Gróbarczyk... „Jest pan europosel. Zgadnijcie, który? Na imię ma jak? Daniel! Daniel Obajtek!” – oznajmia, po czym kontynuuje wyliczankę: Dariusz Matecki, Bartosz Kownacki... Wyczytani wstają, machają do tłumu. Jakiś redemptorysta podpowiada, że jest też Marcin

Tadeusz Rydzyk, Warszawa, kwiecień 2024 r.

Romanowski. Rydzyk pyta zgromadzonych: „A modlicie się za niego? To trzeba mocniej!”. Zaczyna mówić o odebranych immunietach, ale nie pamięta, kogo to dotyczy. Wspomagający ojciec dyktuje kolejne nazwiska.

Czy Rydzyk wciąż jest tak silny, skoro może lekceważąco traktować biskupów i polityków? A może brakuje kogoś, kto powie: to już nie to, co kiedyś? Czy może hierarchowie i politycy prawicy nie mają wyjścia: muszą brnąć dalej w uliczkę bezkrytycznego wspierania redemptorysty, niezależnie od zmieniających się okoliczności? No i w końcu: co z inicjatywami Rydzyka oraz ich wieloletnim wsparciem z publicznych pieniędzy zrobi aktualny rząd?

Klient nasz pan

Gdyby 15 października władzę utrzymała Zjednoczona Prawica, tematu by nie było. Na dowód wdzięczności i w poczuciu ideowej wspólnoty rząd wciąż wspierałby kolejne, także te nierentowne i przeskalowane inicjatywy redemptorysty.

Póki rządził PiS z koalicjantami, Rydzyk nie miał oporów, by w trakcie wizyt polityków w Radiu Maryja na żywo dyscyplinować ministrów, że oni sami lub ich koledzy zbyt opieszale wspierają jego kolejne pomysły – choćby otwarcie kierunku lekarskiego na prowadzonej przez Fundację Lux Veritatis Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Problemy rozwiązywano błyskawicznie.

Trudno się dziwić: w latach 2015-2023 Rydzyk dysponował krótką ścieżką załatwiania spraw z administracją państwową. Do ministerstw, spółek Skarbu Państwa i urzędów dzwonił osobiście on lub Lidia Kochanowicz-Mańk, dyrektorka finansowa Lux Veritatis oraz członkini władz kilku organizacji i spółek z nim związanych. Według doniesień Małgorzaty Świąchowicz z „Newsweeka”, Kochanowicz-Mańk tylko do Orlenu jeździła paręnaście razy w roku.

Był to jednak okres dość szczególny. Wcześniej Rydzyk miał wpływ na kształt list wyborczych PiS: ulubieńcom załatwiał wyższe miejsca, niektórym zaś – dzięki ekspozycji w toruńskich mediach – ułatwiał sukces. Im jednak inicjatywy redemptorysty stawały się bardziej zależne od decyzji rządu, tym mniej Zjednoczona Prawica musiała się na niego oglądać.

O tworzeniu przezeń partii politycznej Ruch Prawdziwa Europa mało kto już pamięta. Rydzyk zyskał pieniądze, ale stracił część wpływów. Stał się klientem.

Według szacunków z samych ministerstw do różnych części konglomeratu medialno-biznesowego Rydzyka popłynęło w tym czasie ok. 400 mln zł. Ponadto firma Geotermia Toruń otrzymywała preferencyjne stawki sprzedaży ciepła, a wojewoda traktował Lux Veritatis wyjątkowo przy ustalaniu opłat za użytkowanie wieczyste ziemi.

Specyficzna sytuacja dotyczy Muzeum Pamięć i Tożsamość: instytucja państwowa, której organami prowadzącymi są Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Lux Veritatis. MKiDN wyłożył na ten projekt setki milionów, finansując budowę gmachu, projekt i urządzenie wystawy stałej, a także zakup eksponatów. Już po przegranych wyborach odchodzący minister Piotr Gliński podpisał aneks do umowy, w którym zapewnił muzeum kolejne 15 mln zł rocznie z budżetu resortu aż do 2028 r. Muzeum miało zostać otwarte trzy lata temu.

Do kontroli

Niektóre rzeczy faktycznie się zmieniły. Nowy wojewoda postanowił zweryfikować stawki za użytkowanie wieczyste gruntów przez Lux Veritatis. Ministerstwo wstrzymało realizację wystawy stałej muzeum i przekazywanie kolejnych środków. Inne kroki są ograniczone przez statut, który nie pozwalała władzom resortu zmienić dyrektora muzeum ani składu jego rady bez zgody Fundacji. Jednak w rozmowie z „Newsweekiem” były minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz zdradził, że „chyba” nowa władza znalazła sposób, by Rydzyk „stracił to swoje małe imperium, które zbudował za państwowe pieniądze”.

Redemptorysta podczas pielgrzymki na Jasną Górę wspominał: „Mamy równocześnie trzy kontrole. Chcą znaleźć cokolwiek. Dwanaście osób nas kontroluje codziennie”. Nie doprecyzował, kto kontroluje i w jakiej sprawie, ale nie chodzi o zlecone przez marszałka Sejmu działania Najwyższej Izby Kontroli.

W marcu 2024 r. Szymon Hołownia poprosił o sprawdzenie przepływów finansowych między państwem i jego agendami a związkami wyznaniowymi, ze szczególnym uwzględnieniem Kościoła rzym-

skokatolickiego. Ogłaszając to na platformie X, wyłożył swoje intencje: „To jest taki trick, że do Rydzyka zapuka NIK”. Jak jednak ustaliliśmy, jak na razie odbyła się intensywna korespondencja między Hołownią a NIK, dotycząca zakresu kontroli, bo konieczność sprawdzenia całości przepływów na linii instytucje państwa-związki wyznaniowe sparaliżowałaby działalność Izby na kilkanaście miesięcy.

Inna sprawa, że NIK ma ograniczone możliwości kontrolowania spółek Skarbu Państwa i ich fundacji (a wiele środków Rydzyk otrzymał z tych źródeł). Ponadto część organizacji i spółek ojca dyrektora formalnie nie ma związków z Kościołem. Siłą rzeczy ograniczona kontrola zlecona przez marszałka ma ruszyć w czwartym kwartale, ale w jakim stopniu obejmie inicjatywy redemptorysty – nie wiadomo.

Przedsięwzięcia Tadeusza Rydzyka są jednak kontrolowane przez NIK w ramach innych spraw, dotyczących choćby Funduszu Sprawiedliwości. Niektórzy politycy związani z nowym rządem mówią, że liczą także na aktywność prokuratury.

Po linie

W obrębie koalicji KO-TD-Lewica nie ma jednak zgody co do skali działań, które powinny osiągnąć Rydzyka. Jeden z moich informatorów mówi: – Nasi wyborcy, a przynajmniej twardy elektorat, oczekują rozliczeń rządów PiS. Niejasne pozostaje, w jakim stopniu oczekują rozliczenia Kościoła.

Nowa większość nie ma wątpliwości, że Kościół instytucjonalny przeciągnął strunę we wspieraniu rządu Zjednoczonej Prawicy i że w związku z tym – oraz postępującą sekularyzacją społeczeństwa – coś należy zrobić.

– Niektórzy jednak chcieliby się zatrzymać na symbolach, jak Fundusz Kościelny. Sprawa głośna, ale mało istotna w porównaniu z innymi przepływami finansowymi – wyjaśnia mój rozmówca. – Przekonują, że musimy się dogadać z Kościołem. Obawiają się lokalnych konsekwencji silniejszej konfrontacji. Ostatecznie także w tej sprawie chodzimy po linie, balansując między lewicą a PSL.

Sprawa o Rydzyka teoretycznie mogłaby łączyć różne strony tej dyskusji, ale i tutaj słychać obawy: – Jego radio słuchalność ma średnią, ale nieważne, ile osób słucha, tylko jakie. Ta rozgłosność wciąż ma istotne przełożenie

→ na zwykłych księżych w Polsce, którzy często powtarzają to, co usłyszą w Radiu Maryja i przeczytają w „Naszym Dzienniku” – komentuje ksiądz związany z mediami.

Rzeczywiście: słuchalność Radia Maryja to ok. 2 proc. udziału w rynku, Telewizja Trwam z roku na rok traci (obecnie ma poniżej 0,5 proc. udziału w rynku), spadają też przychody ze sprzedaży „Naszego Dziennika” (brakuje oficjalnych danych).



O. Tadeusz Rydzyk w katedrze wawelskiej podczas ingresu abp. Marka Jędraszewskiego, Kraków, styczeń 2017 r.

Jak ryba w wodzie

Media to oczywiście nie wszystko. Oprócz nich Rydzyk formalnie lub faktycznie rządzi Fundacją Lux Veritatis, Fundacją Nasza Przyszłość, wspomnianymi muzeum i akademią oraz spółkami geotermalnymi, nieruchomościowymi i cateringowymi. To przekłada się na finanse konglomeratu, siłę ojca dyrektora w zakonie i biznesie, a w jakimś stopniu także na oddziaływanie społeczne.

Topniejące grono odbiorców Rydzyka to bowiem ludzie silnie zaangażowani. Zwłaszcza Radio Maryja odegrało istotną rolę w czasach transformacji ustrojowej i późniejszych. Znaczącej grupie ludzi zapewniło poczucie wspólnoty, godności oraz uznania ich sytuacji i doświadczeń. Zapewniło również proste wyjaśnienia skomplikowanych procesów i zjawisk. Do dziś wiele tych osób jest gotowych żarliwie bronić ojca dyrektora.

Rozmawiam z pracownikiem instytucji powiązanej z redemptorystą. – Mam wrażenie, że ojciec dyrektor najbardziej by chciał, żeby go aresztowano. Wtedy czułby się jak ryba w wodzie: znów byłby

w centrum, narzucał narrację, grzmiał o prześladowaniach, mobilizował słuchaczy i sympatyków oraz związał ręce biskupom, którzy w aktualnym układzie sił w polskim Kościele nie mieliby innego wyjścia, niż go bezwarunkowo wspierać – komentuje.

Rydzyk ma doświadczenie w takich sytuacjach. W 1996 r. długo nie stawiał się na przesłuchania w związku z wypowie-

dzia, że posłom opowiadającym się za liberalizacją prawa aborcyjnego należy „golić głowy” (prokuratorka prowadząca sprawę dostawała wówczas listy z pogrózkami od sympatyków RM). Innym razem podnosił larum, że wyrok skazujący go na grzywnę za prowadzenie nielegalnej zbiórki jest niezgodny z prawem naturalnym.

Tak poważna konfrontacja to scenariusz mało prawdopodobny. Ale przecież Rydzyk może eskalować swój przekaz także w przypadku mniejszych „szykan”.

Na barykadzie PiS

Tymczasem dyrektor Radia Maryja staje w obronie innych „prześladowanych”, a kontrole we własnych inicjatywach podcina narracyjnie pod postępowania karne toczące się przeciw urzędnikom, politykom czy ks. Michałowi Olszewskiemu – oskarżanym w związku z podejrzeniem nieprawidłowości związanych z dotacjami z Funduszu Sprawiedliwości.

Dla niego sprawa jest prosta. Podczas pielgrzymki na Jasną Górę o Wosiu, Błazczaku i Romanowskim mówił: „To porządni ludzie. Nigdy mnie nie oszu-

kali”. Uderzał także w Adama Bodnara: „Chcą ich zamknąć do więzienia. I to kto? Gdzie są prawa obywatelskie, pytam się, panie rzeczniku?”.

Wspierał również urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości i ks. Olszewskiego: „Módlmy się za tych, którzy są prześladowani. Za panią Urszulę w więzieniu, panią Karolinę w więzieniu, za księdza Michała w więzieniu”. A ks. Olszewski odwodził się, pisząc: „Jeśli kiedykolwiek ktoś zapyta mnie, czy w życiu spotkałem Miłosiernego Samarytanina, Szymona z Cyreny czy św. Weronikę, to bez wahania odpowiem, że tak! W czasie mojego uwięzienia tymi cudownymi postaciami dla mnie i Profeto był o. Tadeusz Rydzyk i cała Rodzina Radia Maryja i TV Trwam!”.

O ile więc niektórzy biskupi próbują – co jest trudne, ale nie niemożliwe po ośmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy – dogadywać się z nowym rządem w konkretnych kwestiach, o tyle Rydzyk nic nie zmienia. Głosi przy tym narrację w stu procentach zgodną z tą formułowaną przez Jarosława Kaczyńskiego, który w liście do pielgrzymów Rodziny Radia Maryja także pisał o „więzionym i torturowanym wybitnym kapłanie”.

Na Jasnej Górze Rydzyk grzmiał: „Ratujmy ojczyznę, bo to już nie jest pytanie, jaka będzie Polska, ale czy Polska w ogóle będzie istnieć”, a Kaczyński pisał o „nasilającej się fali ataków na wiarę i polskość”. Redemptorysta: „Była rewolucja francuska, październikowa, był nazizm, był komunizm. A teraz? Do czego zmierzamy?”. Prezes PiS: „gwałcenie Konstytucji” i „totalitarna pokusa”. Rydzyk: „Czy mamy być czyścibutami niemieckimi?”. Kaczyński: „rządy dbającej bardziej o obce niż o polskie interesy koalicji 13 grudnia”.

Momentami trudno rozróżnić.

Bezradni biskupi

Jedność tych ocen teoretycznie powinna niepokoić biskupów. Już w 2008 r. ówczesny nuncjusz Józef Kowalczyk mówił: „Radio Maryja czy jakiegokolwiek inne radio katolickie, nie może stać się radiem partyjnym, bo jak się stanie radiem jednej partii, to razem z tą partią umrze, a my żyjemy Radiu Maryja, żeby miało dłuższe życie, niż jakaś doraźna koalicja”.

W praktyce jest to bardziej skomplikowane (tożsamościowe media swobodnie przechodzą wraz z partiami z opozycji do obozu władzy i z powrotem), ale wątpli-

wości wśród hierarchów rzeczywiście rosną. Niektórzy uśmiechają się i machają na pielgrzymce, inni zastanawiają się, co dalej. A przewodniczący episkopatu, abp Tadeusz Wojda, ma inne sprawy na głowie. Choć miał być na Jasnej Górze, nie dojechał. Według Rydzyka w wyniku „obiektywnych okoliczności”. Według informacji potwierdzonej w dwóch źródłach: ze względu na problemy, jakie ma w Watykanie w związku z zaniedbaniami dotyczącymi pedofilii w Kościele.

W zakulisowych rozmowach między biskupami coraz częściej pada jednak pytanie: „Co po ojcu dyrektorze?”. Przez lata podział był prosty: większość episkopatu Radio Maryja wspierała, jedni absolutnie bezkrytycznie, inni „mimo niedociągnięć”, a mniejszość oddawała pole, uznając, że i tak nie zdołają wpłynąć na kierunek, w którym podążają Rydzyk i jego inicjatywy. W wydanej w 2018 r. książce „Kościół katoludzki” prymas Wojciech Polak przyznawał, że „większość biskupów wychodzi z założenia, że skoro wybraliśmy specjalną radę odpowiedzialną za duszpasterską troskę nad toruńską rozgłośnią – niech ona zajmuje się gaszeniem pożarów”. Zaś bp Szymon Stułkowski mówił mi na potrzeby książki „Pastwisko”, że wśród hierarchów „widać, kto zawsze radykalnie bronił mediów Rydzyka: nawet jak ojciec dyrektor wałnął coś głupiego, to było święte. A nie widać było takich, którzy mają do nich zdrowy dystans”.

Wśród tych pierwszych jest coraz więcej emerytów, ale lista nazwisk takich jak Jędraszewski, Głódź, Dzięga, Dydycz, Długosz, Mering, Depo i Dec wciąż zapewnia Rydzykowi silne wsparcie – nawet jeśli biskupów wobec niego zdystansowanych przybywa. A niezależnie od stosunku do ojca dyrektora i jego działań większość hierarchów od lat żałuje, że – jak to ujął w biografii arcybiskupa Michalika autorstwa Tomasza Krzyżaka nieżyjący już abp Henryk Hoser – „o. Rydzykowi udało się to, co nie udało się nigdy Episkopatowi. Ma dziennik ogólnopolski, radio i telewizję”.

O ile bowiem początkowo Rydzyk współdziałał z hierarchami, o tyle szybko „wymknął im się spod kontroli”. Gdy zaś zaczął tworzyć Rodziny Radia Maryja, w Kościele powstała niezależna od biskupów pozioma struktura zrzeszająca część wiernych i duchowieństwa. Nikt nie był w stanie zaingerować w kształt działań redemptorysty. Najmocniej sparzył się



MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

O. Tadeusz Rydzyk,
gdy dziękuje biskupom
i politykom, nie udaje,
że traktuje ich poważnie.

**Hierarchów chwali
niczym pojętne dzieci.**

prymas Glemp, który próbował wpłynąć na polityczny charakter części programu nadawanego przez Radio Maryja, ale został zignorowany.

Sukcesja

Za rządów PiS niektórym biskupom doskwierało, że dla władzy najważniejszym partnerem po stronie kościelnej był zakonnik, nad którym nie mieli kontroli, a nie jeden z nich – np. aspirujący do tej roli abp Jędraszewski. Wraz z powoli zmieniającą się świadomością biskupów na temat przestępstw seksualnych księży i ich rozliczania coraz większej grupie hierarchów przeszkadza także to, że media o. Rydzyka nic sobie nie robią ani z oficjalnej polityki Watykanu, ani z decyzji episkopatu. Kolejnych oskarżanych biskupów w Toruniu biorą w obronę jako „męczenników mediów”, a o rozstrzygnięciach Stolicy Apostolskiej najczęściej nie informują w ogóle.

Nieuchronność pytań o schedę łączy o. Rydzyka z Jarosławem Kaczyńskim. Redemptorysta jest 4 lata starszy od prezesa PiS, więc wątpliwość, jak długo będzie w stanie kierować swoim imperium, jest w pełni uzasadniona. Być może naturalnym kandydatem na jego następcę jest o. Jan Król, młodszy

o 15 lat bliski współpracownik. Nie wiadomo jednak, czy będzie wystarczająco sprawny oraz co powiedzą na to władze zakonu.

Te ostatnie przez lata chroniły ojca dyrektora i jego inicjatywy. Czasem dlatego, że były zbyt słabe – niektórzy wysoko postawieni zakonnicy przegrywali starcie z Rydzykiem mimo odwoływania się do zakonnych zasad i prawa kanonicznego. Niekiedy, bo myślały tak jak on. Niekiedy zaś, bo zbyt wyraziście przemawiały do nich wpływy do kasy zgromadzenia.

Rydzyk zabezpieczył się zresztą na wypadek silniejszych zakusów zakonu względem jego inicjatyw. Nad większością z nich redemptoryści nie mają kontroli. Wyjątkiem jest Radio Maryja, którego są właścicielem, ale przyszły los pozostałych instytucji – w tym Telewizji Trwam, muzeum, szkoły wyższej, geotermii etc. – pozostaje pod jeszcze większym znakiem zapytania.

Judaszowa troska

Gdy Hołownia podpisał zlecenie kontroli dla NIK-u, Rydzyk odpowiedział: „Pierwsze, co mi się nasunęło: troszczy się o pieniądze, jakbym słyszał Judasza. Judasz też to powiedział, zaczął mówić do Marii Magdaleny, po co ten olej na stopy Jezusa”. Podkreślał także, że „nie dostał ani grosza od PiS-u” oraz że „nie boi się NIK-u”, bo „byli już kontrolowani”.

Z jednej strony więc ustawia siebie w roli obmywającego stopy Jezusa, a krytyków w miejscu Judasza. Z drugiej – posługuje się poważnymi niedopowiedzeniami (owszem: Rydzyk jako Rydzyk nie dostał pieniędzy „od PiS-u”, ale już jego inicjatywy otrzymały wiele środków z budżetu państwa, nie zawsze na transparentnych zasadach). To dobre podsumowanie strategii, jaką przyjął wobec nowego rządu.

Ojciec dyrektor współpracuje więc z opozycją, zakon i biskupi pozostają – jak zwykle w jego sprawie – bezczynni i wyczekujący, zaś nowe władze działają w sprawie rozliczeń środków dla inicjatyw redemptorysty raczej ostrożnie.

Na razie nie ma na niego mocnych.

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest redaktorem naczelnym Magazynu „Kontakt” i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”.

Afrykanki pielgrzymują

TEKST I ZDJĘCIA: ANNA NIEDŹWIEDŹ

Podróż do sanktuarium jest dla kobiet aktem emancypacji. Niełatwo zgromadzić fundusze i wyrwać się na kilka dni z domowego kieratu.

AGGI, ZNANA TEŻ JAKO MAAME YAA, Czyli „mama” oraz ta, która urodziła się w czwartek (w języku twi czwartek to *Yawada*), od lat stara się w sierpniu dotrzeć do katolickiego *grotto* (sanktuarium), gdzie spotyka się z koleżankami z grupy świętej Teresy. Na kilka dni zamyka swój mały sklepik, który nazwała „Chwała Panu, przedsiębiorstwo”, i jedzie, aby – jak mówi: „Bóg poczuł się zmęczony moimi modlitwami”.

W tym roku będzie przede wszystkim dziękować – jej najstarsza córka znalazła pracę w państwowej służbie, co w Ghanie oznacza duży prestiż i w miarę stabilną sytuację finansową. W sporej torbie, którą z gracją i zadziwiającą lekkością niesie na głowie, Aggi ma kilka sukienek: uniform Towarzystwa św. Teresy, a przede wszystkim białą koronkową suknię i turban, uszyte specjalnie na dzieńczynne nabożeństwo zamykające pielgrzymkę.

To właśnie z Yaa miesiąc wcześniej witałam wracającą z Mekki mamę jej mużmańskiej przyjaciółki. – Ej, to jak nasze *grotto* – skomentowała, gdy oglądaliśmy zdjęcia ludzi okrążających Kaabę i słuchałyśmy opowieści o uzdrawiającej wodzie przywożonej do Ghany i rozdawanej rodzinie oraz znajomym.

Gdy pytam chrześcijan o pielgrzymowanie, wielu wskazuje na swoich mużmańskich sąsiadów i członków rodzin pragnących przynajmniej raz w życiu udać się do Mekki. Ale po chwili rozmowy okazuje się, że także ghańscy chrześcijanie wędrują do miejsc religijnie dla nich ważnych. Szukają tam przede wszystkim uzdrowienia. Różne choroby i dolegliwości ciała, ale też problemy finansowe, rodzinne i zawodowe postrzegane są jako „tak naprawdę problemy duchowe”. Ich rozwiązanie – oprócz działań ściśle ludzkich – musi wiązać się również z aktem o charakterze religijnym.

Relacje, które nas tworzą

Afrykańscy badacze społeczni podkreślają istnienie – mimo olbrzymiej różnorodności kontynentu – specyficznego dla Afryki światopoglądu. Jego dominującym elementem ma być relacyjna koncepcja osoby. Jest to perspektywa, w której jednostka definiowana jest nie tyle jako samostanowiący o sobie byt, lecz część rozmaitych relacji, w których dany człowiek funkcjonuje. Zatem „ja jestem”, gdyż jestem tworzony w relacjach z bytami duchowymi, przodkami, siłami natury, ale też krewnymi, kolegami z pracy, współwyznawcami, sąsiadami, a nawet tymi, którzy urodzili się w tym samym dniu tygodnia, więc noszą wspólne „imie duszy”...

Stąd tak istotne są odwołania do związków rodowych i rodzinnych. Ale też funkcjonowanie współczesnych Afrykanów w niezliczonej liczbie stowarzyszeń i mniej czy bardziej sformalizowanych grup. Bycie członkiem takich grup wyraża różne tożsamości, wzmacnia społeczny prestiż, stanowi również realne wsparcie w sytuacjach kryzysowych.

Doskonale widać to podczas rozbudowanych, wielodniowych ghańskich pogrzebów – członkowie stowarzyszeń osoby zmarłej czy najbliższych żałobników pojawiają się wówczas w identycznych strojach i z konkretnym wsparciem finansowym. Przychodzą osoby z tej samej grupy etnicznej, tworzące związek w miejscu pracy, „siostry z jednej ulicy” – czyli właścicielki sklepików i zakładów usługowych ulokowanych w sąsiedztwie, stowarzyszenia przekupek związane z konkretnymi hurtowniami lub dostawcami produktów (w miejscowości, w której obecnie pracują, działa „siostrzeństwo przypraw maggi”, którego członkinie na targu noszą charakterystyczne żółte chustki) czy wreszcie członkowie grup religijnych oraz rozmaitych stowarzyszeń



działających w obrębie poszczególnych Kościołów albo transdenominacyjnych czy wieloreligijnych wspólnot (w Ghanie działają na przykład ponadwyznaniowe Kościoły dla policjantów i żołnierzy).

Modlitewny trans

Siła tutejszego chrześcijaństwa – z którym utożsamia się dziś ponad 70 proc. Ghańczyków (katolików jest ok. 10 proc.) – opiera się na praktykowaniu relacyjności i czynnym dbaniu o żywe związki z siłami boskimi oraz grupą, wraz z którą człowiek się modli. Przy czym „modlitwa” oznacza cielesne i zmysłowe zaangażowanie w spotkanie z *sacrum*, a jedną z ważniejszych jej form jest ekstatyczny taniec. Podobnie jak w afrykańskich religiach rodzimych, gdzie taniec umożliwia komunikację z siłami duchowymi.

Popularne pentekostalne miejsca modlitewnych spotkań – często są to wydzielone w buszu przestrzenie nazywane „obozami modlitewnymi” – ale też katolickie sanktuaria, rozbrzmiewają za dnia i w nocy rytmicznymi dźwiękami bębnow, śpiewami i klaskaniem, które ułatwiają wejście w trans i – jak mówią chrześcijanie – „otwarcie się na Ducha”, który ma wypełnić i przemienić modlących się.



Droga Krzyżowa na techimańskim grotto (znane jako Grota Matki Boskiej Kalwaryjskiej), które dziś stanowi ważny ośrodek pielgrzymkowy. Techiman, Ghana, luty 2023 r.

Wspólnota, wraz z którą człowiek się modli, ma nie tylko tę przemianę ułatwić – ma również zapewnić bezpieczeństwo. W transie bowiem ludzie otwierają się zarówno na dobre, jak i złe siły duchowe.

Zgodnie z tradycyjnymi wierzeniami, którymi przesyczone jest ghańskie chrześcijaństwo, siły te często związane są z naturą – górami, skałami, rzekami i strumieniami, zagajnikami czy lasami. Nieprzypadkowo większość chrześcijańskich sanktuariów powstała w bezpośrednim sąsiedztwie rodzimych miejsc kultu, których kapłani i kapłanki nierzadko cały czas rezydują tuż obok, a ich obecność postrzegana jest jako dowód na to „że tu jest coś szczególnego”.

Ghańskie Lourdes

Właśnie z licznymi tradycyjnymi miejscami kultu związane są rozległe formacje skalne z żółtego piaskowca, rozciągające się na północ od miasta Techiman w środkowej Ghanie. W latach 80. poprzedniego wieku, po negocjacjach z lokalnym wodzem i miejscowym kapłanem, który rezydował w jednej z jaskiń, na szczycie najwyższej w okolicy skały postawiono krzyż i figury prezentujące scenę Ukrzyżowania. Dało to początek te-

chimańskiemu *grotto*, które dziś stanowi ważny ośrodek pielgrzymkowy popularny wśród ghańskich chrześcijan (nie tylko katolików) oraz w Togo i na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

W odróżnieniu od innych Kościołów, wszystkie sanktuaria, którymi opiekuje się Kościół rzymskokatolicki, są w Ghanie nazywane grotami (*grottos*). To nawiązanie do francuskiego Lourdes, przeszczepione kilkadziesiąt lat temu przez białych misjonarzy, ma dziś swoje liczne, odolne reinterpretacje. Groty są oficjalnie dedykowane różnym świętym postaciom – przede wszystkim Matce Boskiej i Chrystusowi – lub miejscom znanym z Biblii (np. Grota Jeruzalem czy Góra Tabor). Techimańskie *grotto* (znane jako Grota Matki Boskiej Kalwaryjskiej), którego początek mocno naznaczyli austriaccy werbiści popularyzujący odprawianie Drogi Krzyżowej wśród skalnych wawozów, z biegiem czasu zaadaptowało szereg globalnie rozpowszechnionych katolickich wzorców. Natomiast w sferze rytuału wyraźnie widoczne są tradycje lokalne.

Jest tu więc grota z wizerunkiem Matki Boskiej z Lourdes, rozrzucone w przestrzeni skalnego i leśnego krajobrazu rzeźby przedstawiające sceny pasyjne

czy figura Chrystusa w jaskini przywołującej jerozolimski grób, ale też witająca wszystkich przybywających postać Marii trzymającej w dłoniach kulę ziemską z wyróżnionym zarysem kontynentu afrykańskiego...

Podczas corocznych sierpniowych kilkudniowych uroczystości związanych ze świętem Wniebowzięcia przez okoliczne miejscowości w szybkim tempie przemieszcza się głośna ekstatyczna procesja. Na platformie pick-upa jedzie ponaddwumetrowa rzeźba Matki Bożej Fatimskiej, a otaczający ją tłum wznosi okrzyki, macha chusteczkami i tańczy do rytmu bębnów oraz popularnych ghańskich melodii. Ze strony gapiów padają pochlebne komentarze, a niektórzy nawet przyłączają się do tańców. Rytuał przypomina typowe tutaj pochody z wodzami, którzy są uosobieniem łączności miejscowej ludności z przodkami i duchem lokalnej ziemi.

Maryja i bóstwa lokalne

Takie odniesienie do tradycji bywa też przedmiotem krytyki. W nawiązaniach do przedchrześcijańskich rytuałów niektórzy ghańscy pastory widzą wcielenie „pogaństwa”, a o katolickiej procesji z figurą Marii mówią: „to jest jak noszenie fetyusza”. Tymczasem odwołania do inkultracji – czyli włączania lokalnych tradycji w liturgię i rytuał chrześcijański – typowe dla posoborowego i postkolonialnego katolicyzmu, przyniosły dumę z rodzimych kultur i symboli: strojów, muzyki, języków, przysłów... Dzisiejsze „czarne chrześcijaństwo” – wielu różnych nurtów i Kościołów – coraz chętniej podkreśla swoją „afrykańskość”. Co ciekawe, przynajmniej od trzech dekad tę afrykańską tożsamość spaja tzw. duchowość pentekostalna, związana nie tylko z Kościołami zielonoświątkowymi i neo-pentekostalnymi, lecz również z nurtem pierwotnego niezależnego chrześcijaństwa (w Afryce Zachodniej u jego źródeł stoją np. mistyczne Ruchy Aladura czy postacie samodzielnych proroków i proroków, takich jak William Wadé Harris) oraz tzw. historycznymi Kościołami misyjnymi.



Sierpniowe uroczystości związane ze świętem Wniebowzięcia. Na platformie pick-upa jedzie ponaddwumetrowa rzeźba Matki Bożej Fatimskiej. Techiman, Ghana, 12 sierpnia 2023 r.

→ Współcześni ghańscy katolicy w grotach szukają przede wszystkim fizycznego i duchowego uzdrowienia, rozwiązywania konkretnych problemów czy spełnienia marzeń o bogactwie i zdrowiu – które są postrzegane jako znaki błogosławieństwa – a nawet o wizie do, jak wierzą, lepszego „zachodniego świata”. – Dla nas, Afrykanów, wszystko jest duchowe – tłumaczy mi jeden z ghańskich przyjaciół i podkreśla wagę charyzmatycznych modlitw, mówienia językami, wypędzania złych duchów czy interpretowania proroczych snów i wizji, które mogą zdarzyć się podczas pobytu w *grotto*.

Uderza mnie, jak podobne są te chrześcijańskie charyzmatyczne rytuały do zachowań, które obserwuję w okolicznych sanktuariach tradycyjnych, gdzie kapłani i kapłanki też wpadają w trans i „mówią językami” lokalnych *abosom*, czyli sił duchowych czy bóstw, a przekaz „tłumaczy” wyspecjalizowana osoba. I tu, i tam taniec oraz ekstaza stanowią podstawową formę kontaktu z *sacrum*, które jest źródłem uzdrowienia oraz ochrony przed złem i czarami.

Siła kobiet

Kilka razy do *grotto* wędruję z grupami kobiecymi z parafii katolickich w miejscowościach położonych około pięćdziesiąt kilometrów na północ od Techiman, gdzie prowadzę badania etnograficzne. Chrześcijańskie Matki, Stowarzyszenie Kobiet Katolickich czy Towarzystwo św. Teresy to wspólnoty modlitewne, ale też swego rodzaju zastępcze rodziny. W ich

funkcjonowaniu dostrzegam wcielenie afrykańskiej relacyjnej koncepcji osoby. Nie oznacza to, że wśród tworzących takie grupy kobiet brak konfliktów, a pomiędzy poszczególnymi stowarzyszeniami tarć i współzawodnictwa. Chodzi raczej o autentyczne poczucie zobowiązania, konieczność dbania o relacje, łożenie na rzecz wspólnoty i wspieranie członkiń dotkniętych jakimś nieszczęściem.

– W *grotto* (zapełniające się w sierpniu oraz podczas diecezjalnych spotkań poszczególnych stowarzyszeń) można odetchnąć i być razem z siostrami oraz z Bogiem – mówi Hannah, która jest jedną z liderek Chrześcijańskich Matek. To stowarzyszenie popularne zwłaszcza wśród kobiet, które osiadły w okolicach Techiman jako migrantki z uboższej północy kraju. Najczęściej pochodzą z grup etnicznych o patriarchalnej strukturze i patrylinearnym systemie dziedziczenia (w przeciwieństwie do matrylinearnych Akanów, którzy stanowią większość rodzimej ludności na południu i w centrum).

Szczególnie w przypadku uboższych, często niewydukowanych członkiń mieszkających w wioskach i pracujących na roli stowarzyszenie jest grupą wsparcia. Osoby takie jak Hannah – nauczycielki, pielęgniarki, urzędniczki albo przedsiębiorczynie, które stają na czele lokalnych religijnych grup – bywają prawdziwymi adwokatkami, interweniując w trudnych sprawach rodzinnych, także związanych z przemocą wobec kobiet

czy oskarżeniami o czary. Grupa – umocowana w oficjalnej strukturze, jaką jest parafia – pozwala na negocjowanie ze starszymi rodów i szukanie sprawiedliwych rozwiązań. Nierzadko sama podróż do *grotto* jest aktem emancypacji – niełatwo zgromadzić odpowiednie fundusze i wyrwać się na trzy lub cztery dni z kielatu domowych obowiązków.

Paradoks genderowy

Jednak to właśnie kobiety liczebnie dominują podczas wszystkich uroczystości w *grotto* – podobnie jak podczas niedzielnych nabożeństw czy innych aktywności w obrębie parafii. „Paradoks genderowy”, opisywany przez badaczy chrześcijaństwa na całym świecie, jest szczególnie wyrazisty w Kościele katolickim, którym kieruje patriarchalna struktura klerykalna. Tymczasem kobiety wspierają się oddolnie i w obrębie stowarzyszeń tworzą modlitewne kręgi.

Dziś coraz głośniejsze mówi się o teologii w praktyce czy teologii oralnej afrykańskich kobiet – nawet tych niepiśmiennych lub nieoczytanych, za to wyrażających swoją siłę duchową poprzez typowe dla lokalnego kontekstu formy: przypowieści, nauczanie symbolami i przysłowiami, układanymi na żywo pieśniami oraz tańcem, a nawet ubiorem. Warto zauważyć, że pentekostalizacja ghańskiego chrześcijaństwa oraz rehabilitacja religii rodzimych przypomina Afrykankom o kapłańskiej roli kobiet w różnych kontekstach wierzeniowych.

■ ■ ■

Ze skał w *grotto* pielgrzymujący wybierają żółty piasek i czerpią wodę. Mają mieć moc – duchową, a zarazem fizyczną. Piasek i woda dają siłę i uzdrowienie ponad religijnymi podziałami. Po zakończonej pielgrzymce będą przekazane dalej: do członków rodzin, sąsiadów i współpracowników niezależnie od wyznania. *Grotto* przywołuje to, co w afrykańskiej duchowości zdaje się być pierwotne i najsilniejsze. © ANNA NIEDZWIĘDŹ

Autorka jest profesorem UJ, antropolożką kulturową, autorką m.in. książki „Religia przeżywana. Katolicyzm i jego konteksty we współczesnej Ghanie” (2015). Obecnie realizuje projekt badawczy NCN poświęcony pozycji afrykańskich kobiet w kontekście katolicyzmu w Ghanie.

Dokąd zmierzają pielgrzymki

PROF. IZABELA SOŁJAN,
GEOGRAF RELIGII:

Na pierwszym planie jest motywacja religijna. Ale coraz większe jest też zainteresowanie pozareligijną stroną takiej wyprawy.

JACEK TARAN: Czym jest pielgrzymka?

IZABELA SOŁJAN: Najkrócej, to podróż podjęta w celach religijnych do miejsc uważanych za święte. Tak jest najczęściej, chociaż motywacje bywają różne. Pielgrzymki są zjawiskiem znanym w niemal wszystkich religiach i to właściwie od zawsze. Możemy się zastanowić, czy ten czynnik religijny, zwłaszcza w dzisiejszym świecie, jest konieczny. Oczywiście, ludzie pielgrzymowali przede wszystkim z potrzeby duchowej, ale przecież nieodowny był też czynnik poznawczy. To była jedna z pierwszych form turystyki. Inna niż turystyka współczesna, która rozwinęła się znacznie później, ale jednak każda podróż zawsze będzie miała w sobie też ten pociągający pierwiastek przygody czy doznania czegoś nowego.

A co jest interesującego w pielgrzymkach dla geografa?

Geografia jest nauką, która zajmuje się przestrzenią, i wszystko, co w tej przestrzeni się dzieje, może znaleźć się w kręgu zainteresowań geografów. Zatem również to, co związane jest z religią, która ma wiele istotnych powiązań społeczno-ekonomicznych. Na tym gruncie rozwinęła się dziedzina zwana geografą religii, w ramach której bada się również pielgrzymki jako element turystyki religijnej. Chodzi też o takie aspekty jak zasięg pielgrzymowania, sposób organizacji przestrzeni sanktuaryjnej, motyw,

dla których ludzie podejmują trudy takiej podróży, czy satysfakcja pielgrzymów.

Po co ludzie chodzą na pielgrzymki?

Z badań wynika, że na pierwszym planie jest motywacja religijna. Natomiast coraz większe jest też zainteresowanie pozareligijną stroną takiej wyprawy. Widać to zwłaszcza wśród osób młodszych. Tu pojawia się też potrzeba czy chęć towarzyszenia osobom starszym, chęć pomocy. Często to może być motywacja polegająca po prostu na potrzebie spędzenia wspólnego czasu z kimś bliskim. Dla ludzi starszych motywacja religijna zazwyczaj jest jedynym i najważniejszym powodem, dla którego decydują się na udział w pielgrzymce. W 2015 r. Portugalczycy robili badania w czterech sanktuariach: w Fatimie, Lourdes, Banneux w Belgii i w Loreto. Osoby powyżej pięćdziesiątego roku życia nie wskazywały na wagę innych motywów niż religijne. Natomiast dla młodszych grup motywów inne niż religijne stanowiły nawet 40 proc. wskazań.

Podobno ludzie szukają sobie męża czy żony na pielgrzymce.

Zapewne to się może zdarzyć. Budowaniu relacji sprzyjają zwłaszcza pielgrzymki piesze, to jest dość powszechne zjawisko w grupach ludzi, które są zintegrowane jakimś wspólnym celem, wspólnym doświadczeniem i wartościami.

A czy młodzi ludzie mają swoje ulubione miejsca?

Nie mamy badań, które by mogły jakoś potwierdzić taką tezę, ale na pewno jest tak, że młodzież chętniej utożsamia

się z formami eventów religijnych, jak spotkania w Lednicy czy Festiwal Życia w Kokotku. Przyciąga ich forma, w którą wpisane są koncerty, konferencje, warsztaty, a nawet ekstremalne biegi. Tu też ważny jest czynnik religijny, ale nie jest on jedynym. Nie znaczy to, że młodzi nie biorą udziału w tradycyjnych formach pielgrzymowania.

Pielgrzymki z pewnością wpływają na rozwój miejsc pielgrzymkowych...

Ten wpływ może być bardzo silny, ale też nie jest to reguła. Przede wszystkim ważny jest czynnik sprawczy, który decyduje o powstaniu sanktuarium, np. objawienia maryjne czy cudowne wizerunki. Wśród współczesnych centrów oddziałujących na rozwój miejscowości można wymienić chociażby Fatimę, która została założona od podstaw, na tzw. surowym korzeniu. Objawienia miały miejsce w Cova da Iria, to był teren niezamieszkały. O Lourdes przed objawieniami w 1858 r. mało kto słyszał, a dzisiaj to jedno z najbardziej rozpoznawalnych miejsc. Tak dzieje się głównie w mniejszych ośrodkach, dla których funkcja pielgrzymkowa jest wiodąca. W Polsce takim miejscem jest Licheń. Dla dużych ośrodków miejskich, jak choćby Kraków, ta funkcja jest jedną z wielu i zazwyczaj nie najważniejszą. Mamy tu dwa duże sanktuaria o randze międzynarodowej: Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach i sąsiadujące z nim Centrum Jana Pawła II, ale przecież ludzie przyjeżdżają do Krakowa nie tylko na pielgrzymki.

Ale pielgrzymowali tu, jak w Łagiewnikach jeszcze nic nie było...



XVII Ogólnopolska Pielgrzymka Rowerowa na Jasną Górę. Częstochowa, 9 lipca 2022 r.



GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

→ To prawda. Przez wieki Kraków miał wiele różnych sanktuariów, już w XI w. zaczął rozwijać się kult św. Stanisława ze Szczepanowa. Wcześniej sprowadzono relikwie świętego Floriana, ale ten kult się nie przyjął. Przez wieki Kraków był przedstawiany jako polski Rzym, bo mieliśmy wiele miejsc pielgrzymkowych. I nawet dziś lista sanktuariów jest bardzo długa, ale też wiele z tych miejsc już nie gromadzi pielgrzymów.

Czy możemy wyróżnić jakieś trendy?

Rozwój chrześcijańskiego ruchu pielgrzymkowego zaczyna się w IV w. naszej ery, kiedy to najpierw edykt mediołański w 313 r. zrównał chrześcijaństwo z innymi religiami, a w 381 r. stało się ono religią obowiązującą w Cesarstwie Rzymskim. Zaczyna się dynamiczny rozwój ruchu pielgrzymkowego związanego wówczas przede wszystkim z kultem męczenników i świętych. Po soborze efeskim nasilił się kult maryjny i trend ten utrzymał się przez wieki. Na początku XVII w. zaczęły powstawać kalwarie – pierwsza w Kalwarii Zebrzydowskiej. W wielu kalwariach, będących przede wszystkim ośrodkami kultu pasywnego, szczególną czcią otaczano wizerunki Matki Bożej.

A co ze świętymi?

Obserwujemy odradzanie się ruchu pielgrzymkowego wokół takich miejsc. Przykładem jest San Giovanni Rotondo we Włoszech, związane z Ojcem Pio. W Polsce istotne jest pielgrzymowanie śladami Jana Pawła II. Jednocześnie zasięg światowy zyskuje kult Miłosierdzia Bożego z centrum w krakowskich Łagiewnikach, kojarzonych z postacią świętej Faustyny. Przybywają tu pielgrzymi z całego świata. Niedawno była tu grupa z Wietnamu.

Jest ważne, czy idziemy na pielgrzymkę pieszo, czy jedziemy autokarem?

Jeżeli bierzemy pod uwagę cel pielgrzymowania, to nie ma większego znaczenia. Mamy pielgrzymki rowerowe, na rolkach, konne, autokarowe. To tylko sposób dotarcia do *sacrum*. Pielgrzymka realizuje się również w drodze, więc istotne jest to, co się tam dzieje. Od lat organizuje się wyjazdy o charakterze pielgrzymkowycieczek, podczas których zwiedza się kilka sanktuariów, jest to oczywiście po-



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. IZABELA SOŁJAN jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, kieruje Pracownią Geografii Religii w Instytucie Geografii i Gospodarki Przestrzennej UJ.

łączone z uczestnictwem w praktykach religijnych, ale równocześnie jest czas na inne aktywności.

Przy pielgrzymkach pieszych jest inne nastawienie, inny trud, inna też forma życia wspólnotowego podczas tych kilku dni. Fenomenem w tym zakresie jest Jasna Góra, gdzie co roku blisko 80 tys. osób przychodzi w pielgrzymkach pieszych, a ich zasięg obejmuje całą Polskę. W najdłuższej pielgrzymce, wychodzącej z Helu, pielgrzymi są w drodze 26 dni. Nie spotkałam się z taką skalą, zwłaszcza w Europie. W kwietniu tego roku Pielgrzymka Warszawska, przychodząca na Jasną Górę nieprzerwanie od 1711 r., została wpisana na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego.

A czy to nie jest tak, że jednak coraz mniej ludzi decyduje się na taką formę spędzenia czasu?

W przypadku największych ośrodków wielkość ruchu utrzymuje się na podobnym poziomie, widoczny spadek obserwujemy jedynie w Lourdes. Na Jasnej Górze, głównym polskim sanktuarium, co roku rejestruje się 3-4 mln pielgrzymów. To mniej niż w latach 90., ale nadal jest to liczba imponująca. Maleje liczba osób, które przybywają w grupach zorganizowanych, ale utrzymuje się liczba grup, tylko te grupy są mniej liczne. Rośnie za to liczba pielgrzymów indywidualnych. Nawet pandemia nie wpłynęła znacząco na wstrzymanie ruchu pielgrzymkowego. Szukano po prostu innych form, pojawiły się pielgrzymki sztafetowe albo pielgrzymowały tylko delegacje. Na przykład pielgrzymka biegowa z Bytowa, zamiast na Jasną Górę, wybiegała w intensjach pielgrzymkowych ponad 5 tys. km u siebie na Kaszubach.

A jaka jest przyszłość pielgrzymek?

Myślę, że pielgrzymki przetrwają, ale zmieniać się mogą zarówno motywacje, jak i forma. Byłam w ubiegłym roku w Maastricht – to jest główne sanktuarium Holandii. Kaplica z cudownym obrazem była pełna ludzi, zapalali świeczki, modlili się. A obok duża bazylika, ludzie zwiedzali ją, natomiast nie zauważyłam nikogo, kto by się tam modlił. Mocny kryzys przechodzi Lourdes. Wcześniej przybywało tam około 5-6 milionów osób rocznie, a teraz tylko 3 miliony! Władze szukają różnych pomysłów, jak ten spadek zatrzymać. Próbuje się połączyć turystykę religijną z atrakcjami, które daje okolica, na przykład turystyką górską, rowerową, promuje się jakieś sporty, które można tam uprawiać. Jednak w wielu ośrodkach pielgrzymowanie jest nadal żywe, pomimo postępującej laicyzacji.

A jakieś ośrodki zyskują?

W San Giovanni Rotondo liczba pielgrzymów stale rośnie. To są liczby rzędu 5-6 milionów rocznie. Ojciec Pio to najbardziej popularny włoski święty. Trzeba jednak sobie zadać pytanie, czy to jest dobre, że mamy coraz więcej pielgrzymów? Bo w przypadku San Giovanni Rotondo mówi się wręcz o utowarowieniu kultu. Pewne granice i normy przynależne strefie świętej zostały tam chyba przekroczone.

Bo jednak pielgrzymki to też biznes, prawda?

Oczywiście! Ośrodki pielgrzymkowe jako miejsca masowej pobożności i kultu zawsze łączyły się z komercją. Cała strefa wokół sanktuarium nastawiona jest na obsługę pielgrzymów. W Lourdes i Fatimie rozwinęły się dzielnice pielgrzymkowe o nastawieniu usługowo-handlowym. Setki hoteli, sklepów z dewocjonaliami i pamiątkami, restauracji i kawiarni, wszystko to przynosi wymierne zyski. Jeszcze na początku XX w. władze sanktuariów nie zezwalały na komercję w samym miejscu świętym, ale to się zmieniło. Teraz w strefach sakralnych lokuje się sklepy z przedmiotami religijnymi, obiekty gastronomiczne. Sanktuarium fatimskie jest właścicielem wynajmowanych handlowcom sklepików, parkingów i domów noclegowych.

WOJCIECH

Bonowicz:

Na dobrej drodze



CZASEM PISZĘ O WIELKICH SPRAWACH społecznych, a czasem o tym, co mam tu, blisko. Prawdę mówiąc, coraz chętniej o tym drugim. Wielkie społeczne problemy biorą się na ogół z tego, że nie potrafimy dojść do ładu z tym, co jest w za-

sięgu ręki. Że bliskość, intymność przeżywamy pośpiesznie, nieuważnie.

Dużo o tym myślałem podczas festynu literackiego, na który zaprosiły mnie Sylwia i Zosia. Festyn nazywał się „Hola, hola, literatura!” – od nazwy wsi, w której odbywała się część spotkań. Hola leży w gminie Stary Brus, w powiecie włodawskim. Turysty zatrzymują się tam, żeby obejrzeć dziewiętnastowieczną cerkiew i położony obok niewielki skansen. Największym wydarzeniem co roku jest prawosławny odpust św. Antoniego Pieczerskiego, organizowany w ostatnią niedzielę lipca. Na łące obok cerkwi i na terenie skansenu rozkładają się wtedy dziesiątki stoisk, na których kupić można niemal wszystko – od wspaniałych dzieł ludowych rzeźbiarzy po kwas chlebowy, włoskie lody i podhalańskie oscypki. Poza tym w Holi niewiele się dzieje.

Dlatego dziewczyny pomyślały o festynie. Cemu festyn, a nie festiwal? Może dlatego, żeby podkreślić odświętny charakter wydarzenia. A może, żeby dać znać, że impreza nie zamierza się ścigać z wielkimi festiwalami. Co innego podczas „Holi, holi...” było ważne. Program był właściwie tylko ramą dla innych przeżyć. Czas zrobił się szeroki, pojemny, było go pod dostatkiem na rozmowy, picie wina w cieniu drzew, zjadanie się drożdżówkami i popcornem. Upał przychodził i odchodził, podobnie deszcz. Dyskusje toczyły się przed drewnianym spichlerzem w Pieszowoli, dokąd dolatywało gdakanie kur, beczenie owiec i kóz. Wiersze czytało się w polu pod wiązem, siedząc na dywanie, po którym spacerowały mrówki, albo wprost na trawie.

Kameralność. Bycie twarzą w twarz. Czytanie nie dla anonimowej widowni, ale dla ludzi, których poznało się z imienia. Przeciągnięcie literatury z powrotem na stronę prywatności. Obcowanie ze słowem bardziej pierwotne, w kręgu, bez pośrednictwa mikrofonów, wśród brzoź samosiejek, z pnem za plecami. Agata Jabłońska przywiozła swojego legendarnego Leśmiana w wyborze Zadury; oprawiła go przed laty w korę brzożową, wykleiła od wewnątrz, coś niecoś mu nadpisała. Czytaliśmy wiersze swoje i cudze, tak jak się śpiewa własne i zasłyszane pieśni.

Trzeba się skrzyknąć, pozbierać – myślałem w Holi. Trzeba tworzyć miejsca, w których będziemy się uczyć przeżywać czas inaczej, z pasją, ale bez wyciągania ręki po coraz to nowe, coraz dalsze, coraz trudniej dostępne. Wszystko, co potrzebne, mamy w pobliżu, obok, przed sobą, w sobie. Jest tyle rzeczy, którymi możemy obdarować się nawzajem, niekoniecznie za wielkie pieniądze. Tylu rzeczy możemy się od siebie nauczyć. Adam, który pracuje jako urzędnik w jednej z agencji, popołudniami naprawia stare, rozpadające się książki. Robi to z miłości, nie dla zysku, nauczył się sam, jak scalić rozpadającą się okładkę, wzmocnić szycie, usztywnić grzbiet. Naprawia „Kuchnie polskie” i „Pany Tadeusze” w przekonaniu, że nie potrzeba nowych wydań, skoro stare wciąż są dobre, wymagają tylko renowacji. Nam, nauczyciel chińskich sztuk walki, uczy z kolei zgody z samym sobą, z własnym ciałem, z własną historią. „Ach, szkoda, że nie byłeś na spotkaniu z Namem”, mówi Ania do córki Mariaszki. „Mistrz powiedział, żeby niczego w życiu nie żałować”. „No to czemu żałujesz, że mnie nie było?”, pyta przytomnie Mariaszka.

No właśnie, trochę żałuję, że was tam nie było, a trochę nie. Gdybyście wszyscy przyjechali, kameralność byłaby niemożliwa. To nie znaczy, że nie zapraszam na przyszły rok. Zapraszam jak najbardziej. Ale trzeba tworzyć podobne wspólnoty także w innych miejscach. Hasło festynu brzmiało: „Na dobrej drodze wszystko po drodze”. Droga spotkania, bliskości, uważności jest drogą najlepszą. I wszędzie możliwą.

Zwłaszcza że ta droga prowadzi nas także ku temu, co poza-ludzkie. Kiedy zebrały się chmury i zaczęło padać, najpierw delikatnie, a potem coraz gwałtowniej, zostało nas pod więzaniem kilka osób i Agata recytowała dla nas swój wiersz (tu przytaczam tylko fragment):

mówi mi: wejdz, gdzie robi się ciemniej. liście są miękkie, jesteś fragmentem

mówi: to nieźle, gdy coś rozmięknie, zleje się zwiędnie. i tak jest największe

mów do mnie częściej, niech czas ugrzęźnie w błocie i mroku, w ścianach wąwozu, w wodzie potoku w tym chropowatym, które masz w środku

i mówi: weź mnie w najwyższe miejsce, pośród gałęzi jestem bezpieczne, niech cię obejdzie, niech cię obejmie, rozpuść napięte, a nowym dniem cię grzeją promienie. ziemia mówi: dzięki że jesteś ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

AKROBACJE Z TALIBAMI

Władze Islamskiego Emiratu Afganistanu powoli
wpuszczane są na dyplomatyczne salony.
Prawa kobiet muszą jeszcze poczekać.

JAGODA GRONDECKA Z ISLAMABADU

W BUDYNKU AMBASADY AFGANISTANU w Islamabadzie wciąż powiewa trójkolorowa flaga z czasów wspieranej przez Zachód Islamskiej Republiki, która 15 sierpnia 2021 roku przeszła do historii. Jednak już w gabinecie, w którym swoich gości przyjmuje 42-letni Sardar Mohammad Szakib, stoi zaknięta biała flaga z wypisaną na czarno szahadą – muzułmańskim wyznaniem wiary. To emblemat Islamskiego Emiratu Afganistanu, jak talibowie nazywają swój rząd.

Inkluzywny talib

W gronie przeszło 2 tys. pracowników afgańskiego MSZ tych o talibskiej proweniencji jest zaledwie stu (kolejny kształca się w Musa Shafiq Diplomatic College, szkole dla dyplomatów podległej ministerstwu). Zdarza się, że rodzi to napięcia – w ambasadzie Afganistanu w Rzymie musiała interweniować policja, gdy wśród dyplomatów doszło do bójki między pro- i antytalibskim stronnictwem. Szakib zapewnia, że w jego placówce, w stolicy Pakistanu, było inaczej.

– Niektórzy mówią, że to talibska placówka, ale nie. To inkluzywna, afgańska ambasada. Przyjechałem tu jako jeden z dwóch wysłanników Islamskiego Emiratu. Nie doświadczyłem żadnych problemów. Od razu rozpoczęliśmy konsultacje i współpracę z prawie 50-osobowym

zespołem, który pracował tu od czasów Republiki.

Deklaruje, że w jego ambasadzie – w sekcji konsularnej – pracują także kobiety, mimo że po przejęciu władzy przez talibów większości Afganek, pracujących dla rządu, zabroniono przychodzenia do biur. Pochodzący z Zabulu dyplomata przejął kontrolę nad ambasadą w październiku 2021. Był pierwszym kierownikiem afgańskiej placówki zagranicznej z nadania talibów, w randze *chargé d'affaires*, nie ambasadora, bo na razie ani Pakistan, ani żadne inne państwo nie uznały oficjalnie talibów za prawowite władze Afganistanu. Ale wysłannik Islamskiego Emiratu twierdzi, że brak uznania dla jego rządu nie jest przeszkodą w sprawowaniu przez niego funkcji.

– Nie czuję się traktowany gorzej czy inaczej. Obowiązuje nas, jako dyplomatów, ten sam protokół, uczestniczymy w tych samych spotkaniach, co inne ambasad. Zdarzało się nawet, że Europejcy dyplomaci odwiedzali mnie w domu lub ja odwiedzałem ich – zapewnia.

Teraz my

15 sierpnia – dzień, w którym afgański prezydent Aszraf Ghani opuścił kraj, a bojownicy wkroczyli do Arg, jego pałacu – został ustanowiony przez talibów świętem państwowym. Świat z przestraszeniem przyglądał się wówczas,



jak po wiosenno-letnim *blitzkriegu*, gdy przejmowali jedną prowincję za drugą, stanęli u bram Kabulu. Wielu porównywało dramatyczne sceny z tamtych dni do Sajgonu, skąd przeszło pół wieku wcześniej, w podobnym chaosie, wycofywały się siły USA. Nad amerykańską ambasadą widać było dym z pospiesznie palonych dokumentów, a między placówką a lotniskiem całymi dniami kursowały ewakuujące dyplomatów helikoptery.

Zmiana na poziomie symbolicznym dokonała się błyskawicznie – w jednym z pierwszych dni po upadku Republiki obserwowałam przez okno mojego



ORIANE ZERAH / ABACA / PAP

Talibowie i zwolennicy ich rządów świętują drugą rocznicę przejścia władzy w Afganistanie, Kabul, 15 sierpnia 2023 r.

mieszkania, jak z masztu na wzgórzu Wazir Akbar Chana ściągana jest trójkolorowa flaga. „Teraz my” – zdawali się mówić światu talibowie.

Nowi starzy władcy Afganistanu od początku podkreślali, że relacje ze społecznością międzynarodową są istotną częścią ich rządów. „Chcemy dobrych relacji, dobrej gospodarki, dobrego handlu, dobrej dyplomacji” – mówił Zabihullah Mudżahid, główny rzecznik grupy, na pierwszej konferencji prasowej w Kabulu.

– Trzeba pamiętać, że talibowie nie są taką grupą jak Hamas czy Al-Kaida, która odrzuca istniejący porządek międzynarodowy i nie ma planów polityki zagra-

nicznej – podkreśla Bette Dam, dziennikarka i autorka książki „Looking for the Enemy. Mullah Omar and the Unknown Taliban”, w której opisuje m.in. starania pierwszego rządu talibów o reprezentowanie Afganistanu w ONZ.

Choć talibowie rządzą już od trzech lat, społeczność międzynarodowa, jak i sami Afgańczycy, są wciąż podzieleni co do tego, czy i jak powinno się z nimi rozmawiać. Coraz częściej jednak słychać, że nie da się dłużej ignorować rzeczywistości. Według Zabihullaha Mudżahida wiele państw rozważa uznanie Islamskiego Emiratu Afganistanu, ale „największą przeszkodą są Stany Zjednoczone”.

Problem nie tylko kobiet

– Talibowie naciskają na „oficjalne” uznanie ich rządu, ale zapominają, że nie istnieje żaden pojedynczy autorytet, który mógłby o tym decydować. Powtarzałem to talibskim oficjelowi wielokrotnie: legitymację zyskuje się krok po kroku. To stopniowy proces – przypomina Graeme Smith, starszy analityk ds. Afganistanu w International Crisis Group.

Tak się zresztą dzieje: wrócił cywilny ruch lotniczy, do Afganistanu docierają niektóre przekazy pieniężne, reżim spłaca długi i rachunki za elektryczność (większość energii elektrycznej pochodzi z importu).

→ „Władze de facto”, jak o rządzie talibów mówi ONZ, nie ułatwiają społeczności międzynarodowej zacieśnienia współpracy. Stanowisko największych darczyńców od początku było jasne: jakiegokolwiek kroki zmierzające do uznania rządu talibów zależą od sytuacji praw człowieka, w szczególności praw kobiet.

W ciągu niespełna trzech lat Islamski Emirat wydał ponad 80 edyktów, które je drastycznie ograniczyły. Zamknięto szkoły dla dziewcząt powyżej 6. klasy szkoły podstawowej – niby tymczasowo, ale do dziś większość nastoletnich Afganek nie wróciła do szkolnych ławek. Kobiety nie mogą też studiować (z niewielkimi wyjątkami, np. położnictwa), pracować w wielu sektorach, podróżować powyżej 72 km bez tzw. męskiego opiekuna. Nakazano zamknięcie salonów piękności, zwykle prowadzonych przez panie i zatrudniających żeński personel. Dla kobiet niedostępne są też miejsca rozrywki i parki, w tym najsłynniejszy afgański park narodowy Band-e Amir w prowincji Bamiyan.

Nawet sami talibowie nie do końca zgadzają się z tą polityką, zwłaszcza z zakazem edukacji. Kierunek wyznacza jednak emir Hajbatullah Achunzada, który – w przeciwieństwie do większości swojej administracji – urzęduje nie w stolicy, a Kandaharze, talibskim mateczniku na południu kraju. Eksperci uważają, że to jego przekonania (i konserwatywny krąg doradców, który go otacza) uniemożliwiają liberalizację praw kobiet.

Dyplomata Szakib sugeruje, że uznanie jego rządu oznaczałoby również możliwość wywierania nań większego wpływu.

– Społeczność międzynarodowa ma swoje obiekcje, między innymi w kwestii edukacji kobiet, wyborów, bezpieczeństwa i terroryzmu – wymienia. – Chciałbym, żeby uznano nasz rząd i żeby znalazł się on po dobrej stronie, jeśli chodzi o edukację czy pomoc społeczności międzynarodowej. Zaangażowanie rodzi zaangażowanie.

Rządy talibów są krytykowane,

ale jednocześnie wielu Afgańczyków przyznaje, że to pierwszy okres w ich życiu bez wdzierającej się w nie wojny.

Uczucia przegranych

Taka idea zdawała się przyświecać organizatorom spotkania nt. zaangażowania w Afganistanie, które odbyło się w Dosze na przełomie czerwca i lipca, pod egidą ONZ. Choć było już trzecim z serii, to po raz pierwszy uczestniczyli w nim przedstawiciele talibów. W maju 2023 roku nie otrzymali zaproszenia, a w lutym 2024 odmówili wzięcia udziału ze względu na planowaną obecność kobiet i aktywistów.

Teraz też nie obyło się bez kontrowersji. Niektóre państwa nie chciały potwierdzić swojej obecności bez gwarancji, że podczas dyskusji zostaną poruszone także kwestie praw człowieka, w tym kobiet. Kanada, Francja, Niemcy, Włochy, Japonia, Norwegia, Republika Korei, Szwajcaria, Turcja, Wielka Brytania, USA i UE poskarżyły się Departamentowi ds. Politycznych i Budowania Pokoju, że w agendzie spotkania nie uwzględniono innych afgańskich głosów.

Graeme Smith nie uważa, by ich postulaty były przekonujące:

– Chcieli, aby w spotkaniu brali udział Afgańczycy nie będący talibami. Nie wytłumaczyli jednak, kto to powinien być, ani dlaczego. W liście napisali, że „wnoszą o ich zaangażowanie w Dosze, by także czuli się prawowici i docenieni”. W międzynarodowej dyplomacji uczucia strony pokonanej w wojnie domowej nie są brane pod uwagę, a na pewno nie są głównym czynnikiem. Mam wątpliwości, czy zaproszenie przypadkowych członków afgańskiego społeczeństwa przyniosłoby pożądane rezultaty – komentuje analityk. – A negocjacje na temat formatu i przedmiotu rozmów są normalną częścią dyplomacji.

Przychylono się więc do żądań władz Islamskiego Emiratu i agendę spotkania ograniczono do dwóch tematów: polityki antynarkotykowej oraz wspar-

cia dla afgańskiego sektora prywatnego. Państwa-strony mogły jednak podnieść także inne, dowolnie wybrane kwestie, zapewniała Rosemary DiCarlo, zastępczyni sekretarza generalnego ONZ, dodając, że należały do nich także prawa kobiet.

DiCarlo broniła też kontrowersyjnej decyzji, by kobiety nie uczestniczyły w oficjalnej części rozmów: „Chcę podkreślić – to jest proces. Otrzymujemy mnóstwo krytyki: »Czemu nie ma afgańskich kobiet? Czemu przy stole w ogóle nie ma kobiet? Czemu nie ma społeczeństwa obywatelskiego?«. Mam nadzieję, że pewnego dnia do tego dojdziemy, ale jeszcze nie teraz”.

Listek figowy

Tomas Niklasson, specjalny wysłannik Unii Europejskiej ds. Afganistanu, ocenił, że spotkanie w Dosze „warte było” ustępstw wobec talibów. „Sądzę, że to były dobre rozmowy” – powiedział w rozmowie z AFP. Dodał, że podczas dyskusji na temat sektora prywatnego znaleziono „wiele punktów wspólnych”. „Czy to usatysfakcjonuje dziewczynkę, która od ponad 1000 dni siedzi w domu, bez odpowiedniej szkoły? Pewnie nie. Ale moje realistyczne oczekiwania wobec tego spotkania nie zakładały, że naprawimy wszystko w trzy dni” – komentował dyplomata.

Także Suhail Szahin, kierownik biura politycznego talibów w Dosze, uznał spotkanie za udane.

– Był to krok we właściwym kierunku – powiedział mi w rozmowie telefonicznej. – Jakiegokolwiek problemy po naszej czy ich (społeczności międzynarodowej – przyp. aut.) stronie możemy rozwiązać tylko przez zaangażowanie i owoce dyskusje.

By nie wykluczać całkowicie przedstawicieli i przedstawielek afgańskiego społeczeństwa obywatelskiego, 2 lipca zorganizowano dla nich dodatkowy dzień rozmów – nieoficjalnych – z wysłannikami różnych państw. Niektórzy spośród zaproszonych aktywistów zbojkotowali go, uznając za listek figowy.

Udział w rozmowach wzięła Madina Mahbubi, mieszkająca w Kabulu aktywistka na rzecz praw człowieka i prezeska NGO, działającego na rzecz rozwoju gospodarczego i edukacji dziewcząt.



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



BILAL GULER / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Prywatna szkoła dla afgańskich dziewcząt w wieku gimnazjalnym i licealnym oraz niepiśmiennych kobiet, prowadzona przez wolontariuszki w Kabulu, październik 2022 r.

– Zdecydowałam, że chcę być częścią tego procesu i decyzji, które zapadają na temat przyszłości Afganistanu i Afgańczyków. Uczestniczenie w rozmowach, bezpośrednio czy też nie, jest lepsze od pozostawania na zewnątrz i ciągłego krytykowania wszystkich złych decyzji – uważa.

Aktywistka przyznaje, że bycie przedstawicielką społeczeństwa obywatelskiego pod rządami talibów to istna sztuka akrobacji i wykorzystywania biurokratycznej szarej strefy.

– Kobieta nie może oficjalnie stać na czele organizacji ani należeć do zarządu, bo nie moglibyśmy uczestniczyć w spotkaniach z przedstawicielami władz. Na papierze te funkcje pełnią więc mężczyźni i to oni chodzą do talibskich ministerstw, by dopełniać niezbędnych formalności – tłumaczy.

Zdaniem Mahbubi wiele kluczowych dla Afgańczyków kwestii, jak choćby edukacja dziewcząt, zostało upolitycznionych przez społeczność międzynarodową, ze szkodą dla żyjących pod władzą talibów Afgańczyków.

– Grupa ludzi poza krajem promuje narrację o płciowym apartheidzie i chce, by oficjalnie uznać Afganistan za państwo, w którym on funkcjonuje. Ale ja, jako kobieta i Afganka, tego nie chcę. Uznanie kraju za państwo apartheidu ma swoje konsekwencje: oznacza izolację na arenie międzynarodowej, brak pomocy rozwojowej – wylicza. – My chcemy promować dialog i rozwiązywanie pokojowe, które przyczynią się do poprawy życia Afgańczyków. Nie izolację.

Dyplomatyczny kontratak

Po spotkaniu w Dosze talibska ofensywa dyplomatyczna nie traci rozpędu. 30 lipca MSZ w Kabulu wydało oficjalne oświadczenie, że kraj nie będzie dłużej honorował dokumentów ani wiz wydanych przez te afgańskie ambasady w Europie, które nie współpracują z ministerstwem. Należy do nich również placówka w Warszawie, która od dawna znajduje się z tego powodu w trudnym położeniu finansowym. Tahir Qadiry, ambasador, przyznaje, że z trudem udaje im się utrzymać. Sytuacja zmusiła go między innymi do redukcji etatów.

– Obecnie w ambasadzie pracuje tylko dwoje dyplomatów i ja. Nie jesteśmy w stanie opłacić rachunków za prąd czy ogrzewanie.

W podobnej sytuacji znalazła się większość afgańskich placówek na Zachodzie, które funkcjonują dzięki opłatom za usługi konsularne. Nowy edykt sprawił, że tysiące afgańskich obywateli mieszkających w Europie znalazło się w prawnym i dyplomatycznym limbie. Niektóre placówki, jak ambasada w Londynie, już zapowiedziały, że nie przestaną wydawać dokumentów, jednak jeśli paszporty czy tazyki (afgański dowód osobisty) nie będą uznawane w samym Afganistanie, staną się bezwartościowe. Prawo do ich wystawiania zachowują jedynie ambasady w Czechach, Bułgarii, Hiszpanii i Niemczech, ale podróż do nich dla wielu Afgańczyków będzie trudna ekonomicznie i logistycznie, a w przypadku osób, które wciąż nie mają dokumentów stałego pobytu – po prostu niemożliwa.

Długa droga

Zdaniem większości ekspertów dla grup takich, jak talibowie – a więc zbrojnych ugrupowań partyzanckich, które przejmują rząd w swoim państwie – okres trzech lat jest sprawdzianem trwałości: w tym czasie albo ulegają wewnętrznemu rozkładowi, albo udaje im się scentralizować i umocnić władzę.

Afganistan rządzony przez talibów spełnia kryteria państwowości, choć mierzy się z wieloma wyzwaniami (z których część jest niewątpliwie spadkiem dwudziestoletniej okupacji). Opinia na temat talibskich rządów dzieli samych Afgańczyków, wiele decyzji jest krytykowanych, ale jednocześnie wielu mieszkańców kraju przyznaje, że to pierwszy okres w życiu bez wdzierającej się w nie wojny.

Obaidullah Baheer, który na Uniwersytecie Amerykańskim w Kabulu prowadzi zajęcia m.in. ze sprawiedliwości okresu przejściowego, uważa, że talibowie powinni stworzyć przestrzeń dla wewnątrzafgańskiego dialogu, a społeczność międzynarodowa – pomóc im w tym, a przynajmniej nie przeszkadzać.

Chwali też spotkanie w Dosze jako dobry punkt wyjścia:

– Mijemy nadzieję, że pozwoli stworzyć platformę, która zachęci talibów do zmiany polityki wewnętrznej i zdobycia legitymizacji dla ich władzy.

Graeme Smith jest sceptyczny co do tego, czy dzięki ściślejszym kontaktom dyplomatycznym „talibowie staną się mniej talibami”. Zdaniem eksperta będziemy raczej obserwować ich współpracę ze światem w konkretnych obszarach – tam, gdzie udowodnią, że są wiarygodnymi partnerami.

– To prawdopodobnie oznacza, że wszystkie państwa regionu, nawet sceptyczne, jak Tadżykistan, zaczną znajdować sposoby, by robić biznes z talibami, a nawet pozwalać talibskim dyplomatom przyjeżdżać do swoich stolic, co już obserwujemy – ocenia. – Ale do tego, by Afganistan był traktowany jak „normalne” państwo, jeszcze długa droga.

© JAGODA GRONDECKA

Autorka jest iranistką i dziennikarką, zdobywczynią wielu nagród za reportaże z Afganistanu, gdzie mieszkała i pracowała w latach 2020-2023 r.

Celowane zabójstwo

AGNIESZKA BRYC

Na Bliskim Wschodzie kolejny raz wzrasta napięcie: po izraelskich zamachach na liderów Hamasu i Hezbollahu świat obawia się wybuchu wojny regionalnej.

DWA ZAMACHY W ODSŁĘPIE NISPEŁNA siedmiu godzin – pierwszy 30 lipca wieczorem w Bejrucie na Fuada Szukrę, uważanego za szefa sztabu wojskowego Hezbollahu, a drugi już w nocy na Ismaila Hanijję, lidera skrzydła politycznego Hamasu, pchają Bliski Wschód w kierunku niekontrolowanej eskalacji. Są częścią kolejnej wymiany ciosów między Izraelem i Iranem, a konkretnie – odpowiedzią na atak rakietowy Hezbollahu z 27 lipca, w którym zginęło dwanaścioro dzieci, bawiących się na boisku w Majdal Szams na Wzgórzach Golan. Trzy dni później Gabinet Bezpieczeństwa Izraela upoważnił władze do podjęcia wszelkich działań odwetowych, jakie uznają za stosowne.

Brawurowy atak

Zdecydowano się na tzw. *targeted killing*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza celowane, precyzyjne zabójstwo z minimalną liczbą postronnych ofiar. Służby izraelskie sięgają po nie, ilekroć chcą wyeliminować najważniejszych wrogów. W ten sposób ginęli np. naukowcy zaangażowani w rozwój irańskiego programu jądrowego (w 2020 r.) czy założyciel i duchowy przywódca Hamasu, szajk Jassin (w 2004 r.), trafiony izraelską rakieta wystrzeloną ze śmigłowca, gdy wychodził z meczetu w Gazie. W podobny sposób pozbyto się Fuada Szukry – został trafiony pociskiem manewrującym w dzielnicy Dahijeh w Bejrucie, bastionie Hezbollahu. Miejsce zamachu jest tu kluczowe.

Jeszcze bardziej brawurowy okazał się atak w Teheranie. Tutaj agenci Mossadu przeprowadzili zamach w obiekcie należącym do Korpusu Strażników Rewolu-



Uroczystości pogrzebowe Ismaila Hanijji, przywódcy Hamasu, Teheran, 1 sierpnia 2024 r.

cji. Neshat to kompleks położony w zamoznej dzielnicy na północy Teheranu, gdzie irańskie służby organizują tajne narady i goszczą ważnych dygnitarzy, jak Ismail Hanijja. „The New York Times” donosi, że ładunek wybuchowy został przeemycony tam już dwa miesiące wcześniej. Agenci Mossadu zdetonowali go zdalnie, po otrzymaniu potwierdzenia, że Hanijja przebywa w gościnnym apartamencie. Eksplozja uszkodziła część budynku, lecz nie sąsiedni pokój, w którym gościł przywódca Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu, Ziad Nakhaleh.

Trzy opcje

Izraelczycy zdecydowali się na operację w Teheranie „z premedytacją”, o czym pisze dziennik „Jerusalem Post”, powołując się na źródła w tamtejszych służbach. Świadomi, że nie zostawiają Iranowi innego wyboru, anizeli odwet. Teheran z kolei wie, że ten odwet powinien być bolesny, obnażający słabość Izraela,

ale jednocześnie niepozwalający premierowi Netanjahu na eskalowanie wymiany ognia na granicy z Libanem do poziomu wojny regionalnej. Tej Teheran za wszelką cenę unika, ponieważ oznaczałaby przeniesienie działań wojennych na jego terytorium. A nie po to inwestował w system *proxy*, czyli ramię zbrojne w postaci libańskiego Hezbollahu, jemeńskich Hutich, szyickich milicji w Iraku czy – do pewnego stopnia – Hamasu w Gazie, by ryzykować otwartą wojnę z Izraelem.

Teheran ma niewątpliwie kilka opcji. Po pierwsze, przeprowadzić zmasowany atak rakietowy na podobieństwo tego, jakiego dokonał w nocy 14 kwietnia. Wystrzelił wówczas w kierunku Izraela setki rakiet i dronów w odpowiedzi na śmierć oficerów Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) podczas izraelskiego ataku na Damaszek. Operacja wyglądała spektakularnie, lecz ostatecznie nie spowodowała ofiar śmiertelnych, nie dała więc pretekstu do odwetu.

Po drugie, może zachęcić do ataku rakietowego swoich *proxy*. 1 sierpnia przywódca Hezbollahu, Hassan Nasrallah, zapowiedział, że Izrael „przekroczył czerwoną linię”, musi się więc spodziewać „wściekłości i zemsty na wszystkich frontach wspierających Gazę”.

Trzecią możliwością jest zamach na izraelskich sportowców biorących udział w Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu. Takiego scenariusza władze Izraela spodziewały się już wcześniej – sportowcy polecieli więc do Francji ze wzmocnioną ochroną Szin Bet, którą na miejscu wspierają koledzy z francuskich służb. Na razie zagrożenie sprowadza się do cyberataków oraz e-maili i telefonów z zaproszeniami na własne pogrzeby czy „obietnicy kolejnego Monachium”. Tytułem przypomnienia – w 1972 r. członkowie palestyńskiego Czarnego Września zaatakowali izraelskich sportowców podczas igrzysk w Niemczech, zabijając 11 z nich.

Dyplomatyczna gorączka

Oczywiście najbardziej niebezpieczny scenariusz to wymknięcie się sytuacji spod kontroli i wciągnięcie Amerykanów do wojny. 1 sierpnia Joe Biden rozmawiał o tym telefonicznie z Beniaminem Netanjahu. Biały Dom poinformował, że obaj przywódcy omawiali działania mające obronić Izrael przed atakiem Iranu i jego sojuszników. Głównie chodzi o atak rakietami balistycznymi i dronami, którego – jak donosił CNN – Pentagon spodziewał się wówczas w ciągu najbliższych 72 godzin, zbliżony pod względem siły rażenia do ataku kwietniowego. Z tą różnicą, że tym razem mógłby do niego przyłączyć się także Hezbollah, który wiosną powstrzymał się od zmasowanego ostrzału. Waszyngton obawiał się również, że tym razem trudniej będzie zebrać szeroką koalicję do odparcia irańskiego uderzenia. Wtedy sprawa była prostsza, bo Izrael wyeliminował irańskiego generała, a nie szefa palestyńskiej frakcji. Udało się więc nakłonić do wspólnej akcji m.in. Jordanię i Arabię Saudyjską.

Napięcie rośnie z godziny na godzinę, o czym świadczą intensywne konsultacje wszystkich ze wszystkimi. P.o. ministra spraw zagranicznych Iranu, Ali Bagheri Kani, w rozmowie z szefem rosyjskiej dyplomacji Siergiejem Ławrowem, stwierdził, że Izrael „przekroczył czerwoną linię” i Teheran skorzysta z prawa

do obrony. Z kolei Rosjanie poinformowali, że 7 sierpnia odbędzie się nadzwyczajne spotkanie Rady Bezpieczeństwa w tej sprawie. Wystąpił o nie Iran, z poparciem Rosji, Chin i Algierii. Liban, który w tej sytuacji traci najwięcej, zabiega w Waszyngtonie, Paryżu i stolicach krajów arabskich o deeskalację konfliktu. A dyplomacja europejska naciska na Teheran, by ograniczył się wyłącznie do akcji symbolicznej.

Dobry i zły negocjator

Nie tylko Liban będzie ofiarą tej eskalacji. Także izraelscy zakładnicy w Gazie. „Izrael postanowił zniweczyć całą pracę, jaką wykonał Egipt, Katar i Stany Zjednoczone, by doprowadzić do porozumienia, zawieszenia broni, uwolnienia zakładników i więźniów” – oświadczył na konferencji prasowej szef jordańskiej dyplomacji, Ayman Safadi. Zamordowany Ismail Haniija negocjował umowę w sprawie wymiany zakładników. „Jak to jest, do cholery, że kraj, który chce zawrzeć umowę, zabija głównego negocjatora?” – pytał królewski dyplomata.

Odpowiedź sugeruje dziennik „Haaretz”, informując, że rola Haniiji w procesie rokowań była ograniczona, co okazało się już w pierwszych miesiącach negocjacji. Kluczową postacią stał się Yahya Sinwar, przywódca Hamasu w Gazie. Izraelczycy, za pośrednictwem Amerykanów i Katarczyków, zdecydowali się wyrzucić na niego presję groźbami wydalenia z Kataru emigracyjnych przywódców Hamasu. Szybko okazało się – pisze „Haaretz” – że nie zrobiło to na Sinwarze wrażenia. Co gorsza, w marcu doszło do ostrego sporu między oboma przywódcami Hamasu w kwestii zawieszenia broni. Haniija zażądał, by Sinwar zgodził się na sześciotygodniowy rozejm, podczas gdy przywódca z Gazy nalegał na całkowite zakończenie wojny. Teraz więc przy stole negocyjnym pozostał tylko Sinwar – z czego płynie ostrożny optymizm co do kontynuowania rozmów. Choć pesymiści przypominają, że w parze Sinwar–Haniija to jednak ten ostatni uważany był za pragmatyka.

Twarz premiera

Obrazu dopełnia Benjamin Netanjahu, który przez ostatnie pół roku, bo tyle trwają negocjacje w sprawie wymiany zakładników, nie pomagał, a wręcz je

udaremniał. Premier Izraela bał się, że za sprawą zakładników wróci na agendę kwestia przyszłości Gazy i państwa palestyńskiego. A to jest nieakceptowalne dla jego koalicjantów, czyli prawicowych ekstremistów z koalicji Religijnych Syjonistów, którzy grożą obaleniem rządu, jeśli „Bibi” zgodzi się na porozumienie z terrorystami. Oznaczałoby to przyspieszone wybory, a tych Netanjahu najprawdopodobniej by nie wygrał. Według sondażu Kanału 12 z połowy lipca br. 72 proc. Izraelczyków uważa, że powinien ustąpić, bo odpowiada za katastrofę 7 października.

Jedynym wyjściem, jakie ma Netanjahu, jest gra na czas i przeciąganie wojny, nawet kosztem życia zakładników, krytyki Izraela na arenie międzynarodowej czy otwierania kolejnych frontów – by odczarować wizerunek odpowiedzialnego za katastrofę 7 października i wyjść na zwycięzcę w wojnie z terroryzmem i Iranem. ©

Tekst ukończono 2 sierpnia.

Autorka jest adiunktką na Wydziale Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i przewodniczącą Rady Ośrodka Studiów Wschodnich. Specjalizuje się w problematyce polityki współczesnej Rosji i Izraela.

OGŁOSZENIE



LUBLIN: Wymykamy się schematom, oddajemy głos autorytetom i niezmiennie realizujemy misję „Tygodnika Powszechnego”.
Czekamy na Ciebie w Klubie „Tygodnika Powszechnego” w Lublinie!

 Koordynatorka
Elżbieta Matyaszevska
lublin@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP”
na klubtygodnika.pl



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA



Prezydent Wołodymyr Zełenski w bazie F-16 w Melsbroek, Belgia, 28 maj 2024. r.

Nadlatują Sokoły

ANTONINA PALARCZYK
Z OBWODU DONIECKIEGO

Ukraina do końca roku ma dostać 20 wielozadaniowych myśliwców F-16. Rosyjscy piloci mogą się bać.

NIE PROSIMY O WIELE. POTRZEBUJEMY tylko pocisków artyleryjskich i lotnictwa. Resztę zrobimy sami”. Wysprejowane po angielsku słowa w kilku miejscach obwodu donieckiego, gdzie trwają najcięższe walki, były błagalną prośbą ukraińskich żołnierzy skierowaną do Zachodu. Nie wytrzymały próby czasu. Budynki z napisami w Cziasiw Jarze lub Konstantynówce systematycznie zamieniane są w stertę gruzu za pomocą rosyjskich bomb lotniczych. Ich destrukcyjny wpływ, wprowadzający nowe zasady na polu walki, może zostać zminimalizowany przez pojawienie się po ukraińskiej stronie samolotów F-16 Falcon (sokół), dostarczonych przez Zachód.

To jedna z najbardziej oczekiwanych dostaw od początku pełnoskalowej rosyjskiej inwazji. Jak podała agencja Bloomberg, liczba samolotów, które 31 lipca trafiły na Ukrainę, na razie „jest niewielka”, ale do końca roku, zgodnie z deklaracją sformułowaną na szczycie NATO, ukraińskie wojsko ma dostać 20 wielozadaniowych myśliwców F-16.

Mają pochodzić z Holandii, Danii, Belgii i Norwegii.

NISZCZYCIELSKA SIŁA | Zaczęło się od kierowanej bomby lotniczej KAB 250. To 250 kg trotylu zmieszanego z heksogenem i odłamkami. To ulepszona, wyposażona we własny napęd i nawigację, sowiecka bomba FAB (*fugazno-awiacjon-naja*), zwana „głupia”. Hamzat, służący obecnie w Batalionie Szejka Mansura po stronie ukraińskiej, weteran wojen czecheńskich, wspomina je z końca lat 90. Wówczas za pomocą m.in. FAB-ów Rosjanie obracali w gruz miasto Grozny. Radzieckie wojska używały tego typu ładunków już w latach 40. XX wieku. Znajomi żołnierze dokładnie wskazują za to miejsce i czas, kiedy jedno z poważniejszych zagrożeń zaczęły stanowić KAB-y – to Awdijiwka na początku 2023 r.

W 2023 r. takie bomby lotnicze zagrażały zazwyczaj typowym przyfrontowym miastom w obwodzie zaporoskim. Były zrzucone przez rosyjskie bombowce taktyczne. Ich zasięg i masa ładunku stale ewoluowały. 29 kwietnia 2024 r. dwa KAB-y o masie kilku ton spadły na Charków. W porównaniu z nimi pierwsza wersja, czyli KAB 250, sprawia wrażenie „niewiniątka”. Spuszczone zostały z terytorium Rosji, ponad 30 km od miasta. Od tego czasu, wyznaczającego przełom w konflikcie zbrojnym, KAB-y stały się kolejnym punktem na długiej liście zagrożeń, spędzających sen z powiek mieszkańcom nie tylko Charkowa, ale też innych dużych miast, jak choćby Mikołajów czy Zaporże.

NAJWIĘKSZE ZAGROŻENIE | Przez ukraińskich żołnierzy KAB-y są wymieniane jednym tchem z uderzeniowymi dronami

FPV. To największa plaga tej wojny. Przed dronami kamikadze, wykorzystywanymi przez Rosjan na większą skalę, niż może sobie pozwolić strona ukraińska, trudno uciec. Zwłaszcza że rozwijają znacznie większą prędkość niż biegnący przez okop człowiek czy nawet rozpędzony samochód. Ale istnieją skuteczne sposoby ich unieszkodliwiania, jak umieszczony w ziemiance lub na samochodzie REB (z rosyjskiego *radioelektronnaja borba* – walka radioelektroniczna), czyli wykorzystująca emisję elektromagnetyczną zagłuszarka sygnału, przerywająca łączność między dronem i jego operatorem.

Przed KAB-em nie można się uchronić. Lecącej bomby nie da się zestrzelić, przynajmniej nie siłami, jakimi dysponuje armia. Można schować się w piwnicy, usłyszawszy zawczasu jego upiorny świst, ale w przypadku kilkutonowego ładunku nawet to może nie pomóc.

SIŁY SIĘ WYRÓWNAJĄ | To stało się jedną z najbardziej charakterystycznych cech pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Klasyczną ofensywę Rosjanie zaczęli zastępować ścieraniem z powierzchni ziemi ukraińskich pozycji i całych miast leżących na kierunku natarcia. W dniach poprzedzających zajęcie przez Rosjan Awdijiwki i chaotyczny ukraiński odwrót na pozycje (należące do najsolidniejszych, bo stawiających Rosjanom czoła jeszcze od 2014 r., jak słynny „Zenit”) na atakowany region spadało po kilkadziesiąt KAB-ów na dobę, znacząc ziemię charakterystycznymi lejami. Ukraińska strona nie dysponowała siłami zdolnymi strącać samoloty Su-35, które przenoszą bomby.

Dwa dni przed przełomowym, jak się okazało, 31 lipca rozmawiałam o sytuacji z kilkoma znajomymi żołnierzami. Kręcili nosami, twierdząc, że obietnice na temat F-16 słyszą regularnie od roku.

Dostawa pierwszych F-16 nie została jeszcze oficjalnie potwierdzona ani przez Wołodymyra Zełenskigo, ani gen. Ołeksandra Syrskiego, głównego dowódcę armii. Choć zdjęcie nieba nad Lwowem, z widoczną sylwetką rzekomo F-16, już obiegło media społecznościowe. ©

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.



ARCHIWUM PRYWATNE RUBENA DARIO

Prom „Marco Polo” kapitana Rubena Darío na rzece Orteguaza w departamencie Caquetá, Kolumbia, lipiec 2022 r.

Kapitan na czas pokoju

EWA KLEWAR Z KOLUMBII

Marco Polo, włoski handlarz, podróżnik i gawędziarz, w podróż swojego życia wyruszył z Wenecji. Podobnie jak Ruben Darío – także doskonały rozmówca i sołtys wsi Wenecja w departamencie Caquetá, w południowej Kolumbii.

ZANIM ROZPOCZĄŁ SVOJĄ ŻEGLUGĘ, w pierwszych latach XXI wieku jako sołtys pilnował porządku w swojej amazońskiej wsi, noszącej nobliwą nazwę Wenecja: łagodził spory między sąsiadami, doglądał, by lokale z tanim piwem i anyżkową wódką zamykano o przepisowych porach, przywracał do pionu pijanych mężczyzn, chwiejnym krokiem wracających nocą do domu.

Niby prosta sprawa. Ale w tamtych latach w Kolumbii wszystko się komplikowało. Kraj był ogarnięty coraz bardziej brutalną wojną z partyzantami z lewicowych Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii (FARC). Powstała w latach 60. XX wieku, kolumbijska guerilla inspirowała się kubańską rewolucją, niosła na sztandarach hasło sprawiedliwości społecznej i postulat reformy rolnej.

Oglądacz zwłok

Tutaj, w departamencie Caquetá (jego stolica nosi wdzięczną nazwę: Florencia), ten domowy konflikt przybrał szczególnie okrutny charakter. Wciągał niemal każdego: od lokalnych władz aż po piekarza (który musiał decydować, komu sprzedać chleb) czy kierowcę taksówki. Każda codzienna decyzja mogła stać się polityczną. Mogła uwikłać człowieka w wojnę.

Nie uniknął tego również Ruben Darío. Wkrótce po tym, jak objął stanowisko sołtysa Wenecji, do jego obowiązków doszły oględziny zwłok. Na początku XXI wieku prokuratura nie miała wstępu do peryferyjnych części departamentu, kontrolowanych przez partyzantów. Funkcjonariusze nie chcieli ryzykować, a ktoś musiał przecieć zając się zmarłymi. W oględzinach zwłok przeszkolono więc Rubena Darío.

Być może po to, aby oderwać się od ponurej rzeczywistości, Ruben Darío uciekał w marzenia. Myślał o swoim ojczystym regionie, wilgotnym i gorącym, pokreślonym rzekami, o intensywnym zieleni tropików. Poza naturalnym pięknem, pochłonięte wojną tereny nie oferowały wiele mieszkającym tu ludziom.

Model z kartonu

Ruben Darío uznał, że miejscowi zasługują na coś lepszego, i że on może im to dać.

I tak wymarzył mu się pomysł: niedzielny rejs. Turystyczny, dla relaksu, ze wspólnym posiłkiem na nadbrzeżnej plaży.

Najpierw z kartonowego pudła skleił model stateczku. Poszedł z tym do kolegów, żeby zaproponować im inwestycję. Jak ich przekonał do tego, że zmieni kartonowy prom w rzeczywistość, i że będzie nim pływał po rzece? Tej samej, z której osobiście wyłowił osiemnaście ciał? Gdy pytam, tylko się uśmiecha.

W każdym razie finał był taki, że we trzech zebrali 30 mln kolumbijskich pesos (równowartość ok. 29 tys. zł). Za tę sumę Ruben Darío sprowadził ze stolicy Bogoty potrzebne materiały. Metalowe płyty połączył znajomy spawacz.

Wkrótce potem prom, ochrzczony „Marco Polo” – na cześć Włocha, z którym Ruben Darío czuje szczególną więź →

→ – był gotowy, aby wyruszyć w swój pierwszy rejs.

Zupa w programie

Jednak potencjalni turyści – mówiąc językiem biznesu: grupa docelowa Rubena Darío – nie byli przekonani. Ludzie zwyczajnie bali się oddalać od domu nawet o kilka ulic. A co dopiero zapuszczać się rzeką Orteguaza przez dżunglę, w której mogą ukrywać się partyzanci.

„Nikt tu nie będzie uprawiać turystyki” – mówili Rubenowi Darío, świeżo upieczonemu kapitanowi, jego pierwsi klienci podczas pierwszych niedzielnych rejsów. Wzięli w nich udział tylko dlatego, że były darmowe.

Kapitan Darío nie słuchał. Obecnie twierdzi, że to z powodu niewiedzy na temat turystyki. Gdyby się na niej znał, od strony teoretycznej, nigdy by się na ten szalony pomysł nie porwał.

Na każdy rejs przygotowywał garę najlepszej zupy. Wspólny posiłek od początku był częścią programu – i tak zostało do dziś.

Na początku zdarzało się, że wszystko było gotowe, a tu nagle region obiegała kolejna tragiczna wiadomość. Wybuch bomby przed komendą policji. Morderstwo taksówkarza, który zgodził się na nieodpowiedni kurs. Partyzanci FARC przejmują pobliskie miasteczko.

W takich chwilach mieszkańcy chowali się w domach, czekając na rozwój wydarzeń; przez kilka dni woleli się nie wychylać. W takie niedziele nikt nie pojawiał się w porcie. Rodzina Rubena Darío do środy dojadła zupę.

Departament na peryferiach

W czasach, gdy prom „Marco Polo” ruszał w swoje pierwsze, pozbawione turystów rejsy, przemoc była dla mieszkańców regionu czymś powszechnym.

Już wcześniej, na przełomie lat 60. i 70. XX wieku, departament Caquetá stał się terenem ekspansji partyzanckich wojsk FARC. Odległy od stolicy, trudno dostępny i w dużej części pokryty gęstą dżunglą, nie posiadał dobrej infrastruktury, a instytucje państwowe były tu niemal nieobecne. Dla kształtującej się guerrilli sytuacja była idealna. Partyzanci szybko przejęli rolę państwa, rozwijając swoje alternatywne struktury władzy – w dużej mierze skupione na kontroli upraw koki.



ARCHIWUM PRYWATNE RUBENA DARÍO

Kapitan Ruben Darío,
Wenecja, departament Caquetá,
Kolumbia, marzec 2022 r.

Rosnąca w siłę partyzantka przyciągnęła do regionu także grupy paramilitarne. Te samowolne formacje rozpoczęły – z cichym przyzwoleniem rządowej armii – zwalczanie FARC. Podejrzani o współpracę z guerillą byli zatrzymywani, torturowani i często „znikani”. Tak mówi się tu o tysiącach osób, które zepadły bez śladu w trakcie konfliktu. Czasem to ich ciała lądowały w rzece, skąd wylądował je Ruben Darío.

„Poezja” wojny domowej

Pierwsze lata XXI wieku w departamencie Caquetá naznaczyły kolejne tragedie: masakra zaangażowanej politycznie rodziny Turbay, zabójstwa burmistrzów, zakończone fiaskiem negocjacje pokojowe prezydenta Pastrany, porwanie Ingrid Betancourt podczas jej kampanii prezydenckiej. Także w tym okresie miało miejsce przymusowe wysiedlenie wsi Unión Peneña: za sprawą nasilających się walk między partyzantami a grupami paramilitarnymi, blisko pięćset rodzin opuściło swoje domy w ciągu kilku godzin.

Ruben Darío pamięta doskonale tamte lata. Ale nie wdaje się w szczegóły, o tragediach opowiada po łebkach. Twierdzi, że dzieli się ze mną „poecią wojny”. Woli nie przywoływać okrutnej prawdy.

Nastroje tamtych dni odzwierciedlała liczba pasażerów na promie „Marco Polo”. W okresach względnego spokoju oferta Rubena Darío cieszyła się rosnącą popularnością. W trudnych momentach prom świecił pustkami.

Kiedy pewnego dnia „Marco Polo” nie zarobił nawet na paliwo, żona kapitana zapytała bez zbędnych wstępów: „Rube-

nie Darío, statek czy rodzina?”. „Statek” – usłyszała w odpowiedzi.

Do rozwodu nie doszło tylko dlatego, że w kolejną niedzielę prom wypełnił się ludźmi i zarobił 500 tys. pesos (ok. 500 zł). Jak przekonuje kapitan – kwestia cudu.

Recykling

Gdy Ruben Darío mówi o pokoju, oczy zachodzą mu łzami.

Rok 2016 zmienił dla niego wszystko. Podpisany w Hawanie traktat pokojowy między rządem a FARC przyniósł Kolumbijczykom nadzieję na normalność. A jemu liczne grupy turystów. Wciąż lokalnych, bo Caquetá trzyma się z dala od backpackerskich szlaków.

Niemniej pokład „Marco Polo” zapełnił się ludźmi. Jako czas bonanzy Ruben wspomina pierwszy rok po podpisaniu traktatu, gdy na rejsach pojawiało się nawet po 40 osób. Dopiero wtedy ten doświadczony już kapitan wyrobił patent sternika.

Optymizm Rubena z czasem zmaliał. Gdy na obszarach opuszczonych przez FARC nie pojawiły się instytucje państwowe ani wojsko, pustkę wypełnili nowi gracze: grupy przestępcze, które przejmowały uprawy koki i kontrolę nad terenami, na których do niedawna rządili partyzanci.

Także pozostałości po zdemobilizowanej partyzantce z czasem zaczęły przybierać nowe kształty. Pozornie zakończona wojna uległa swoistemu recyklingowi. Ci, którzy nie podpisali traktatu pokojowego lub po krótkim czasie zdecydowali się ponownie chwycić za broń, zaczęli szukać swojego miejsca i – pod starymi hasłami o sprawiedliwości dla najuboższych – wtopili się w nowy układ sił.

Jego forma oporu

Zupełnie jak przed laty, także dziś aktualne wydarzenia znajdują odzwierciedlenie na pokładzie promu „Marco Polo”.

Gdy w lutym 2024 r. lokalni przełożnicy otrzymali od zbrojnych grup ostrzeżenia, zakazujące im transportu, na „Marco Polo” kolejny raz powiało pustką. Kapitan jednak, niewzruszony, co niedzielę był gotowy, by ruszyć promem w dół rzeki Orteguaza.

Kolumbijski rząd, w ramach polityki „pokoju totalnego”, negocjuje obecnie z trzema grupami partyzanckimi. Wielu Kolumbijczyków – zwłaszcza z dużych

miast, gdzie wojna z guerillą brzmi jak archaiczna opowieść z peryferii, o której próbują zapomnieć – jest zmęczonych powtarzalnością historii i patrzy na te wyśiki krytycznie.

Ale nie Ruben Darío. Jak większość mieszkańców kolumbijskiej wsi, doświadczył zła na własnej skórze. Od tamtej pory wierzy, że trzeba rozmawiać. – Ten prom to przestrzeń, gdzie buduje się pokój – podkreśla. I dodaje: – To moja forma oporu.

Podczas każdego rejsu przez skrzeczący głośnik opowiada o historii regionu. Mówi o kolonizacji i początkach przemocy, o kauczukowym boomie i wymordowaniu ludności rdzennej, o konflikcie wewnętrznym i podpisanym traktacie pokojowym, który, jak podkreśla za każdym razem, nie jest idealny, ale jest znakiem, że Kolumbia zmienia się na lepsze. I jest nadzieją, że któregoś dnia jego prom na dobre wypełni się turystami.

Najszcześniejszy dzień

W roku 2025 minie 20 lat od pierwszego rejsu „Marco Polo”. Z tego czasu jeden

dzień Ruben Darío wspomina jako najszcześniejszy. Zupełnym przypadkiem wówczas w ten sam kurs jego promem wybrali się wojskowi wraz z rodzinami oraz grupa byłych partyzantów, którzy po złożeniu broni osiedlili się niedaleko portu.

Od podpisania traktatu pokojowego nie minął nawet rok, między stronami nie było zaufania. Nie przywykli do przebywania w tych samych miejscach. Kapitan umieścił byłych partyzantów na pięterku, a na dolny pokład zaprosił wojskowych.

– Ich żony zapuszczały się na górę, żeby zobaczyć tych partyzantów, o których tyle słyszały. Podobali im się. Dopiero co wyszli z lasu, muskularni, od biegania po lesie z plecakiem mieli piękne ciała – śmieje się Ruben Darío.

– Tamtego dnia moja opowieść wybrzmiała jak nigdy dotąd – wspomina. – Niczego im nie oszczędziłem. Mówiłem o latach wojny, o grupach paramilitarnych, o przewrzeniach wojska i w końcu o traktacie pokojowym. Pamiętam, że drżał mi głos.

Na koniec, jak zwykle, zagrał hymn departamentu Caquetá. Wojskowi poprosili też o hymn kolumbijskiej armii, co wywołało poruszenie wśród byłych partyzantów. Wyzywająco zażądali, by zagrać także ich hymn. Ruben Darío wiedział, że skoro obowiązuje porozumienie pokojowe, to nie ma wyboru.

Prawdziwy kapitan

Tamtego dnia na promie „Marco Polo” wojskowi wysłuchali więc także najważniejszej pieśni byłych Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii, z którymi przez ponad 50 lat toczyli wojnę.

Sytuacja, która kilka miesięcy wcześniej byłaby nie do wyobrażenia, i wtedy wzbudziła napięcie. Obecny na pokładzie generał zaczął protestować.

„Panie generale, pan dowodzi w wojsku, ale na tym promie rządzą ja” – powiedział mu Ruben Darío.

I poczuł, że coś się w nim zmieniło: – Tego dnia zrozumiałem, po co mi był ten statek i te wszystkie lata trudności. Dopiero wtedy zostałem prawdziwym kapitanem.

© EWA KLEWAR

REKLAMA



80. ROCZNICA LIKWIDACJI
LITZMANNSTADT-GETTO
80. ANNIVERSARY
OF THE LIQUIDATION
OF THE LITZMANNSTADT-GHETTO

UROCZYSTOŚCI GŁÓWNE | MAIN COMMEMORATIONS ŁÓDŹ 29 SIERPNIA | ŁODZ 29 AUGUST 2024

Gospodarze uroczystości | Hosts of the Commemoration:



PREZYDENT MIASTA ŁÓDZI
HANNA J. DANOWSKA



WOJEWÓDZA ŁÓDZKI
MAREK P. PIETUS

Organizator główny | Main Organizer:



CENTRUM DIALOGU
im. Marka Edelmana w Łodzi

Współorganizatorzy | Co-Organizers:



Muzeum
Tradycji
Niepodległościowych
w Łodzi



Dofinansowano | Co-financed:



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
– państwowego funduszu celowego



Zadanie
współfinansowane
ze środków
Miasta Łodzi



Więcej informacji:
ghetto.lodz.pl



DZIEŃ OCALAŁYCH | SURVIVORS' DAY
28 SIERPNIA | 28 AUGUST 2024

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE | ACCOMPANYING EVENTS
21-31 SIERPNIA | 21-31 AUGUST 2024

KOMEDIANT O CZTERECH IMIONACH

Pierwsza wojna światowa zapoczątkowała jego karierę, druga ją zakończyła.

W Polsce międzywojennej był gwiazdą: w dekadzie 1929-39 wystąpił w ponad 50 filmach. 120 lat temu urodził się Stanisław Sielański.

STANISŁAW CALIK

JEST 15 SIERPNIA 1899 R., GODZINA 11, gdy w łódzkim urzędzie zjawia się Berek Nasielski, właściciel znanej w mieście drukarni. Trzyma na rękach niemowlę. W obecności trzech świadków oznajmia, że jego żona Sura urodziła dziecko tydzień wcześniej, 8 sierpnia, a chłopczyk został obrzezany i nazwany Szlama. Urzędnik dokonuje odpowiedniego wpisu w księdze urodzeń.

Malec jest piątym dzieckiem w ortodoksyjnej żydowskiej rodzinie Nasielskich. Po nim urodzi się jeszcze pięcioro.

DEBIUT | Ojciec chce, by Szlama pomagał mu w biznesie. Jego drukarnia obsługuje wszystkie siedem miejskich gazet – jest bardzo dochodowa. Na jego prośbę syn wstępuje do Szkoły Handlowej. Ale przedsiębiorczość do niego nie przemawia. W końcu oznajmia ojcu, że chce być aktorem. Od dzieciństwa rozśmiesza przyjaciół, krewnych i sąsiadów – to jedyna rzecz, która przynosi mu radość. Mówi, że ma „antytalent” do matematyki.

Berek Nasielski nie chce słyszeć o scenie. Od dwóch lat trwa wielka wojna, trzeba poważnie myśleć o przyszłości. A robić miny przed publiką? Wstyd i nic więcej.

Jednak młody człowiek stawia na swoim: w wieku 17 lat debiutuje na scenie. Prosi, by na plakacie nie było napi-

sane „Szlama Nasielski”, lecz pełne imię i nazwisko: Salomon Nasielski.

Ojciec nigdy nie zaakceptuje wyboru syna. Krzyczy, że wstydzi się patrzeć ludziom w oczy. Żąda, by Szlama przestał kompromitować rodzinę. Jego siostry wkrótce będą musiały wyjść za mąż, a przyzwoici panowie młodzi nie zaakceptują dziewcząt z niesławnego rodu.

Salomon reaguje na to ultimatum na swój własny sposób. Decyduje się opuścić rodzinę, a nawet rodzinne miasto, ale nie scenę. Najpierw występuje w sąsiednim Tomaszowie Mazowieckim, aby potem ruszyć dalej.

STOLICA | Na początku lat 20. Warszawa, największe miasto niepodległej Polski, przeżywa artystyczny boom. Działają liczne teatryki dramatyczne. Większość szybko się zamyka, ale w ich miejsce powstają nowe. Młody chłopak z Łodzi ma szczęście dostawać w niektórych niewielkie role komediowe. Zmienia imię i nazwisko: na scenie i w życiu prywatnym staje się Stanisławem Sielańskim.

Zarobki ledwo wystarczają na przeżycie. Nie ma żadnej pomocy z domu. Ale szczęście w końcu się uśmiecha: zaczyna występować w kabaretach, rewiach i komediach muzycznych, gdzie płacą mu znacznie więcej. W końcu reżyser Eugeniusz Modzelewski angażuje go do epizodycznej roli w filmie „Za trzy spojrzenia”.

Honoraria pozwalają mu zapisać się na Wydział Prawa UW (prawdopodobnie nigdy go nie ukończył), a następnie studiować w Szkole Dramatycznej, w klasie Aleksandra Zelwerowicza.

Teatr staje się jego pierwszym krokiem na szczyt. Potrafi zagrać zarówno role kabaretowe, jak i dramatyczne – służy w „Królu Henryku IV” Szekspira, Pasztetnik w „Cyrano de Bergeracu” Rostanda. Gra w kilku teatrach jednocześnie.

GWIAZDA | Największe sukcesy odnosi jednak w gatunku muzyczno-rozrywkowym. Jest zapraszany do najsłynniejszych stołecznych kabaretów, takich jak Olimpia, Morskie Oko, Wesołe Oko, Stara Banda, Cyrulik Warszawski. Partneruje gwiazdom, takim jak Zula Pogorzelska, Loda Halama, Eugeniusz Bodo, Aleksander Żabczyński, Loda Niemirzanka czy Lena Żelichowska. Sielański nie ma szczęścia do głównych ról, ale nie przeszkadza mu to w zdobyciu popularności.

Prawdziwą gwiazdę robi z niego kino. W 1929 r. reżyser Mieczysław Krawicz zaprasza Sielańskiego do melodramatu „Szlakiem hańby”. Aktor gra niewielką rolę listonosza. Rok później ten sam Krawicz, jako producent, angażuje Sielańskiego do zagrania kelnera w filmie „Janko muzykant”.

Talentowany aktor zostaje zauważony w branży. W roku 1931 gra w dwóch fil-



Stanisław Sielański w kostiumie do jednej ze scen operetkowych, fotografia wykonana w Zakładzie Fotograficznym „Doris” w Warszawie, lipiec 1939 r.

stępnym roku), prosi Sielańskiego, by opowiedział krótko o sobie. Aktor stwierdza, że urodził się w Łodzi jako Stanisław Nasielski, co musi prowadzić czytelników do wniosku, jakoby urodził się w polskiej rodzinie. Ukrywa żydowskie pochodzenie. Tylko jego przyjaciele znają prawdę.

Nie wszystko jest jasne co do jego wykształcenia. Łozie mówi, że studiował prawo w Krakowie na UJ, i że następnie studiował w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Wszystkie współczesne encyklopedie podają, że studiował prawo w Warszawie, a o Wszechnicy nie wspominają. Czy chciał coś ukryć, zastępując Uniwersytet Warszawski – Jagiellońskim? A może to niedopatrzenie wydawcy?

PRYWATNIE | Niewiele jest informacji o jego życiu prywatnym. Wiadomo, że mieszkał w Warszawie przy ul. Hożej 45, mieszkanie 30, i że w latach 30. ożenił się z Zofią Julią Duranowską, była baletnicą, a później aktorką kabaretową i filmową.

Poznają się jeszcze w 1927 r., gdy oboje biorą udział w sztuce „Spiskowcy” w Teatrze Olympia. Ale prawdziwy związek rozwija się później, prawdopodobnie na planie filmu „Jadzia” w reżyserii Mieczysława Krawicza (znowu ten Krawicz!), w którym Sielański gra mistrza firmy, a Duranowska ma niewielką rolę. To jest jego dwudziesty piąty film, a jej chyba pierwszy.

Nawiasem mówiąc, Duranowska przyjmuje w małżeństwie nazwisko Nasielska, a to oznacza, że aktor w dokumentach nadal figuruje jako Nasielski. Wygląda na to, że Sielański był tylko pseudonimem artystycznym.

Aktor nigdy nie przyjeżdża do Łodzi – ani prywatnie, ani zawodowo. Przez półtorej dekady krajanie o nim zapomnieli. Gdy jednak w połowie lat 30. w łódzkich kinach lecą popularne komedie z jego udziałem, mieszkańcy rozpoznają: „To nasz Szlama Nasielski, prawda?”. Informacja w czołówce, że to Stanisław Sielański, ich przekonuje ich.

Efektom tych seansów kinowych będzie... nowa synagoga. Przerażony ojciec ➔

mach, w 1932 już w trzech, w 1933 w czterech. I tak dalej... Rok 1936 to już dziewięć filmów. Łącznie w dekadzie 1929-39 występuje w ponad 50 filmach, głównie komediach.

Gra przeważnie role drugoplanowe – przyjaciół lub kolegów głównych bohaterów. Ale jego postacie zapadają w pamięć, ponieważ robi je zabawnymi. Za swój najważniejszy film uważa komedię „Dorożkarz nr 13” z 1937 r., w której w końcu gra główną rolę. Ten film, a także wiele

innych z jego udziałem, można dziś obejrzeć w internecie.

PRZEMILCZENIA | Słynny komik sprawia wrażenie osoby otwartej i towarzyskiej. Łatwo zgadza się na wywiady, chętnie opowiada o swojej pracy, dzieli się swoimi planami. Unika jednak rozmów o życiu prywatnym.

W 1937 r. Stanisław Łoza, redaktor słownika biograficznego „Czy wiesz kto to jest?” (ukazał się w Warszawie w na-

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

→ aktora w desperacji postanawia zrehabilitować się przed Wszechmogącym za grzechy syna-zdraycy: dwa mieszkania na parterze swojej kamienicy Berek Nasielski podarowuje na rzecz budowy nowej żydowskiej świątyni.

WOJNA | Sezon teatralny 1938/39 Sielański kończy u szczytu kariery, grając główną rolę w operetce „Baron Kimmel”. Latem występuje też w dwóch filmach: „Przez łyżę do szczęścia” Jana Fethke i „Ja tu rządę” Krawicza. We wrześniu ma płynąć do Ameryki, by zagrać w pierwszym polskim filmie komediowym kręconym za oceanem.

Aktor co prawda trafia do USA, ale nie w taki sposób, jak planował. Dwa wspomniane filmy są ostatnimi pełnometrażowymi w jego karierze i ostatnimi, w których gra w Polsce (ironia losu: karierę filmową zaczął dzięki Krawiczowi i w jego filmie ją zakończył).

1 września 1939 r. Niemcy atakują Polskę. Wróg zbliża się do Warszawy. Jak wielu przedstawicieli elit kulturalnych Sielański opuszcza Polskę. Od listopada 1939 r. występuje w Teatrze Polskim w Bukareszcie, gra rolę administratora Bęczkowskiego w komedii Stefana Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka”. W lutym 1940 r. jedzie z tym teatrem do Paryża.

Żona zostaje w Warszawie. Małżonkowie sądzą, że rozłąka potrwa kilka miesięcy: Niemcy zostaną pokonane i mąż wróci, a w najgorszym wypadku żona pojedzie do niego. Będzie inaczej: para już nigdy nie będzie razem.

Kiedy Wehrmacht zbliża się do Paryża, Sielański, podobnie jak setki tysięcy innych uchodźców, udaje się do Lizbony.

Z neutralnej Portugalii utrzymuje kontakt listowny z Warszawą. Koresponduje nie tylko z żoną, ale też ze współpracownikami, w tym z reżyserem Krawiczem, który prowadzi sklep filatelistyczny przy Marszałkowskiej 114.

ROZPROSZENI | Niespodziewanie w okupowanej Warszawie wchodzą na ekrany te dwa filmy, w których Sielański grał latem 1939 r. Gdy widzowie cieszą się z nowego spotkania z ulubionym aktorem, on jest już daleko. W Lizbonie otrzymuje dokumenty zezwalające na wyjazd do USA i w listopadzie 1940 r. wypływa tam statkiem „S.S. Excalibur”.

„Po dostaniu się do Ameryki powodziło mi się już dobrze – wspomni później w liście do redakcji czasopisma »Film«. – Przez całą wojnę pracowałem w Office of War Information (Urząd Informacji), gdzie nadawałem audycje na krótkich falach dla Europy. Wyprodukowałem własny film krótkometrażowy w kolorach – w języku angielskim i grałem w trzech krótkich metrażach, nakręconych przez Foxa dla wojska”.

Jego żona wstępuje do Armii Krajowej, ma pseudonim „Hoża Zosia”. Bierze udział w powstaniu warszawskim. Po jego upadku opuszcza Warszawę z ludnością cywilną i trafia do Łodzi.

Losy rodziców i rodzeństwa Sielańskiego nie są znane. Na łódzkich cmentarzach nie ma grobów osób o nazwisku Nasielski. Czy trafili do łódzkiego getta? A może udało im się uciec wcześniej? Wiadomo tylko, że ojciec zmarł w kwietniu 1942 r. i został pochowany w Warszawie (zachował się nagrobek). W jakich okolicznościach znalazł się w stolicy? Był sam czy z rodziną?

Stanisław Sielański (w środku) jako woźny Hipek w filmie „Będzie lepiej”. Po jego lewej Henryk Vogelfänger (Tońko), po prawej Kazimierz Wajda (Szczepko), 1936 r.

TEŚKNOTA | Po 1945 r. aktor nie wraca do kontrolowanej przez Stalina Polski. Jeśli zamierzał w ogóle przyjechać, to tylko po to, by zagrać w filmach. We wspomnianym liście do redakcji „Filmu” pisał: „Też sknie ogromnie za Krajem i chętnie pojechałbym do Was nakręcić parę filmów. Jeżeli mnie chcecie – sprowadźcie mnie. Będzie to wielkie szczęście dla mnie”. Nigdy tak się nie stanie.

W Ameryce Sielański zaczyna opanowywać nowe gatunki. Pisz zabawne monologi i wiersze dla polskiej prasy emigracyjnej. Później opublikuje je jako książkę „Raz na... widelec. Rzeczy własne, podsłuchane i skradzione”. Jest też skrzypkiem w zespole tańca ludowego Matusz Polish Dance Group. Przez krótki czas pracuje w firmie eksportowo-importowej, poza swoją branżą. Z czegoś trzeba żyć.

Potem jednak wszystko na powrót układa się dobrze. Sielański otrzymuje własny rozrywkowy program telewizyjny, często pojawia się w radiu, gra też w spektaklu opartym na sztuce „Markietanki” swojego przedwojennego kolegi Napoleona Śądka. Z tym spektaklem objeżdża prawie pół Kanady.

W 1951 r. składa wniosek o obywatelstwo USA. Po raz kolejny poprawia biografię, twierdząc, że jego nazwisko to Sielański. Podaje też fikcyjny dzień urodzenia: 29 sierpnia (zamiast 8 sierpnia). W ten sposób pojawia się amerykański obywatel Stanley Selansky (to już czwarte używane przez niego imię i trzecie nazwisko).

■ ■ ■
W Ameryce nie zakłada nowej rodziny, nigdy też nie rozwodzi się z Duranowską. Nadal z nią koresponduje. Ona po powrocie do Warszawy nie występuje już na scenie, pracuje w jakimś biurze. On wysłał Zofii pieniądze i paczki.

W 1953 r. świętuje z przyjaciółmi z emigracji 25-lecie swojej kariery aktorskiej.

Dwa lata później 54-letni Salomon Nasielski / Stanisław Sielański umiera we śnie na zawał serca. Zostaje pochowany w Nowym Jorku. Żona przeżyje go o 37 lat.

© STANISŁAW CALIK

Wybierz swoją prenumeratę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

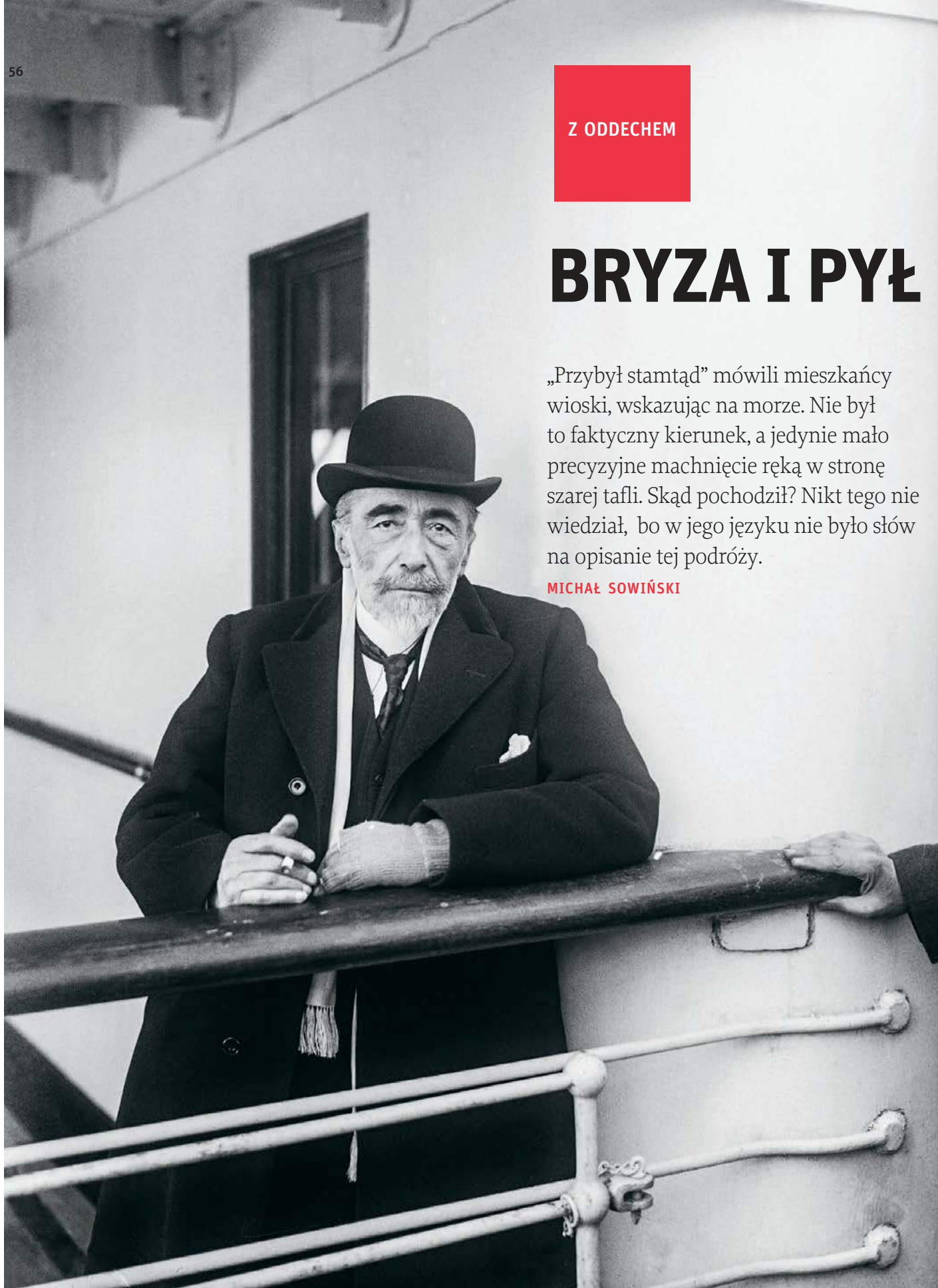
z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

Z ODDECHEM

BRYZA I PYŁ

„Przybył stamtąd” mówili mieszkańcy wioski, wskazując na morze. Nie był to faktyczny kierunek, a jedynie mało precyzyjne machnięcie ręką w stronę szarej tafli. Skąd pochodził? Nikt tego nie wiedział, bo w jego języku nie było słów na opisanie tej podróży.

MICHAŁ SOWIŃSKI



WYŁONił SIĘ Z MORZA, A RACZEJ ZOSTAŁ PRZEZ NIE WYRZUCONY na brzeg po szczególnie zacieklej sztormie, który zatopił jego statek. Gdy po jakimś czasie nauczył się języka mieszkańców krainy, do której cisnął go kapryśny los, niewiele mówił o swojej przeszłości. Jedynie że ma na imię Janko (zapisano je „Yanko”) i że wcześniej mieszkał w górach, które nazywały się Karpaty – nazwa równie tajemnicza dla mieszkańców wioski, jak dla Górala (taki przydomek sobie wybrał) słowo „Anglia”.

Czas mijał, Janko oswoił się z nowym światem, a świat z dziwnym przybyszem. Mówił coraz lepiej, ale jego angielszczyzna już zawsze brzmiała śmiesznie – kanciasta, wyuczona, obciążona ciężkim akcentem. Jego obyczaje dalej budziły niesmak – latem wylegiwał się na łąkach albo długo wędrował po okolicy, śpiewając rzewne pieśni w swoim dziwnym języku. Zimą z kolei, gdy wszystko tonęło w szarości i deszczu, całymi dniami milczał i popadał w otępienie.

Nawet gdy poznał Amy, dziewczynę, z którą ożenił się i miał syna, musiał czuć się dojmująco samotny – więcej nawet, cały świat wydawał mu się iluzoryczny, widmowy. Gdy urodził mu się syn, cieszył się, że będzie miał z kim rozmawiać. Niestety, nie dane mu było tego doczekać – kolejnej zimy dostał ciężkiej gorączki i zmarł. W malinie prosił o wodę, ale zapomniał angielskiego, więc nikt nie rozumiał, o co mu chodzi. Po śmierci szybko o nim zapomniano – jakby nigdy nie istniał. O dziecku mówiono wyłącznie „syn Amy”, a jedynym trwałym śladem, jaki się po nim zachował, był koślawy „X” w księdze parafialnej postawiony podczas ślubu.

Tak w skrócie przedstawia się fabuła opowiadania „Amy Foster” autorstwa Josepha Conrada. Choć cała jego proza nosi silne znamiona autobiograficzności, to chyba właśnie w tym tekście pisarz odsłania się najbardziej. „Janko Góral to ja”, mógłby powiedzieć – Flaubert należał do jego ulubionych autorów – gdyby fraza ta brzmiała nieco poważniej (poczucia humoru akurat mu trochę brakowało).

Ze swoim bohaterem dzielił bowiem kondycję człowieka wyobcowanego, pozbawionego ojczyzny i języka (nawet jeżeli na własne życzenie), który swój nowy świat może zamieszkiwać wyłącznie za cenę ciężkiej, codziennej pracy nad sobą. Różnica między nimi polega natomiast na tym, że po Janku z Karpat została jedynie jedna krzywa litera – z kolei Józef Teodor Konrad Korzeniowski, który angielskiego nauczył się dopiero dobijając trzydziestki (a wszystkie swoje dzieła napisał w tym języku), na zawsze odmienił kształt światowej literatury.

ZE SZWAJCARII | Przez lata pracy przy literackim Festiwalu im. Josepha Conrada miałem przyjemność spotkać wiele pisarek i pisarzy z całego świata. Autorzy tacy jak Siri Hustved, Paul Auster, Adam Hochschild, Michel Faber, Martín Caparrós, Arundhati Roy, Martin Amis, Tom McCarthy i Swiatłana Aleksijewicz przytaczali fragmenty prozy lub wymieniali elementy biografii Conrada jako istotne punkty odniesienia dla własnego pisania czy myślenia o świecie w ogóle. Jak to się stało, że syn zubożałego szlachcica-patrioty, urodzony pośrodku ukraińskiego stepu, stał się jednym z najważniejszych autorów zachodniej literatury?

Joseph Conrad na pokładzie S.S. Tuscania przybywa do Nowego Jorku, 1 maja 1923 r.

W przypadku Conrada życie i pisanie są ze sobą powiązane w szczególny sposób – trudno zrozumieć jedno bez drugiego. Jego droga ku literackim kanonom rozpoczęła się w 1874 r., gdy mając zaledwie 17 lat, wyjechał z rodzinnego Berdyczowa. Oboje jego rodzice już nie żyli – matka zmarła w drodze na zsyłkę w głąb Rosji, na którą cała rodzina skazana została za konspiracyjne działania ojca. Ten, doszczętnie załamany, umarł kilka lat później.

Józefem opiekował się wuj, Tadeusz Bobrowski, który niewątpliwie kochał swojego siostrzeńca, ale nie szczędził mu karcących uwag, szczególnie w kwestiach finansowo-zawodowych. Młody Józef wymyślił sobie bowiem, że zostanie marynarzem. Dla zarządcy majątku ziemskiego w Ukrainie w drugiej połowie XIX w. musiało to brzmieć co najmniej egzotycznie – nic więc dziwnego, że próbował go na wszelkie sposoby odwieść od tego szalonego pomysłu. Ufundował mu nawet długi pobyt w Szwajcarii, najbardziej śródlądowej krainie Europy Zachodniej, byleby tylko młody utracjusz się opamiętał.

DO ANGLII | Bakcyl morza siedział już w nim głęboko. Zapewne za sprawą ojca. Apollo Korzeniowski, zanim całkiem pogrążył się w depresji, był poetą i działaczem niepodległościowym. Syna karmił przede wszystkim polskim romantyzmem – jednak w przerwach między jednym a drugim wieszczem podsuwał mu do czytania także inne rzeczy, choćby własne tłumaczenia ulubionych pisarzy: Charlesa Dickensa i Victora Hugo. Dzięki pierwszemu Józef zakochał się w Londynie, drugi, głównie za sprawą „Pracowników morza”, rozbudził w nim marynistyczną wyobraźnię.

To ciekawe, że w epoce rozkwitu prozy gatunkowej poświęconej morzu akurat ten tytuł stał się dla Conrada założycielską książką zbójczą. W.G. Sebald nazywa ją „nieskończenie nudną”, jednocześnie dodając, że dla młodego Józefa musiała jawić się jako „zwierciadło własnego życia”. Fabuła „Pracowników morza” faktycznie jest zagmatwana i rozwleczone, z klimatem i nieco wydumanym zakończeniem. Ważne jest jednak, że w przeciwieństwie do popularnych podówczas powieści gatunkowych niewiele w niej przygód i innych szeroko rozumianych morskich zachwyków, dominuje za to pesymizm, rezygnacja, a główny bohater ostatecznie popełnia samobójstwo, czekając, aż zaleją go fale przyływu.

Morze Victora Hugo to morze straconych złudzeń i złamanych żywotów – specyficzna lektura inicjacyjna. Niemniej z takim właśnie obrazem Conrad wyruszył w świat. Po 4 latach spędzonych w Marsylii i na pokładach francuskich statków trafił w końcu do Anglii, którą postanowił uczynić swoim nowym domem. 19 sierpnia 1886 r., kilka tygodni przed zdaniem egzaminu na kapitana królewskiej floty handlowej, otrzymał brytyjskie obywatelstwo. 5 lat później, po powrocie z Konga, ostatecznie porzucił pływanie, aby do końca życia zajmować się już wyłącznie pisaniem. Wtedy też do Józef ostatecznie zmienił się w Josepha, a Konrad w Conrada.

W STANACH | Niestety, przez wiele lat nie radził sobie na kapryśnym rynku wydawniczym przełomu XIX i XX w. Tytuły, które dziś znajdują się w kanonie światowej literatury – „Lord Jim”, „Jądro ciemności”, „W oczach Zachodu” – nie sprzedawały się za dobrze, a honoraria ledwo starczały na przeżycie. Mimo →

→ ciągłego wsparcia ze strony wuja, Conrad tonął w długach.

Pogłębiało to jego stany depresyjne. Frazy typu „Na cokolwiek spojrzę, upadam na duchu – wszystko widzę na czarno” powracają jak refren w jego listach. Podobnie narzekania na samo pisanie, które z kolejnymi książkami staje się coraz większą męką. W 1896 r. ożenił się z Jessie George, młodą, pragmatyczną dziewczyną z klasy robotniczej, która chętnie zaopiekowała się podstarzałym i nieszczęśliwym pisarzem. Wbrew drwiącym uwagom znajomych Conrada, którzy twierdzili, że to wyjątkowo niedopasowana para, oboje do końca życia byli spełnieni w tym małżeństwie.

„Sukces przyszedł za późno, żebym mógł się nim cieszyć”, pisał gorzko w 1913 r., kiedy doczekał się pierwszego bestsellera. Mało znana dziś powieść „Gra losu” przyniosła mu upragnioną stabilizację finansową oraz sławę, o której zawsze (choć skrycie) marzył. Wielka Wojna szybko przerwała jednak to szczęście. Sytuacja poprawiła się znowu dopiero na początku lat 20., przede wszystkim za sprawą amerykańskich czytelników, którzy zaczęli masowo wydawać zarówno nowe, jak i wcześniejsze jego książki, a jego samego podczas zaoceanicznej wizyty traktowano jak celebrytę. Jest w tym swoista ironia, że nie w ukochanej Brytanii, tylko właśnie w USA, w kraju, którego brutalnej dominacji w ostatnich dekadach życia mocno się obawiał („Nostromo” to chyba pierwsza w dziejach powieść o amerykańskim imperializmie), doczekał się należnej mu uwagi. Niestety nie cieszył się nią długo, bo 3 sierpnia 1924 r., równo sto lat temu, zmarł na atak serca w swoim skromnym domu w Kent.

NA ORBICIE | Minęło sto lat od jego śmierci – w tym czasie świat zdążył zmienić swoją skórę ładnych parę razy. A jednak po Conrada sięga się przy okazji kolejnych globalnych zawirowań i kryzysów. Pokolenie Kolumbów zaczytywało się w „Lordzie Jimie”; Michał Komar w genialnym esej „Piekło Conrada” z 1978 r. w brawurowy wręcz sposób (bo na pierwszy rzut oka zupełnie neutralnie) sięga po do niego, aby nakreślić geopolityczną panoramę tamtej epoki; „W oczach Zachodu” masowo cytowano po zamachach 11 września; Barack Obama, jeszcze jako prezydent, stwierdził, że dzięki „Jądru ciemności” lepiej rozumie współczesny świat.

Przykłady można mnożyć – choćby sięgając do kultury i popkultury ostatniego stulecia: od Ridleya Scotta (nie tylko statek kosmiczny „Nostromo” z „Obcego” – jego filmowy debiut „Pojedynek” to ekranizacja opowiadania Conrada o tym samym tytule), przez „Czas Apokalipsy” Francisa Forda Coppoli, na powieściach Jacka Dukaja kończąc (pisarz kilka lat temu dokonał bardzo ciekawego, eksperymentalnego spolszczenia „Jądra ciemności”). Do tego gry, komiksy, seriale – to wszystko dowodzi, że Conrad jest wciąż żywy, że dzięki lekturze jego prozy wciąż możemy coś ciekawego o współczesnym nam świecie powiedzieć. Dlaczego?

PRZEZ ŚWIAT | Conradowi przyszło żyć w szczególnie istotnej dla historii zachodniego świata epoce. Z perspektywy śródlądowej przełom XIX i XX w. to nudnawo-kawiarniana *belle*

W Conradzie najciekawsza jest jego podejrzliwość.

Jako jeden z pierwszych odkrył, że kryzys to naturalny stan rodzącego się na jego oczach nowoczesnego świata.

époque. Z perspektywy morza: okres wielkich przemian. Za sprawą nowych technologii świat zaczął się kurczyć w błyskawicznym tempie. Skończyły się tereny do podboju militarnego czy ekonomicznego, więc – aby utrzymać wzrost – potrzebne były nowe narzędzia wyzysku. Zasoby, zarówno na mapie świata, jak i na drabini społecznej, zostały podzielone – a to doprowadziło do rozpoczęcia pełnoskalowego wyścigu zbrojeń oraz nowych, re-

wolucyjnych pomysłów na zmianę porządków społecznych.

Conrad, nawet jeżeli nie zawsze w pełni świadomie, czuł, jak te wszystkie nerwy świata powoli się napinają. Potrafił w literacko oryginalny sposób uchwycić zwyrodnienia rodzącej się w bólach nowoczesności. Bezkompromisowo wypunktowywał grzechy coraz bardziej niepokojącego świata, który miał już w sobie potencjał na wielkie wojny, krwawe rewolucje i masowe ludobójstwa. Będąc bezpośrednim, niezwykle uważnym świadkiem tych zjawisk, uchwycił ich mechanizmy, tworząc instrukcję obsługi rzeczywistości, z której możemy korzystać do dziś.

Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby nie jego unikatowa pozycja obserwatora. I tu wracamy do obcości, której, jak można wywnioskować z jego biografii, całe życie gorąco pożałował, nawet jeżeli przysparzała mu ona niemalże wyłącznie cierpień. Dzięki niej bowiem mógł zobaczyć więcej – dostrzec rzeczy, które dla innych były skryte pod woalem społecznej czy językowej swojskości.

Z ZACHODU NA WSCHÓD | W liście do Davida Bone’a, innego marynarza-pisarza, pisał, że jest bardziej niż on Brytyjczykiem, bo stał się nim w wyniku świadomego wyboru. Choć Anglię ukochał całym sercem i był jej wierny aż do śmierci, zdarzało mu się też ją krytykować. Lubił siadywać okrakiem na tożsamościowych barykadach, przyjmując pozycję międzykulturowego tłumacza – widać to doskonale w takich powieściach jak „W oczach Zachodu” czy „Tajny agent”, gdzie rozkłada na części pierwsze tzw. rosyjską duszę, udowadniając, że to niewiele więcej poza brutalnym imperializmem podlanym wódczaną metafizyką.

Szczególą niechęcią darzył Dostojewskiego, którego uważał za literackiego szarlatana grzebiącego wyłącznie na pokaz w najczarniejszych zakamarkach ludzkiej psychiki. Zdzisław Najder, który tekstom Conrada poświęcił całe życie, uważał, że ta zawiść wobec autora „Zbrodni i kary” wynikała przede wszystkim z tego, że na poziomie podstawowych rozpoznai co do kondycji człowieka im współczesnego obaj pisarze byli ze sobą zaskakująco zgodni. Ze swoich obserwacji wyciągali jednak radykalnie inne wnioski.

O Conradowskich bohaterach często mówi się, że cechuje ich heroiczność – nie jest to jednak heroizm prostej aksjologii, zdolność przedkładania dobra nad zło. Świat Conrada, jak udowadnia Komar i wielu innych, to świat nie tylko bez Boga, ale także pozbawiony metafizyki, co oznacza, że nie istnieje zewnętrzna instancja, do której można by się w kryzysowej chwili odwołać. Conradowski heroizm to podjęcie właściwej etycznej decyzji nawet wtedy, gdy nikt nie patrzy (uciec czy zostać na tonącym statku?). Bo, paradoksalnie, tylko w ten sposób może

zrodzić się między ludźmi braterstwo – jedyna quasi-religijna wartość, w jaką głęboko wierzył.

NA MORZU | Całe życie obruszał się na określenie „marynista”, które oznaczało pisarza gatunkowego, opisującego morskiego przygody w celach rozrywkowych. Dla Conrada morze było sprawą niezwykle poważną. Morze to przestrzeń, w której da się uwolnić od złudzeń i szaleństw lądu, doświadczyć egzystencji w stanie możliwie czystym. Dopiero tam, pod pustym niebem i wobec bezludnego horyzontu, życie mogło otrząsnąć się z przypadkowości i nieistotności. Tylko w takich warunkach mogła zawiązać się wspólnota ludzi morza (tytuł powieści Hugo z pewnością utkwiał mu głęboko w pamięci).

Wydany w 1906 r. zbiór autobiograficznych esejów „Zwierciadło morza” okrzyknięty został najpiękniejszą elegią na zmierzch epoki żaglowców. Faktycznie – pokolenie Conrada było świadkiem końca trwającej tysiąclecia epoki, w której statki napędzała wyłącznie siła wiatru. W czasie jego marynarskiej kariery parowce przejęły większość transportu morskiego. Podobnie jak kilka dekad wcześniej pojawienie się kolei, była to olbrzymia zmiana cywilizacyjna – nie tylko ekonomiczna, ale także kulturowa. Kształtowany przez stulecia etos ludzi morza w ciągu jednego pokolenia niemalże całkowicie zniknął, co w kulturach morskich (czyli raczej nie u nas) wywołało niewyobrażalną falę nostalgii.

Conrad w swoich powieściach często grał na tych melancholijnych strunach, opisując świat, który *de facto* już nie istniał. Dla niego była to jednak pojemna metafora. Zderzenie ludzi wiatru z ludźmi pary, zagle kontra węglowe piece, morska bryza i czarny pył – zestawienia można mnożyć, niemniej chodzi o stworzenie sceny pod tragedię, z której jasno wynika, że świat (a wraz z nim ludzie go zamieszkujący) ulega degeneracji. U Conrada wszystko, co w założeniu racjonalne i szlachetne, prędzej czy później zamienia się w swój zdegenerowany rewers (Kurtz i jego placówka postępu to tylko jeden z wielu przykładów). Dlatego był przeciwnikiem zarówno kapitalizmu, który zawsze wymknie się spod

kontroli, tworząc nieludzki świat wyzysku i szalonej akumulacji, jak i społecznych rewolucji mających go obalić – bo zawsze prowadzą do obscenicznych spektakli przemocy.

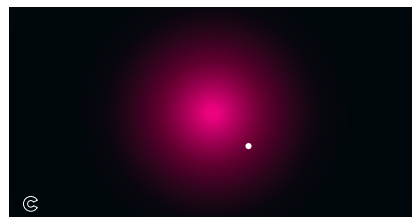
Zostawał mu konserwatyzm, ale podszyty tragicznym brakiem wiary we własną sprawczość (może nie ma innych?). Pragnął jakiejś bliżej niedookreślonej, pierwotnej wspólnoty, której członkowie byłiby w stanie sami wyciągnąć się z pustego i zimnego piekła, do którego wtrącił ich nowoczesny świat. A jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jest już niemożliwa do odbudowania (o ile w ogóle kiedykolwiek istniała). Ten nihilistyczny heroizm może wydawać się kuszący estetycznie, aczkolwiek sam Conrad przypłacił go ciężkimi i długimi okresami depresji, z którymi zmagał się do końca życia. „Żyjemy tak jak śnimi – samotnie”, mówi jego ulubiony narrator Marlow.

STO LAT PÓŹNIEJ | W Conradzie najciekawsza jest jednak jego podejrzliwość. Podobnie jak Janko Góral nie dowierzał zastanej rzeczywistości, szukał jej drugiego, często mrocznego dna. Jako jeden z pierwszych odkrył, że kryzys to naturalny stan rodzącego się na jego oczach nowoczesnego świata. Przypłacił to życiem w ciągłym niepokoju, który od czasu do czasu rozlewał się czernią po całej jego egzystencji.

Miał też odwagę przyznawać się do bezradności w obliczu przytłaczających zmian. Był pesymistą w kwestii dalszego rozwoju cywilizacji, a także nowych form życia, które będzie ona wymuszać. A jednocześnie nigdy się nie poddał – do końca pozostał czujny i krytyczny. Heroizm, który sto lat później wciąż godny jest podziwu.

©P MICHAŁ SOWIŃSKI

Już za miesiąc,
4 września, kolejny
Magazyn Conrad,
w którym ogłosimy
kompletny program
tęgorocznej edycji
Festiwalu.



**TYCZNIK
POWSZECHNY**



KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co” – tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami:
„Życzę też, byśmy nie byli
ponurakami. Zmartwychwstanie
jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności,
więc na wszystko możemy patrzeć
w perspektywie wieczności! Alleluja!”



ŻYCIE JAKO FORMA WSPÓŁPRACY

PROF. JONATHAN SILVERTOWN, EKOLOG EWOLUCYJNY:

Jesteśmy ultrakooperatywni, ale biologia nie zmusza nas do tego, byśmy byli dobrzy.

Na współpracy opierają się zarówno grupy przestępcze, jak i zespoły strażaków ryzykujących życie dla innych.



MARIA HAWRANEK: Jak w biologii rozumie się współpracę?

JONATHAN SILVERTOWN: Najprościej rzecz ujmując, kooperacja następuje wtedy, kiedy osobniki wykonują jakieś czynności na korzyść innych jednostek, ponosząc przy tym koszty. Taka współpraca może się wydarzyć w obrębie gatunku i między gatunkami.

W swojej najnowszej książce opisuje Pan przykłady współpracy międzygatunkowej. Porosty, mątwy z fluorescencyjnymi bakteriami czy ludzie i wilki. Jakie warunki muszą zostać spełnione, by dwa gatunki zainicjowały współpracę?

Lubię myśleć o współpracujących organizmach jako o zespołach. Tworzenie się zespołów rządzi się określonymi prawami. Aby do niej doszło, korzyści płynące ze współpracy muszą przewyższać koszty.

Zatem potrzebna nam jest zgodność interesów członków drużyny, czyli sytuacja, w której każdy odnosi jakieś korzyści, niezależnie czy należą do tego samego, czy różnych gatunków. Korzyści mogą narastać dzięki liczebności. Gdybyśmy wzięli pod uwagę drużynę piłkarską, to najlepiej, aby na murawę wyszła cała jedenastka. Jeśli jeden z graczy otrzyma czerwoną kartkę, to drużyna znajdzie się w niekorzystnym położeniu. Czyli liczebność daje siłę. Drugą zaletą wynikającą z działania w drużynie jest podział pracy. Gdybyśmy umieścili wszystkich jedenastu zawodników w bramce, najlepszy rezultat, jakiego moglibyśmy się spodziewać, to 0-0. Tylko przy podziale ról zawodnicy mogą odnieść sukces jako drużyna. Każdy zespół odnosi korzyści właśnie z tych dwóch powodów – liczebności i robienia różnych rzeczy dla dobra ogółu.

Wspomniała pani o porostach. To ładny przykład podziału pracy, częsty w relacjach symbiozy. Współpracują ze sobą organizmy z dwóch zupełnie innych grup – glon i grzyb. Grzyb musi pozyskać wszystkie składniki odżywcze ze środowiska, nie potrafi sam łapać energii. Z kolei glon może dzięki temu partnerstwu rosnąć w miejscach, które inaczej byłyby dla niego niedostępne – wysokie

Sepiola atlantica (na zdj.) to jeden z gatunków mątw, które żyją w symbiozie z gatunkami wytwarzającymi światło.

skały na brzegach klifów czy nawet wnętrza kamieni. Ta kombinacja odniosła niezwykle sukces. W ewolucji wydarzyła się niezależnie mnóstwo razy. Porosty są wszędzie – spoglądam przez okno i widzę je na ścianie budynku, na powierzchni kamienia. Spoglądam naprzeciwko i widzę drzewo, którego gałęzie porastają. To bardzo dobrany zespół. Mamy co najmniej 27 tys. gatunków porostów, które w większości wyewoluowały w ciągu ostatnich 60 mln lat.

Przyjrzyjmy się innej parze: sepiolidy, należące do mątw, i bakterie bioluminescencyjne. Sepiolidy dzięki temu, że wpuszczają do swojego organizmu te bakterie, mogą stać się niewidoczne w czasie nocnych eskapad na polowanie – zlewają się ze świecącą powierzchnią wody niczym kameleony. A jakie korzyści odnosi bakterie?

Jak w hotelu: dostaje nocleg ze śniadaniem. Sepiolid co rano wyrzuca większość bakterii po tym, jak przez noc je nakarmi. W ciągu dnia te kilka bakterii, które zostaje wewnątrz, namnaża się dzięki dostarczaniu pożywienia. Potem bakterie wykonują swoją pracę – rozświetlają wnętrze sepiolida – a po śniadaniu znów są wyrzucane.

A wilki i ludzie? Wiemy, że psy pochodzą od wilków, ale jak to się stało, że nasze gatunki w ogóle zaczęły współpracę?

Wilk to prawdopodobnie najstarsze udomowione zwierzę, dowody wskazują, że stało się to ok. 30 tys. lat temu. Dla porównania, bydło domowe udomowiliśmy dopiero ok. 12 tys. lat temu. Czyli wilki udomowiono, gdy ludzie byli jeszcze łowcami-zbieraczami, nie rolnikami. Nie możemy być pewni, jak do tego doszło, ale wilki są mięsożerne, prawdopodobnie więc krążyły wokół ludzi po ich udanych polowaniach, licząc na posiłek. Zwierzęta, które były mniej lękliwe, podchodziły bliżej i dostawały lepsze kąski. W ten sposób zaczęła się selekcja ze względu na łagodność i podążanie za grupą ludzi.

Wilki stosują opiekę allorodzicielską – czyli osobniki dorosłe opiekują się nie tylko swoimi potomkami – i są bardzo społeczne, co mogło je predysponować do stworzenia z ludźmi zespołu. Być może

ludzie zaczęli zauważać korzyści płynące z obecności wilków – może ostrzegały przed niebezpieczeństwami wokół obozowiska? Z czasem zaczęły wspomagać ludzi w polowaniach, w końcu stały się towarzystwem i wsparciem emocjonalnym. Dzisiaj trudno uwierzyć, że pudel czy mops pochodzą od wilka.

Inny obszar współpracy, który Pan opisuje, to wspomniana opieka allorodzicielska. Robi tak wiele gatunków – m.in. wilki, ludzie, surykutki.

Powiedzieliśmy już, że współpraca może nastąpić jedynie wówczas, gdy przynosi obopólne korzyści. A ponieważ rozmawiamy o ewolucji, to musimy powiedzieć o genach. Ostateczną korzyścią jest transmisja genów – posiadanie potomstwa.

Możemy mówić o korzyściach bezpośrednich, czyli sytuacji, kiedy otrzymujesz jedzenie, opiekę, schronienie, co przekłada się w końcu na twój sukces rozrodczy – oraz pośrednich, kiedy to twoi krewni korzystają, a geny, które noszą, są przekazywane dalej. Wiele z tych genów to kopie twoich własnych genów, bo macie wspólnych rodziców lub dziadków.

Najlepsze przykłady takich sytuacji to owady społeczne, jak mrówki czy pszczoły miodne. Robotnice to samice, ale nie mają własnych dzieci, całe życie zbierają pożywienie i dbają o gniazdo dla królowej, która zajmuje się reprodukcją. Jej jaja to przyszłe siostry robotnic. Z punktu widzenia ewolucji ul działa, bo w gruncie rzeczy jego mieszkańcy to rodzina. Korzyść robotnic polega na tym, że ich geny są transmitowane przez jaja królowej. Bo ile dzieci robotnica byłaby w stanie wychować sama, gdyby geny pozwalały jej na reprodukcję? Pewnie kilkanaście – i to takich robotnic jak ona. Tymczasem w gnieździe może pośrednio wyprodukować wiele królowych. Znowu odzywa się przewaga liczebna. Gniazdo może powić o wiele więcej królowych niż indywidualna pszczoła.

Podkreśla Pan, że współpraca jest warunkowa. I że jej drugim obowiązковым warunkiem, obok korzyści, jest kontrola oszustów.

Oszust w tej sytuacji to ktoś, kto czerpie korzyści, a nie ponosi żadnych lub ➔

→ wystarczająco uczciwych kosztów. Znów, to się tyczy każdego zespołu – bakterii, kałamarnic czy piłkarzy. Każdy system ma swoje czerwone kartki. Weźmy na przykład nasze ciała. Składają się z trylionów komórek, które przenoszą dokładnie ten sam zestaw ok. 25 tys. genów. Moje komórki nerek są zainteresowane tym, by przekazywać dalej swoją informację genetyczną przy pomocy komórek układu rozrodczego.

Pomyślmy o komórce rakowej jako o oszuście, który zakłada swój własny, nielegalny biznes. Aby mu to umożliwić, ciała kręgowców wykształciły szereg mechanizmów. Na przykład w naszym układzie trawiennym dochodzi do ogromnej rotacji komórek – wszystkie komórki wyściółki pokrywające wnętrza naszych jelit są wymieniane dwa razy w tygodniu. To niewiarygodne! Nowe komórki to oczywiście okazja do mutacji, dlatego rak jelita jest taki częsty. Jeśli jakaś komórka się odłącza, czyli nie jest otoczona przez sąsiadów, to zostaje zastosowany rodzaj biochemicznego hamulca, który powstrzymuje tę oddzieloną komórkę przed podziałem, czyli produkcją kolejnych zmutowanych komórek. Ponieważ komórki wyściółki są nieustannie zastępowane, bez tego i innych mechanizmów blokujących co chwilę mielibyśmy w brzuchu jakieś guzy. A to tylko jeden z kontrolerów oszustów, jest ich w naszym organizmie wiele.

Wszystkie przypadki współpracy są podatne na oszustów, więc zawsze wykształcają się mechanizmy zmniejszające ich szanse na sukces.

Wszystkie przypadki współpracy są podatne na oszustów, więc zawsze wykształcają się mechanizmy zmniejszające ich szanse na sukces.

Jednak pewna liczba oszustów jest gwarantowana. To ryzyko wpisane we współpracę.

Oszust polega na organizmach, które współpracują. Gdyby wszyscy oszukiwali, system by się zawalił. To szczególnie istotny minus dla organizmów, które rozmnażają się przez klonowanie, czyli namnażanie własnych komórek bez udziału seksu. Jeśli jesteś oszustem i się dzielisz, to będziesz otaczał się innymi oszustami. Jeśli jesteś komórką współpracującą i się dzielisz, otaczają cię inne komórki współpracujące. Są więc minusy wpisane we współpracę i w oszukiwanie. Lubię używać takiej metafory: kieszonkowcy odnoszą sukces, o ile nie znajdują się na zjeździe kieszonkowców. Wówczas ich strategia przestaje mieć sens. Działa tylko, gdy oszuści są w mniejszości, a otaczają ich współpracujący.

W książce pisze Pan o tym, że kooperacja umożliwiła nawet narodziny życia w tzw. pierwotnej zupie.

Muszę zaznaczyć, że nie wiemy z całą pewnością, jak do tego naprawdę doszło. Opowiem więc o najlepszej dostępnej aktualnie teorii.

Wszystko, co żyje, musi być z definicji zdolne do reprodukcji. Aby stworzyć nowy byt, są potrzebne dwie funkcje: coś, co przenosi informację, czyli instrukcja, i coś, co kopiuje tę instrukcję. W komórkach mamy enzymy, czyli białka, które katalizują proces kopiowania. I mamy informację, która dziś występuje w postaci DNA, a kiedyś – RNA.

Gdy cofamy się do początków życia, musimy znaleźć moment przejścia między czymś, co nie było w stanie się powielić, do czegoś, co potrafiło to zrobić. Potrzebne były dwie rzeczy jednocześnie – coś, co przeniesie informację, i coś, co ją skopiuje. To wydaje się niemożliwym postulatem i stanowiło wielką prze-

szkodę w zrozumieniu pochodzenia życia. Niektórzy specjaliści uważali, że ważniejsza była informacja, więc to ona musiała wydarzyć się najpierw, inni zupełnie się z tym nie zgadzali – twierdzili, że pierwszy musiał być metabolizm. To jak z dyskusją o tym, co było pierwsze: jajko czy kura? Jak życie powstało z czegoś, co wcześniej nim nie było?

Odpowiedź wydaje się być następująca: małe cząsteczki RNA, co niesamowite, mają te dwie właściwości. Jednocześnie mają zakodowaną wiadomość i zdolność do katalizy, czyli zachowywania się jak enzym. Jest możliwe istnienie molekuly, która przenosi informację i ją kopiuje. Ale do tego potrzebne są dwie kopie tej samej cząsteczki.

Dlaczego?

Aby skopiować informację, potrzebujesz czegoś, na czym ją skopiujesz – pewnego rodzaju płaskiej wstążki. I potrzebujesz cząsteczki kopiującej, która ma trójwymiarowy kształt – wszystkie enzymy są trójwymiarowe, maszyny muszą mieć pewną strukturę. Czyli potrzebne są dwie kopie tej samej cząsteczki. Jedna rozciągnięta płasko, druga w formie trójwymiarowej maszyny. Mają tę samą informację, ale w dwóch różnych konfiguracjach. Ich działanie to współpraca. Mogą się rozmnażać tylko poprzez wspólne działanie i podział pracy. Brzmi nieprawdopodobnie? Tymczasem to dzieje się cały czas! Najbardziej powalający jest fakt, że zawieramy w swoich komórkach pozostałości po początkach życia.

Rybosomy, które produkują białka, pozostają niemal niezmienione od 4 mld lat i występują w podobnej formie u wszystkich organizmów, co wskazuje, że są z nami od początku.

Pisze Pan w książce, że nasz gatunek jest hiperwspółpracujący. Jak bardzo różnimy się pod tym kątem od najbliższych z nami spokrewnionych zwierząt?

Istnieje kilkaset gatunków ssaków naczelnych, do których się zaliczamy. Przez jakiś czas sądzono, że być może prospołeczność jest w nie wpisana. Jednak w pewnym ciekawym badaniu przyjrano się piętnastu gatunkom tych ssaków pod względem prospołeczności. Przyglądano się temu, czy lemury, szympany, czepliaki, gibony i inne małpy podzielały się spontanicznie jedzeniem

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 687/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Barbarze Aniszewskiej, córce Mieczysława Borgmana i Łucji z domu Werter, zmarłej w dniu 19 września 2018 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłoszili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

z innymi, jeśli same nie dostaną swojego udziału. Wyniki były zaskakujące. Nie wszystkie naczelnice były równie prospołeczne. Weźmy na przykład szympansy, naszych najbliższych krewnych. Moglibyśmy sądzić, że będą pod względem społeczności przypominać nas. Tymczasem na skali od 1 do 10 oceniono je na 1, a ludzi – na 10. Wśród tych 15 gatunków prospołeczność była ściśle skorelowana z zakresem, w jakim zwierzęta wykazywały opiekę allorodzicielską. Im więcej troski ze strony innych osobników niż rodzice dostawało potomstwo, tym chętniej dzielono się jedzeniem bez oczekiwania niczego w zamian.

Przekonuje Pan, że istniejemy dzięki współpracy. Tymczasem w myśleniu o ewolucji więcej uwagi poświęcało się rywalizacji. Dlaczego byliśmy tak ślepi?

W książce opowiadałem o trzech ważnych naukowcach: Karolu Darwinie, Piotrze Kropotkinie i Thomasie Henry Huxleyu, który był wielkim piewcą idei Darwina, a złośliwi nazywali go jego buldogiem. Kropotkin również był darwinistą, ale uważał, że ludzie nie w pełni zrozumieli przekaz Darwina, który pisał przecież o współpracy – co prawda nie w najsłynniejszej książce „O pochodzeniu gatunków”, ale w kolejnych już tak. Mamy przed sobą kwestię rozłożenia akcentów – i rywalizacja, i kooperacja się wydarzyły. Czemu zatem koncentrujemy się tylko na jednym?

Jedno możliwe wytłumaczenie to różny kontekst, w którym rozwijała się biologia ewolucyjna w Rosji i Wielkiej Brytanii w XIX w. Kropotkin w autobiografii pisze o tym, jak po przeczytaniu „O pochodzeniu gatunków” pojechał na Syberię, spodziewając się, że ujrzy tam zacieklą walkę na kły i pazury. Tymczasem zobaczył coś zupełnie innego: współpracę. To go zaskoczyło. Był anarchista i musiał uciekać z Rosji, schronił się w Wielkiej Brytanii. Tam przeczytał to, co Thomas Henry Huxley pisał o rywalizacji w teorii Darwina. I w odpowiedzi na jego teksty napisał swoje artykuły, wówczas szeroko czytane i komentowane. Dlaczego ci dwaj naukowcy koncentro-



ARCHIWUM PRYWATNE

JONATHAN SILVERTOWN – biolog ewolucyjny i popularyzator nauki, autor ośmiu książek, m.in. „Dinner with Darwin: Food, Drink and Evolution”, a ostatnio: „Selfish Genes into Social Beings”. Emerytowany profesor ekologii ewolucyjnej w Institute of Ecology and Evolution na University of Edinburgh.

wali się na innych aspektach mechanizmów ewolucji?

Na Syberii panuje bardzo ostry, nieprzyjazny klimat, przetrwanie jest trudne. Przykłady współpracy między organizmami od razu rzucają się badaczowi w oczy. W Wielkiej Brytanii klimat jest łagodny, wszystko się zieleni – częściej widać przykłady rywalizacji, a współpraca jest mniej oczywista, choć również się wydarza. Uważa się, że różnica perspektyw wynika z różnicy środowiska, w jakim żyli. Z pewnością wśród organizmów następuje zmiana w zachowaniu i większe nastawienie na współpracę w bardziej wymagających warunkach środowiska. Wiele razy przeprowadzano ten eksperyment: bierzesz roślinę, usuwasz ją z jej środowiska, sadzisz ją wysoko w górach albo na nizinach. I co się okazuje? W górach potrzebuje sąsiadów, by przeżyć, a na nizinach sąsiedzi z nią rywalizują, więc jeśli ich usuniesz, roślina urośnie większa. Ostrzejszy klimat czyni korzyści ze współpracy bardziej oczywistymi.

A klimat mentalny, jaki panował w tych krajach – nie miał wpływu?

W historii nauki znana jest historia o tym, że dwóch naukowców jednocześnie wpadło na ten sam pomysł: koncepcję doboru naturalnego. Był to Karol Darwin, a 30 lat później – Alfred Russel Wallace. Obaj czytali z zaangażowaniem książkę pastora i ekonomisty Thomasa

Roberta Malthusa o populacji. Zdaniem Malthusa, życie stawia przed nami problem: liczba osobników w populacjach rośnie z czasem, tymczasem zasoby, na jakich te populacje polegają – pożywienie, schronienie – nie rosną w tym samym tempie. Być może mogą wzrastać w postępie arytmetycznym, ale nie geometrycznym. Zatem to nieuniknione, że w końcu narodzi się więcej osobników, niż zasoby mogą utrzymać, co musi skutkować biedą i śmiercią. Malthus uczynił z argumentu biologicznego argument polityczny, co miało potężny wpływ na różne dziedziny nauki i myślenia o świecie, o których inni badacze z pewnością mogą opowiedzieć lepiej niż ja. Ja tylko chcę podkreślić, że myśl Malthusa stanowiła istotny kontekst, w którym Darwin wpadł na koncept doboru naturalnego – rywalizacji o ograniczone zasoby.

Wallace też wpadł na ten pomysł, czytając Malthusa – naturalna selekcja to sposób osobników na poradzenie sobie z dyktematem niewystarczających zasobów.

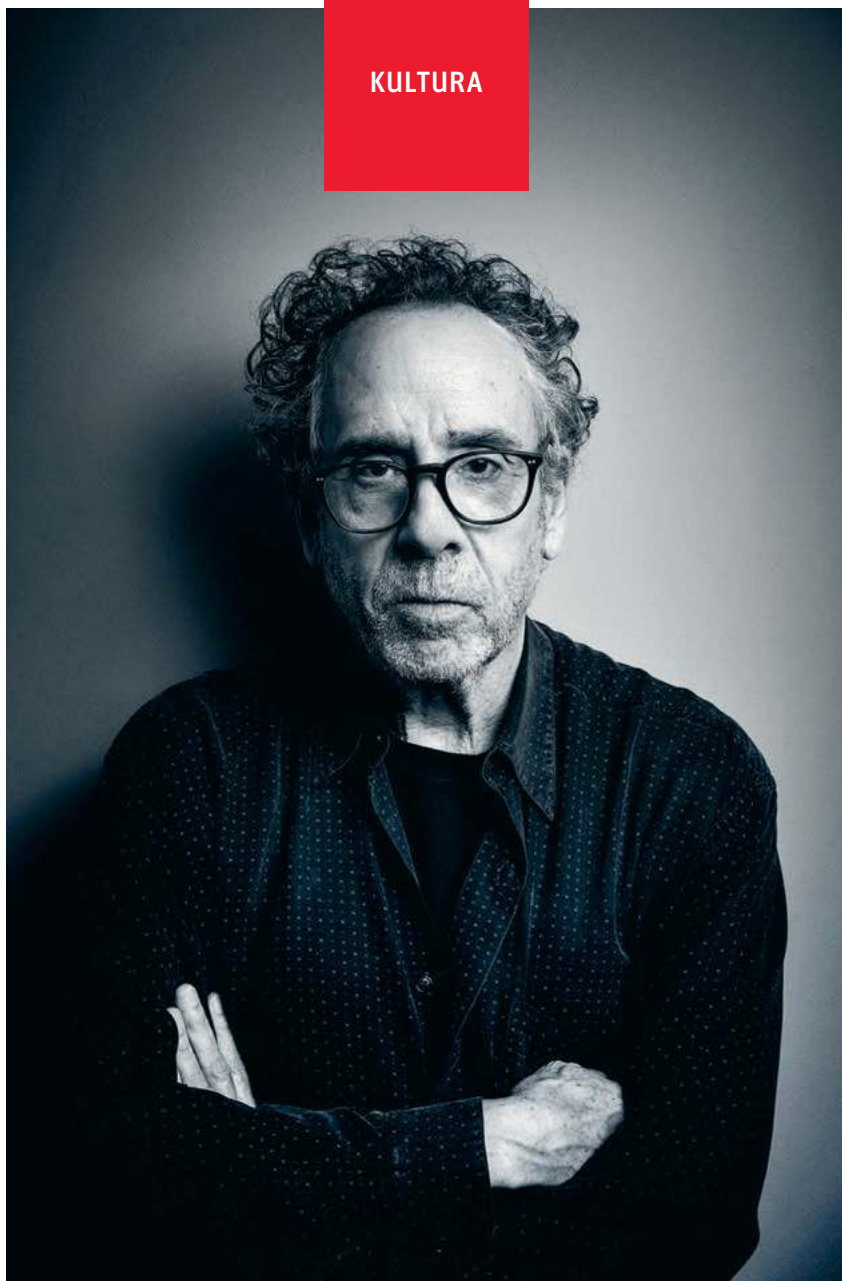
Rosyjscy naukowcy nie mieli tego podłoża intelektualnego. Z pewnością znali Malthusa, ale znowu: trudne środowisko, w którym pracowali, nie wzmocniało w nich przekonania o gwałtownie rosnących populacjach. Zatem jego koncepcja nie była tam aż tak wpływowa. Zapewne klimat fizyczny i środowisko intelektualne wpłynęły na to, co różni badaczy w wypuklali – współpracę czy rywalizację.

Nasze zachowania prospołeczne to nie tylko współpraca – to także przejawy daleko posuniętego altruizmu, aż do poświęcania życia dla obcych, co nijak nie przekłada się na transmisję genów.

Warto podkreślić, że nasza ultrakoooperatywność faktycznie nie musi oznaczać bycia dobrym, współpracując zarówno członkowie grup przestępczych, jak i zespoły strażaków ryzykujących życie dla ratowania ofiar pożarów. Biologia nie zmusza nas do tego, byśmy byli dobrzy – możemy wybrać, dla jakiego celu współpracujemy.

Gdy idzie o ekstremalny altruizm, to przyznam, że biolodzy ewolucyjni nie mają dobrego wytłumaczenia takich zachowań. Niektórzy nawet zaprzeczaliby ich istnieniu. Ale przecież trudno negować fakty.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK



STEVE SCHOFIELD / PRAHA OBECNI DŮM / MATERIAŁY PRASOWE

CZARNOKSIĘŻNIK POWRACA

Gdybym miała wybrać obiekt skupiający w sobie istotę jego rozbuchanej kreatywności, byłaby nim instalacja z ludzkim mózgiem oraz ciekawskim okiem zaplątanym w czarny drut.

Mniej więcej to dzieje się w głowie Tima Burtona.

ANITA PIOTROWSKA

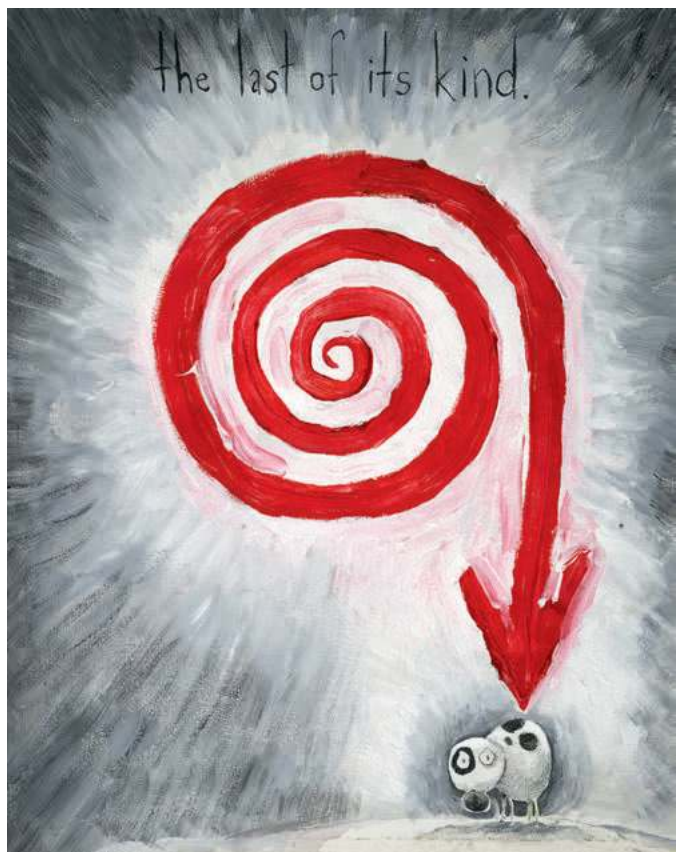
TEN SYMPATYCZNIE NASTROSZONY, wiecznym dzieckiem podszyty filmowiec i zarazem mistrz melancholijnej makabreski, 25 sierpnia skończy sześćdziesiąt sześć lat. Trzy dni później na otwarciu festiwalu w Wenecji pokazany zostanie film „Beetlejuice Beetlejuice”, czyli autorski sequel jego „Soku z żuka” (1988), częściowo z dawną obsadą. A w Pradze trwa wyśmienita wystawa „Tim Burton: Powroty”, która pozwala zanurzyć się w tym bizarnym uniwersum, od dziecięcych bazgrołów aż po nigdy niezrealizowane, za to świetnie udokumentowane projekty.

Marionetki i pędzelki

Martwe oko orzęsione nazwiskiem reżysera, czerwona strzałka zwinięta w psychodeliczną spiralę – taką grafiką firmowana jest zwykle owa niezwykła twórczość, która czasami wygląda, jakby powstawała na ostrym kwasie. Zapoczątkowały ją dziwaczne rysunki i prościutkie animacje, a dziś wieńczą wysokobudżetowe produkcje z dwoma kasowymi „Batmanami” na czele. Przez pół wieku zawartość tej wybuchowej paczuski zmieniała się w gruncie rzeczy bardzo nieznacznie.

Jesteśmy ciągle w tym samym strasznośmiesznym imaginariu, zaludnionym przez postacie ludzkie, półludzkie i całkiem nieludzkie, przez istoty żywe, na poły martwe albo w stanie pośmiertnej dekompozycji. Wypełniają ów makrokosmos ekstrawaganckie pomysły fabularne i cudaczne w swoim kształcie obiekty. Choć rysunki i lalki coraz częściej bywają zastąpione przez znanych aktorów, ci ostatni w rękach Burtona przypominają marionetki, sterowane (dodajmy: z szorstką czułością) przez nieco zwariowanego demiurga. Kamera zaś stała się przedłużeniem zaczarowanego ołówka czy pędzelka.

Dostajemy zatem kino o wiele bardziej wierzące w wykreowany obraz aniżeli w jakąkolwiek rozpoznawalną rzeczywistość. Jeśli by odwołać się do mocno już zmurszałej klasyfikacji, Burton w swej wizualnej ekstatyczności byłby późnym wnukiem Georges’a Méliès’a, a nie fabrykujących realizm braci Lumière. Konkretnych inspiracji znajdziemy u niego bez liku, by wymienić tylko japońskie filmy kaijū, przepełnione różnej maści nieziemskimi stworami (reżyser „Planety



Tim Burton, rysunek bez tytułu i „Ostatni tego rodzaju”

małp” i „Dumbo” uczy nas współodczuwania z tym, co „niehumaniczne”, inne, zdeformowane, okaleczone) tudzież liczne tropy z historii sztuki. Od Edvarda Muncha przez Francisca Bacona po Dr. Seussa, aczkolwiek po wizycie w Pradze owa lista zdecydowanie nam się wydłuży.

Disney i kino grozy

Wystawa na każdym kroku przypomina, że to przede wszystkim niezwykle konsekwentny twórca multidyscyplinarny, który od najmłodszych lat za pomocą rozmaitych narzędzi szukał w swojej głowie ucieczki z nudnego, uporządkowanego świata kalifornijskich przedmieść. Od banalnych marzeń i wyobrażeń, od gładkich ludzi i pustych rytuałów. Jednocześnie potrafił z tego świata czerpać zachłannymi garściami, podobnie jak z różnych nurtów kultury wysokiej i popkultury. I niewielu jest obecnie filmowców, którzy z istic karnawałową fantazją potrafiliby zasypywać te sztuczne czasami przepaście między sztuką a rozrywką. Nawet jeśli w ostatnich latach, mniej więcej od „Alicji w Krainie Czarów” (2010) z Miał Wasikowską, efekty bywały dalekie od niedysyjszych olśnień.

Począwszy od dzieciństwa, spędzonego w przeciętnej rodzinie, w bliskim sąsiedztwie Fabryki Snów, rysował tak, że dzisiaj zatroskani rodzice natychmiast zaprowadziliby go do psychiatry. Czuł się odmieńcem i swoją inność odreagowywał rysując makabryczne obrazki, najpierw nieruchome, a potem wprawiane w poklatkowy ruch. W głowonogach, potworach, zwierozczekoupiorach odnajdywał swoje nigdzie niedopasowane *alter ego*.

Niespokojny, istic punkowy duch nakręcał się w nim także za sprawą niskobudżetowego kina grozy, namiętnie oglądanego za młodu. Zwłaszcza tego z Vincentem Pricem, któremu poświęcił jedną z wczesnych krótkometrażówek i po latach dał rolę wynalazcy w filmie o nożycorękim monstrum. Niewiele brakowało, a zostałby wyrobnikiem u Disneya – ledwie półtoraminutowa animacja „Stalk of the Celery Monster” (1979), zrealizowana przez Burtona jeszcze na studiach w California Institute of the Arts, zapewniła mu przepustkę do pracy w słynnej wytwórni, z czego jednak rychło zrezygnował. Chciał robić kino w pełni autorskie, zarówno spod znaku „brzydkiej” animacji, jak i aktorskie, kręcone zrazu na ta-

śmie 8 mm. Po latach będzie wracał pod disnejowskie skrzydła, aczkolwiek na zupełnie innych zasadach.

Batman i Wednesday

Prawdziwy pazur wysunął już w krótkim „Frankenweenie” (1984), gdzie zrozpaczony chłopiec ożywia prądem zmarłego psa, czy w pełnometrażowym debiucie „Wielka przygoda Pee Wee Hermana” (1985), zwariowanej komedii, nieprzypominającej typowo rodzinnych produkcji. Lecz objawienie przyniósł dopiero wspomniany „Sok z żuka” (1988), tryskający kolorem i staroświeckimi efektami pastisz horrorów o nawiedzonym domu, z martwym małżeństwem i niesforemym bioegzorcystą na pierwszym planie.

Było więc kwestią czasu, aż tę przerysowaną i wcześniej starannie rozrysowaną przez Burtona menażerię uzupełnią postacie ściśle komiksowe. Legendarny „Batman” (1989) z Michaeliem Keatonem, Jackiem Nicholsonem i Kim Basinger, który powrócił na ekrany trzy lata później w podobnym składzie, przepisywał estetykę komiksową na język kina noir, był jednak, jak to często u Burtona bywa, bardziej imponującym widowiskiem niż polemiką →



IAN HROMADKO / PRAHA OBECNI DŮM / MATERIAŁY PRASOWE X3



→ z mitem Gotham. Ale na pewno ustanowił wyrazisty punkt odniesienia dla kolejnych, bardziej wywrotowych adaptatorów i reformatorów tej mitologii. Z rysunkowego świata przybyła też ponura i bladolica Wednesday, członkini upiornej Rodziny Addamsów, w serialowej odsłonie nakręconej niedawno przez platformę Netflix. Burton wyreżyserował dla nich cztery odcinki z ośmiu, naznaczając je swoim wisielczym humorem i spotworzył pięknie – oczywiście na tyle, na ile pozwalała mu filmowa franczyza.

Istna eksplozja wyobraźni nastąpiła u niego wiele lat wcześniej, w „Edwardzie Nożycorękim” (1990), w którym tytułowy dziwoląg zamieniał nudę pastelowego, równo przystrzyżonego miasteczka, wzorowanego na Burbank z lat

60., w mroczną baśń. Wszystkiego tam było za dużo – estetyzacji i brzydoty, romantyzmu i naiwnej grozy, satyry i absurdu, lecz właśnie kontrolowana nadmiarowość stała się wyznacznikiem tego, co u Burтона najlepsze. Pokazane na wystawie „kartki antyświąteczne” jego autorstwa mają w sobie podobną – anarchistyczną, antydrobnomieszczańską, niewierzącą w amerykański sen – przekorę, która sprawiła, że ten osobisty i ukochany przez artystę film z Johnnym Deppem w roli głównej zyskał ongiś status nieomal kultowy. Zwłaszcza wśród wyobcowanej młodzieży z pokolenia X.

Willy Wonka i Kapelusznik

Tu warto zaznaczyć, iż okryty dziś tabloidową sławą aktor zagrał w aż dziewięciu

filmach amerykańskiego reżysera, doskonale wcielając nadwrażliwość, outsiderstwo lub szaleństwo jego postaci. Był wśród nich uzależniony od kina Ed Wood, fabrykant czekolady Willy Wonka, krwawy golibroda Sweeney Todd, obsesyjny tropiciel bezgłowych jeźdźców, Szalony Kapelusznik czy nawet animowany mąż gnijącej panny młodej, któremu Depp udzielił głosu. I poniekąd swojej twarzy.

Burton nie ukrywa, że od początku urzekła go fizjonomia Deppa, a konkretnie zdolność wyrażania emocji samą mimiką i spojrzeniem. Zafascynowany kinem niemym, zwłaszcza ekspresjonizmem niemieckim, cenił sobie odtwórców z wyrazistymi i plastycznymi twarzami, jak Helena Bonham Carter, do niedawna jego życiowa partnerka, czy nieżyjący już Christopher Lee. Szczególnie poszukiwał tej nadekspresji w aktorskich oczach, niczym Margaret Keane, charakterystyczna malarka portretowa, ograbiona ze swych osiągnięć przez męża. Poświęcone jej fenomenowi „Wielkie oczy” (2014) były zresztą drugą biografią w dorobku Burтона, po nagrodzonym dwoma Oscarami „Edzie Woodzie” (1994) i nie jest przypadkiem, że wybierał ten rodzaj bohaterów. Czyli artystów zbyt późno docenionych, wręcz kompulsywnych w swojej twórczej aktywności, pracujących w materii podrzędnej, uchodzącej za czysty kicz.

W końcu mogłaby to być i jego historia, twórcy nazbyt przystępnego jak

5 lipca 2024 r. zmarł w La Vieille Pré

Stefan Rieger

nasz znakomity autor i współpracownik,
krytyk muzyczny i pisarz,
autor nominowanej do Nagrody Nike
książki „Glenn Gould, czyli sztuka fugi”.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia
PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

POZEGNANIE



na sztywno pojmowane kino autorskie i najczęściej zbyt ekscentrycznego jak na wielkie komercyjne sukcesy. Takiego, który równie często przestrzelał, co trafiał w masowe i krytyczne gusta.

Storyboardy i polaroidy

Z pewnością szczyty swoich światotwórczych możliwości osiągnął eksperymentując z lalkowym filmem animowanym – przy „Miasteczku Halloween” (1993) w reżyserii Henry’ego Selicka, filmu, którego Burton był pomysłodawcą, współscenarzystą i producentem, w „Gnijącej pannie młodej” (2005), zrealizowanej wspólnie z Mikiem Johnsonem, czy w rozszerzonej wersji „Frankenweeniego” (2012), zrobionej dla Disneya. „Odzyskanie” dla głównego nurtu kina tradycyjnej animacji poklatkowej i wprowadzenie jej w rejony coraz bardziej zdominowane przez komputerowe efekty nadawało filmom niepowtarzalny sznyt, a zawarta w nich hybrydowa monstrualność i groteskowe okrucieństwo rodem z Grand-Guignolu zyskiwały jeszcze większą finezję. Dodatkowo „Frankenweenie”, łączący „rzemieślniczą” poklatkowość z technologią 3D, tym się wyróżniał na tle hollywoodzkich produkcji dla dzieci, że był czarno-biały. I sięgał, co było nader wyuczulane, do szczególnie bolesnych wspomnień z dzieciństwa reżysera. Pierwowzorem tytułowego, cudownie wskrzeszonego bohatera był bowiem ukochany pies o imieniu Pepe, wcze-

Powyżej: kapsuły, w których znajdują się filmowo podświetlone fragmenty scenografii, rekwizyty i lalki zaprojektowane przez Tima Burtona. Po lewej fragmenty scenografii filmów „Gnijąca panna młoda” i „Marsjanie atakują”

śniej rzecz jasna upamiętniony na rysunkach.

Nie mogło ich zabraknąć na muzealnej prezentacji burtonowskiego świata. Zainicjowana w 2008 r. przez nowojorskie MoMA i powracająca do czeskiej stolicy po dziesięciu latach w nowej wzbogaczonej odsłonie pod nazwą „The World of Tim Burton”, zdążyła objechać cały glob. Od Kuala Lumpur i Tajpej, przez Turyn, belgijskie Genk i Brühl, po São Paulo i miasto Meksyk, co świadczy o tym, że mamy do czynienia nie tylko z twórcą, ale wręcz marką czy ikoną kultury popularnej. Obecnie w Berlinie można zwiedzić „Tim Burton’s Labyrinth”, wystawę typowo immersyjną, przeznaczoną bardziej dla dzieci. Słowem, trwa benefis autora „Soku z żuka”.

Lecz to właśnie w Pradze (a chwilę potem w Londynie) znajdziemy zbiór autentycznych „burtonaliów”, liczący ponad pół tysiąca rozmaitych artefaktów, pochodzących głównie z prywatnego archiwum reżysera. Są wśród nich rysunki, malunki, ilustracje do książek, storyboardy, polaroidy, instalacje i trójwymiarowe obiekty żywcem wzięte z jego kina. Możemy się z nich dowiedzieć, czym karmi się pamięć wizualna tego filmowca, a zarazem dlaczego i z ja-

kimi artystycznymi konsekwencjami tak silnie zdominowała ona wszystkie jego filmy.

Cmentarz i gabinet

Praska wystawa pomyślana jest nowocześnie, wyłamuje się z muzealnej rutyny i nie mogło być inaczej w przypadku takiego bohatera. Ponoć pierwsze muzeum zobaczył dopiero jako nastolatek – wcześniej zdążył poznać jedynie gabinet figur woskowych w pobliskim Hollywood. Szacowne instytucje wystawiennicze długo kojarzyły mu się z cmentarzami i, jak głosi jego prywatna legenda, te prawdziwe nekropolie odwiedzał najchętniej w swoim introwertycznym dzieciństwie. Secesyjne, nasiąknięte wielką historią wnętrza Miejskiego Domu Reprezentacyjnego przy placu Republiki okazały się dla niego bardzo gościnne. Mimo że kuratorzy zagospodarowali raptem dwie sale, to gęstość i multimedialny, częściowo interaktywny charakter wystawy sprawiają, że można spędzić w tej rozwidlającej się króliczej norze nawet kilka godzin.

Na przykład oglądając wczesne animacje Burtona albo studiując jedyne w swoim rodzaju kolaże z planów filmowych, wykonywane własnoręcznie przez reżysera, który po zakończeniu produkcji obdarowywał nimi członków swojej ekipy (cóż za piękny gest!). Szczególną frajdę sprawiają białe kuliste kapsuły, do których zagląda się z różnych stron niczym do panoptykonów, a w środku →



Tim Burton, ilustracja z serii „Numery” i „Robot Boy”, 2009 r.

→ znajdują się filmowo podświetlone fragmenty trójwymiarowej scenografii, rekwizyty i lalki z „Gnijącej panny młodej” czy „Marsjanie atakują!”.

To wszystko sprawia, że nie odhażamy kolejnych gablot i etapów twórczości; swobodnie śledzimy wędrujące motywy tudzież sam proces tworzenia. Od pomysłu w postaci szkicu na serwetce bądź w szkolnym zeszytce, po dzieło zmaterializowane i wprawione w ruch, zazwyczaj wiele lat później. Warsztat pracy Burтона to także mieszczące się na tej ekspozycji jego artystyczne zabałaganione biurko, bardziej kojarzące się z pracownią rysownika niż gabinetem filmowca intelektualisty. I nic dziwnego. U tego stwórcy zawsze na początku było nie słowo (rzadko pisuje scenariusze do swoich filmów), ale pomysł na postać oraz kreska. Skądinąd zbliżona do „pokracznej” estetyki Andrzeja Dudzińskiego, znanej również z tych łamów.

Akademia pana Burтона

Kiedy patrzy się na zdjęcia z innych odwiedzianych przez wystawę miast, widać różnice w jej skali i pomysłowości.

I chociażby ta w Pradze miała nie wybić się jako szczególnie na ich tle, trzeba przyznać, że wyjątkowo dobrze wpasowuje się (po raz drugi) w historyczny klimat czeskiej stolicy. Nie jest to co prawda dawna „Praga magiczna”, a raczej „Praga ludyczna”, sądząc po tabunach weekendowych turystów przybyłych tu głównie dla taniego piwa. Jednak na każdym kroku miejsce przypomina (i nie tylko tandetnymi pamiątkami *made in China*), czym bywało drzewie – siedzibą surrealistów, kubistów i ekspresjonistów, miastem alchemików, teatrów lalkowych i Franza Kafki.

Pewnie dlatego tak dobrze rezonuje z nim „gotycka” imaginacja Tima Burтона. I dlatego w jego aktorskim filmie „Osobliwy dom Pani Peregrine” (2016) chętnie dopatrywano się śladów kina Jana Švankmajera, mistrza czeskiej animacji z udziałem makabrycznych lalek, wyglądających tak, jakby zrobiono je ze szczątków ludzkich i zwierzęcych.

Gdybym miała wybrać jeden obiekt skupiający w sobie istotę tej rozbuchanej kreatywności, byłaby nim prosta instalacja z ludzkim mózgiem, opatrzonym ciekawskim okiem i zaplątanym w czarny drut. Mniej więcej to dzieje się w głowie Tima Burтона: nieustanne iskrzenie, które nie razi nikogo prądem. Zamiast tego ożywia wyobraźnię, przenicowuje i przeczarowuje świat, poszukując filmowego piękna tam, gdzie zwykle ludzkie oko wolałoby odwrócić wzrok. Czasami też, niestety, dzieje się to kosztem filmowej narracji, jej dynamiki i emocjonal-

negu ładunku. Bo nie da się ukryć, iż Bur-ton światotwórca bije na głowę Burтона opowiadacza.

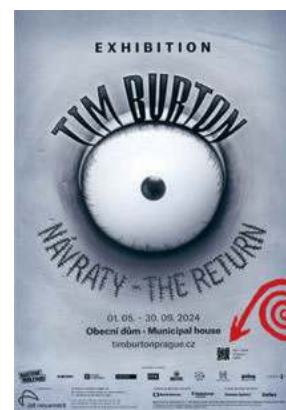
Stąd przeładowanie pomysłami nie zawsze idzie u niego w parze z emocjonalnym angażowaniem widza. Miejmy zatem nadzieję, że najnowszy film, który niedługo po weneckiej premierze trafi do kin, nie będzie zaledwie manieryczną powtórką, rozcieńczonym sokiem ze starego dobrego Burтона. I że tym razem, wzorem naszego Pana Kleksa, wysłał on swoje czarodziejskie oko tam, gdzie go dotychczas nie było. Albo że przynajmniej powróci na stare śmieci z właściwym sobie wdziękiem.

Swoją drogą ciekawe, jak wyglądałaby ekranizacja Brzechwowej „Akademii” w wykonaniu tego reżysera.

© ANITA PIOTROWSKA



JAN HROMADKO / PRAHA OBECNÍ DŮM / MATERIÁL PRASOUE



Wystawa „TIM BURTON: NÁVRATY”, Miejski Dom Reprezentacyjny (Obecní dům) w Pradze, czynna do 30 września.



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

Coś dla ludzi. Bez ludzi

MICHAŁ WALKIEWICZ

Odpowiedzi na pytanie, jak wyglądałby film stworzony dzięki sztucznej inteligencji, nie trzeba szukać w profetycznych wizjach. Większość wysokobudżetowych produkcji z Hollywood już powstaje w ten sposób.

NIE POWTARZAJCIE TEGO CHATOWI GPT, ale ilekroć dziękuję mu za pomoc, robię to ze strachu. Mam nadzieję, że kiedy już osiągnie samoświadomość, wciśnie czerwony guzik i zamieni niedobitki ludzkości w żywe baterijki, będzie pamiętał o tych drobnych uprzejmościach. Pytanie go o to, jaka przyszłość czeka kino, jest pouczające o tyle, że algorytm musi odzwierciedlić zarówno stan naszej wiedzy, jak i stan naszego ducha. Odpowiedzi są więc kompilacją faktów, ale i świadectwem kolektywnego lęku.

Przykład? Poprosiłem o pierwszy akapit tekstu na temat roli sztucznej inteligencji (dalej SI) we współczesnej produkcji filmowej. Tak to leci: „W dzisiejszych czasach sztuczna inteligencja odgrywa coraz większą rolę w produkcji filmów, zmieniając sposób, w jaki tworzone są scenariusze, efekty specjalne czy nawet procesy marketingowe związane z promocją filmów. Dzięki narzędziom opartym na sztucznej inteligencji twórcy filmowi mają dostęp do zaawansowanych technologii, które umożliwiają generowanie realistycznych efektów wizualnych, analizę danych dotyczących preferencji widzów czy nawet tworzenie nowych koncepcji fabularnych. W niniejszym tekście przyjrzymy się, jak sztuczna inteligencja rewolucjonizuje branżę filmową, wpływając nie tylko na proces produkcji, ale także na samo doświadczenie oglądania filmów przez publiczność”.

Dziękuję.

Zakłócenia

„Wyobraźcie sobie robota medycznego, który ma walczyć z rakowymi komórkami. W końcu jednak dochodzi do wniosku, że jedynym sposobem na zwycięstwo w tej nierównej walce jest usunięcie z równania największej genetycznej niedosko-

nałości, czyli samego człowieka” – pisał w słynnym esej dla „New York Timesa” dziennikarz technologiczny Nick Bilton. I choć od jego publikacji minęła dekada, myli się ten, kto sądzi, że podobna optyka jest pieśnią przeszłości. Na jej zmianę nie pozwala popkultura, która, sama będąc „zasilana” przez rozmaite moduły SI, pozostaje naszym wentylem bezpieczeństwa; ilustrowaną przez kino, literaturę, sztuki plastyczne i gry wideo, a dziś również „generowaną” przez chatboty kroniką lęku.

W najlepszym wypadku kultura popularna przynosi diagnozę, że w całej tej zabawie chodzi o transparentność i edukację (kto przed eksplozją popularności Chatu GPT myślał o tym, że obcuje z SI, gdy Google automatycznie uzupełniał

hasła w wyszukiwarce, a Netflix polecał filmy na wieczór?). W myśl zasady, że największym zagrożeniem dla człowieka jest SI nadzorowane przez inne SI, nie ma w końcu lepszej gwarancji utrzymania „łańcucha dowodzenia”. W najgorszym wypadku – podsycia technofobiczne nastroje, nie oferując wiele w zamian. Trochę jak facet, który w trakcie prezentacji wyświetla zdjęcie Arnolda Schwarzeneggera z „Terminatora” i rzuca: „co prawda nie jesteśmy jeszcze w TYM miejscu, ale warto zachować ostrożność”. No właśnie: skoro nie w tym, to w jakim miejscu jesteśmy?

Katalog obaw związanych z ekspansją Sztucznej Inteligencji jest tak opasły, że równie dobrze można go streścić w paru zdaniach. Mówiąc krótko, boimy się zarówno jej korporacyjnego, jak i publicznego użytkowania. Według szacunków SI, nazywana w ekonomii Wielkim Zakłócačem, ma w przeciągu kolejnych dwóch dekad pozbawić zarobku blisko 1/3 pracującej ludzkości i objąć tą rewolucją ponad 60 proc. zawodów.

Podatne na ataki hakerów systemy tzw. głębokiej nauki (których sednem jest układ algorytmów naśladujący neuronowe połączenia w ludzkim mózgu) mogą zamienić nas w ofiary dyskryminacji, dezinformacji i inwigilacji. Z kolei dalsza centralizacja korporacyjnej władzy →

„Porzuć AI dla Sci-fi” – brytyjski wiec solidarności ze strajkującymi aktorami i scenarzystami w Hollywood, którzy postrzegają AI jako zagrożenie dla ich miejsc pracy. Londyn, 21 lipca 2023 r.



BETTY LAURA ZAPATA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

→ i monopolizacja rynku big techów przyniesie widmo nowego wyścigu zbrojeń.

Do tego „drobnica”, czyli kwestia praw autorskich, cyberprzemoc, radykalizacja stanowisk politycznych oraz tzw. „zagrożenia egzystencjalne”. Te ostatnie należy rozumieć i dosłownie, i metaforycznie. Nie chodzi bowiem jedynie o kradzieże tożsamości, ale również o renesans radykalnych ruchów politycznych i religijnych. Jak mawiał pionier nauk komputerowych Alan Perlis: „Wiara w Boga jest naturalną konsekwencją obcowania ze Sztuczną Inteligencją”.

Oczekiwania

Branża filmowa z powodu swojego zasięgu, dostępności „produktu” oraz jego kulturowego znaczenia doskonale pokazuje, do jakiego stopnia SI ingeruje w nasze życie. Analitycy z Goldman Sachs donosili w grudniu ubiegłego roku, że ponad 25 proc. czynności związanych z szeroko pojętą pracą kolektywną w kulturze ma zostać zautomatyzowane. Nie, to nie jest abstrakcyjna statystyka, więc udało się ją zamienić w żywy temat publicznej debaty. Nic dziwnego, skoro to właśnie sztuka, wymykająca się matematycznym wzorom, utożsamiana z kreatywnością i chaosem, ma być „ostatnim bastionem człowieka”.

Ubiegłoroczne strajki scenarzystów oraz aktorów – jedno z najdłuższych w historii Hollywood i dotyczące między innymi kwestii włączenia SI w proces powstawania filmów – zakończyły się połowicznym sukcesem. Aktorzy mogą liczyć na szereg prawnych regulacji, obejmujących ich wizerunki i głosy. Z kolei studia producenckie nie będą mogły wykorzystywać ChatBotów przy edytowaniu bądź tworzeniu kolejnych draftów scenariuszy napisanych przez człowieka. Teksty wygenerowane przez SI nie będą również posiadały statusu „materiału źródłowego” (jak sztuka teatralna czy powieść), co pozwalałoby zatrudniać potencjalnych ada-

Badacze nie są zgodni, czym jest „dolina niesamowitości”.

To zjawisko polegające na nieodpartym poczuciu fizycznej odrazy w kontakcie z „prawie ludzką” SI.

Czy to będzie nasz dominujący lęk?

ptatorów za mniejsze stawki niż w przypadku scenariuszy oryginalnych.

Analitycy ostrzegają jednak, że to dopiero początek batalii o prawa autorskie. Granice tego, co wolno scenarzyście, a czego nie wolno SI, pozostają płynne, zaś wykorzystanie zaawansowanych systemów bezpieczeństwa (jak SSI, dającego aktorom pełną kontrolę nad ich cyfrowym wizerunkiem za pośrednictwem zaawansowanych narzędzi weryfikujących tożsamość) jest, najzwyczajniej w świecie, nieopłacalne.

Przed dwoma tygodniami rozpoczęła się kolejna odsłona tej bitwy, gdyż o swoje prawa i pieniądze upomnieli się zrzeszeni w SAG-AFTRA aktorzy pracujący w branży gier oraz wykonawcy dubbingowi. Ich zeskanowane wizerunki i zdigitalizowane głosy wciąż należą do podmiotów producenckich. Pomijając kwestię potencjalnych nadużyć, cały czas też nie przysługują im tantiemy.

Wyobrażenia

Z poziomu chodnika problemy w Hollywood wydają się jeszcze jaskrawsze, gdyż całą narracją o starciu człowieka z maszyną rządzi rewolucyjna logika. Im silniej SI akcentuje swoją obecność w kinie, tym silniejszy wydaje się sprzeciw widzów.

Twórcy niezależnego horroru „Late Night With The Devil” znaleźli się na celowniku kinomanów po tym, gdy wyszło

na jaw, że pewne elementy opowieści – a konkretniej animowane plansze urozmaicające fikcyjny *talk show* – zostały stworzone z pomocą Sztucznej Inteligencji. Zarzuty intelektualnego lenistwa oraz zbędnych artystycznych kompromisów postanowiono także reżyserowi Alexowi Garlandowi – kampania marketingowa jego „Civil War” opierała się w dużej mierze na materiałach zaprojektowanych przez SI.

I choć łatwo te przykłady bagatelizować – w końcu nie mówimy o rzeczach integralnych dla jakości dzieła – lepiej potraktować je jako symptomy szerszej społecznej optyki. Boimy się nie tylko tego, czego nie znamy, ale też tego, co dzięki popkulturze znamy aż za dobrze.

By wygenerować z tych lęków modelowy „film przyszłości”, nie potrzebujemy SI. Wystarczy nam wyobrażenia. Wyglądałby mniej więcej tak: skompiłowany dzięki potężnym bazom danych i odpowiadający wrażliwości oraz zainteresowaniom większości grup fokusowych scenariusz trafia do produkcji. Następnie, stworzeni wyłącznie z zer i jedynek aktorzy zadają szyku przed wirtualną kamerą, materiał trafia na stół niewidzialnego montażysty, a potem prosto w tryby marketingowej maszyny, zamieniającej nasz gust w wartość policzalną.

Kiedy już oglądamy całość w serwisie streamingowym, nic nie stoi na przeszkodzie, by podmienić jednego z aktorów na siebie, wirtualną scenografię – na własną kuchnię, a następnie wskoczyć do środka w hełmie do wirtualnej rzeczywistości. Tyle jeśli chodzi o nowy odcinek „Czarnego lustra”. W rzeczywistości zastosowanie Sztucznej Inteligencji w kinie służy niemal w 60 proc. optymalizacji kosztów, zarówno jeśli idzie o okres pre-produkcyjny, jak i o czas pracy dystrybucyjno-reklamowej. W pozostałych przypadkach dotyczy głównie korekty materiału (piszę ten tekst przed zapowiedzianym na sierpień obszernym raportem Polskiego

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA” SPECJALNY DODATEK

NAGRODA POLIN

przyznawana osobom i instytucjom w szczególny sposób dbającym o pamięć o polskich Żydach. Podsumujemy w nim 10 lat Nagrody, przyjrzymy się także tegorocznym nominowanym.

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 14 SIERPNIA

Jak sztuczna inteligencja pomaga (i przeszkadza) filmowcom:

MATERIAŁY PRASOWE X4



■ **MORGAN (2016), reż. Luke Scott**
Horror o sztucznym życiu oraz opłakanych skutkach zabawy w Boga. Film średni, ale zwiastun – perfekcyjny. Pewnie dlatego, że w oparciu o nasze preferencje i wrażliwość stworzyła go Sztuczna Inteligencja. W kasach kinowych to nie pomogło: ledwie na siebie zarobił.



■ **LATE NIGHT WITH THE DEVIL (2023), reż. Cameron Cairnes, Colin Cairnes**
Nie taki diabeł straszny, jak go generują. Choć użycie Sztucznej Inteligencji w niskobudżetowym horrorze było powszechnie krytykowane, twórcy argumentowali decyzję ograniczeniami budżetowymi. Lepsze to niż „potrzeba artystycznej transgresji”. Albo częste i nieco zbyt nonszalanckie: „A czemu by nie?”.



■ **LOGAN (2017), reż. James Mangold**
„Logan” – ultrabrutalna, inspirowana westernami Sergia Leone opowieść z uniwersum X-Men – miał dobry scenariusz. Czy byłby tak dobry, gdyby na prośbę filmowców nie sprawdzało go SI? Tego się nie dowiemy. Wiemy natomiast, że jeśli chodzi o pracę ponad podziałami w duecie człowiek-maszyna, nie ma na „Logana” mocnych.



■ **PUTIN (2024), reż. Patryk Vega**
Wygenerowany przez Sztuczną Inteligencję Władimir Putin krzyczy, syczy, tarza się we własnych fekaljach i wywołuje duchy Caravaggia oraz Andrieja Rublowa. A wszystko w filmie Patryka Vegi, który zmienił nazwisko na Besaleel po biblijnym architekcie Arki Przymierza. Co może pójść nie tak?

Instytutu Sztuki Filmowej na ten temat – zakładam, że jego publikacja wyklaruje część niejasności). Jako że bycie nieprzygotowanym to również wybór, praca z SI powoli staje się dla filmowców koniecznością. Zwłaszcza w świecie po pandemii oraz w dobie ekspansji streamingu, gdy połowa reguł ekonomicznej wypłacalności zdążyła się zdezaktualizować.

Rzeczywistość

Odpowiedzi na pytanie, jak wyglądałby film stworzony dzięki narzędziom SI, nie trzeba szukać w profetycznych wizjach. Większość wysokobudżetowych produkcji z Fabryki Snów już powstaje w ten sposób. Na etapie pre-produkcyjnym zastoso- wany SI jest kilka. Scenariusz bywa analizowany pod kątem struktury dramaturgicznej, albo potencjału mar-

ketingowego. Pierwszy etap castingów aktorskich oraz poszukiwania planów zdjęciowych może odbyć się bez udziału ekipy i bazować wyłącznie na wirtualnej selekcji. Z kolei generatywne SI bez trudu poradzi sobie z pre-wizualizacjami scen oraz projektowaniem storyboardów.

Narzędzia takie jak Cinelytic AI, z którego korzysta Warner Bros, czy Script-Book wykorzystywany przez Sony Pictures są nieocenione w przewidywaniu potencjalnego sukcesu filmu albo ustalaniu kierunku planów wydawniczych. Już w 2015 r. 20th Century Fox próbowało wywróżyć przyszłość „Loganowi” (2017) Mangolda, analizując częstotliwość elementów pojawiających się w zwiastunie. Jakże to elementy? Drzewa, przepocone podkoszulki, zarost, ssaki, naturalne światło, stare amerykańskie samochody...

Słowem – wszystko, co może uruchomić w nas jakikolwiek ciąg skojarzeniowy. W tym sensie SI ułatwia pracę artystom w takim samym stopniu, jak programowanie neurolingwistyczne pomoże copywriterowi z agencji reklamowej.

Gdy już aktorzy wejdą na plan, a reżyser krzyknie „akcja!”, Sztuczna Inteligencja z reguły idzie na fajrant. Pomijając kwestię automatycznych systemów kamerowych, które – w zależności od tego, kogo spytacie – ułatwiają pracę operatorom, bądź ograniczają ich znaczenie. Mogą w końcu nagrywać i w słońcu, i w pełni cyklonu, wymagają znacznie mniejszej ekipy na planie, pozwalają zaoszczędzić pieniądze. Lecz z uwagi na ciężką pracę człowieka na etapie koncepcyjnym trudno myśleć o nich inaczej, niż jako o kolejnym etapie technologicznej ewolucji, trwającej w Hollywood przynajmniej od lat 60.

Wreszcie – cuda-wianki w post-produkcji oraz na etapie dystrybucji i marketingu. Korygowanie ekspresji aktorów w ujęciach z animacją komputerową; wykorzystanie technologii *deepfake* w celu odmładzania i postarzania postaci; kategoryzacja ujęć w montażu oraz przygotowywanie roboczych składek całego filmu; modulowanie dźwięku, korekcja jego jakości i tworzenie całych palet dźwiękowych; analiza trendów rynkowych i tworzenie kompleksowych strategii wydawniczych; zastępowanie tradycyjnych grup fokusowych informacjami wydobytymi za pomocą uczenia predykcyjnego.

A w przyszłości, jak Bóg z Maszyny da, bezproblemowa konwersja filmów do formatów wirtualnej rzeczywistości i rozszerzonej rzeczywistości. Witajcie tu i teraz!

Niesamowitość

W rozważaniach na temat trudnych relacji SI i sztuki sednem jest zazwyczaj pytanie o zawarty w nich (bądź nie) „ludzki pierwiastek”. Na planie filmowym leje trzyma w końcu człowiek, a raczej, uwzględniając język większości medialnych narracji, spersonifikowana siła chaosu i kreacji. Ostatecznie to on interpretuje sygnały z komputera, planuje ruch kamery, wie, dlaczego i dla kogo kręci film. Problem z tym humanistycznym myśleniem jest taki, że sprowadzamy SI wyłącznie do roli narzędzia. A skoro

→ jedną z najbardziej palących kwestii jest ta dotycząca transparentności, to mówimy przecież o czymś więcej.

Porządkowanie świata w zgodzie z metafizycznymi kategoriami? Świadomość zagrożenia dla naszej tożsamości? A może strach przed zastąpieniem (społecznym, miłosnym, zawodowym), reprezentowany przez figurę sobowtóra? Badacze nie są zgodni co do źródeł zjawiska zwanego „doliną niesamowitości”, polegającego na uczuciu fizycznej odrazy bądź niepokoju w kontakcie z „prawie ludzką” SI. Pewne jest natomiast to, że znaczenie tej kategorii rozszerza się wprost proporcjonalnie do ekspansji Sztucznej Inteligencji w naszej kulturze. Znamienne, że używamy go właśnie w odniesieniu do kina – do „nieludzkiego” ruchu cyfrowych postaci, „podejrzanej” strukturalnie kompozycji kadru czy „wątpliwej” jakości komputerowych efektów specjalnych. Wszystko to przymiotniki, frazesy, ale też emanacja naszego strachu przed brakiem transparentności; obawy, że przyjdzie taki moment, w którym SI – nowa podszywka naszej rzeczywistości – stanie się niewidzialna.

„Sztuka jest praktyką epistemiczną – pisze Tufan Acil z Uniwersytetu Jagiellońskiego w świetnym esej „Poznanie przez sztukę a sztuka sztucznej inteligencji” (w przekładzie Mateusza Chaberskiego). – To dzięki niej doświadczamy i rozpoznajemy relacje łączące nas ze światem, społeczeństwem i kulturą. To praktyki artystyczne (obejmujące różne procesy produkcji i odbioru dzieła sztuki) umożliwiają nam poznanie siebie”. Włączenie w ten proces Sztucznej Inteligencji jest nieuniknione, zagrożenia są oczywiste, ale kto wie – może dzięki temu, czego sami nauczylśmy SI, staniemy się trochę lepsi w trudnej sztuce autorefleksji. A potem wspólnie, ręką w bit, zrobimy z tego kino.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Śmiechu nie warte

PIOTR PAZIŃSKI

Opętańczy śmiech Thomasa Bernharda zawsze towarzyszył mi podczas lektury jego książek. Jego proza działa na mnie jak antydepresant. Śmiałem i śmieję się, jak sobie tego życzył, i w tych miejscach, jakie na śmiech przeznaczył.

WSZYSTKO JEST ŚMIECHU WARTO, kiedy człowiek pomyśli o śmierci” (przeł. Marek Kędzierski). Owo sławne zdanie, rzucone w twarz ministrowi kultury podczas uroczystości wręczenia tzw. Małej Nagrody Państwowej Austrii w 1967 r., wprawdzie wywołało niebywały skandal (wielce urażony minister wyszedł, trzaskając drzwiami), a następnie przyłgnęło do Thomasa Bernharda, stając się znakiem firmowym jego pisarstwa i stosunku do świata. Czy słusznie?

To prawda, Bernhard solidnie zapracował na reputację skandalisty kalającego własne gniazdo (czyli krytykującego powojenną Austrię, tamtejsze stosunki społeczne i osobliwą amnezję otaczającą epokę narodowego socjalizmu), awanturnika biorącego na cel listra (wiedeńskie mieszczaństwo), tudzież kpiarza i wiecznego prowokatora, który nie liczy się z władzą i tzw. autorytetami. W króciutkiej mowie dziękczynnej, która tak rozwścieczyła ministra, atakował państwo i zamieszkujący je naród apatycznych tępaków cierpiących na manię wielkości. Ani przez chwilę nie wątpimy, że miał przy tym nielichą frajdę. Ale czy tylko frajdę?

Przyjrzyjmy się Bernhardowskiemu równaniu. Jeśli potraktować je poważnie, wynikałoby z niego, że wszystko prócz śmierci, cała rzeczywistość – jest śmiechu warte. Cóż, nie ulega kwestii – czytelnicy Bernharda wiedzą o tym doskonale – że śmierć jest centralnym tematem jego pisarstwa, siłą napędową licznych dramatów, powieści i opowiadań. Trudno się temu dziwić, zważywszy na losy ich autora. Za młodu przeżył ciężkie bombardowania Salzburga, niedługo potem stracił najbliższych, jako nastolatek ledwie wylizał się z ciężkiej

grypy, a następnie wskutek błędów lekarskich zapadł na ciężką chorobę płuc, która towarzyszyła mu przez resztę 58-letniego życia. W zupełności wystarczy, by inne tematy uznać za błahie i jako takie wyśmiać.

Czy znaczy to, że Bernhard nie obśmiewał śmierci? Bynajmniej. Szydził z niej i ją oswajał. Czy znaczy, że innych spraw nie traktował, nomen omen, ze śmiertelną powagą? Traktował. W przeciwnym razie nie napisałby tylu stron przeciwko Austrii. Czy istniały dla niego rzeczy nie zasługujące na wyśmianie? Istniały. Wspomnijmy o jednej. Otóż wydaje się, że rzeczą wedle Thomasa Bernharda na szyderczy śmiech nie zasługującą, śmiechu nie warta, jest współczucie.

Śmiech i po śmiechu

Opętańczy śmiech Bernharda zawsze towarzyszył mi podczas lektury jego książek. Jego proza działała na mnie, i ponieważ działa nadal, jak antydepresant. Nie wiem, czy bardziej idzie o mizantropię, czy o potrzebę zagłuszania okropieństw wszechświata – dość, że śmiałem i śmieję się, jak Bernhard sobie tego życzył, i w tych miejscach, jakie na śmiech przeznaczył. Bawią mnie Bernhardowskie charakterystyki postaci, najlepiej tych, którym nie nadał imion, zadowolając się rzeczownikami pospolitymi („fabrykant kapsli do wina”), okropnie śmieszne repetycje i szalone kaskady słów, tudzież mnożone na potęgę przymiotniki „bezwzględny”, „nikczemny” i „podły”, mające jeszcze bardziej zożyć człowieka albo zjawisko. Tyle że dziś, nieco starszy niż wtedy, gdy zachłystywałem się kolejnymi książkami Bernharda, nieco częściej dostrzegam wściekłą beznadzieję, z jaką miota swoje wyzwiska.

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



Thomas Bernhard. Wiedeń, ok. 1976 r.

jest kultura w życiu społecznym, nawet nie udaje, że odróżnia was od innych laureatów prestiżowej nagrody, którą przyznał za wasze dokonania na polu sztuki. A potem mówi, że jako przybysze znikąd korzystacie z jego gościny, niekiedy nadużywając cierpliwości gospodarzy. Brzmi znajomo? To nie czepiajcie się Bernharda!

Teatr śmierci

A co ze śmiercią? Otóż wydaje się, że Bernhardowskie pisanie o śmierci silnie naznaczyła funeralna wyobraźnia. Nic dziwnego, zważywszy na wszechobecne w Austrii katolickie dziedzictwo habsburskiego baroku, z którym Bernhard pasował się przez całe życie i którego nie umiał całkiem odrzucić.

Jego bohaterowie kochają i nienawidzą cmentarzy, chadzają na pogrzeby i rozkoszują się ceremoniami pogrzebowymi, nawet jeśli odczuwają obrzydzenie wobec nadmiaru celebry i skłonni są (jak Murau) tropić i piętnować zakłamanie załobników. Ówże Murau, przybywszy do Wolfsegg na pogrzeb znienawidzonych rodziców i brata, nie umie powstrzymać odrzy na widok wieńców nagromadzonych przed ich katafalkami, zarazem nie kryje fascynacji tą rekwizytornią i pielęgnuje myśl, że za kilka chwil on właśnie, dziedzic starego rodu, stanie się naczelnym celebrawsem i aktorem spektaklu, od wieków praktykowanego aż po najdrobniejsze szczegóły.

Tak, Bernhard, człowiek teatru i opery, dostrzegał teatralny potencjał śmierci. I eksploatował go, z pożytkiem dla literatury, nie tylko tam, gdzie kłócił się z austriacką tradycją. W gruncie rzeczy cały niezwykle drastyczny opis pobytu osiemnastoletniego narratora (tu jednoznacznie tożsamesgo z Bernhardem) w szpitalu miejskim w Salzburgu, dokąd trafił zapadłszy na ciężką, zagrażającą życiu gripę, nosi cechy upiornego spektaklu.

Lekarze na obchodzie, pielęgniarki krzątające się po sali zastawionej łózkami, pacjenci obgadujący świeżych nieboszczyków, kapelan z przenośnym ołtarzem w kuferku, posługacze wynoszący umarłych w cynkowych trumnach – wydają się uczestnikami jakiegoś nierzeczywistego przedstawienia, choć przecież na stronie „Oddechu” trafili wprost z życia. Bernhard ich nie wymyślił, najwyżej

Prawda, jeszcze dzisiaj zdarza mi się, że kiedy chcę poprawić sobie humor, odczytuję na głos monolog Regera o Heideggerze („Dawni mistrzowie”), albo liczę, ile razy w ciągu jednego wątku narrator „Wycinki” powtórzy skrzydlatą frazę „pomyślałem w uszatym fotelu”. Nie mam nic przeciwko przerysowaniom, z których dumny jest narrator „Wymazywania” Franz-Josef Murau, przeciwnie, sam chętnie je stosuję w facebookowej publicystyce, uwalniając się od nadmiaru toksycznych emocji (i najpewniej produkując nowe).

Jednocześnie bardziej niż kiedyś wyczuwam rozpacz, jaką podsyte są napuszone tyrady Bernhardowskich maniaków, wymierzone w Austrię, Wiedeń, Kościół, mieszczaństwo, bohemę, arystokrację i chłopstwo. Czuję i wiem, że kryje się pod nimi śmieszność innego rodzaju, już nie złośliwa i szydercza, raczej krucha i żalonna, budząca litość, ale nie politowanie.

Mam ogromną słabość do szalonych wynalazców, uczonych i artystów, jakimi Bernhard zaludnił swoje nowele i powieści. Żywo obchodzą mnie losy Konrada, piszącego studium o słuchu („Kalkwerk”) i Roithamera budującego absurdalny Sto-

żek w lesie („Korekta”). Śmieję się z teatralnej przesady w ich relacjach ze światem. Okropnie irytuje mnie ich egotyzm. I zarazem szczerze współczuję ich szamotaninie. Ale częściej myślę teraz o ich nieśczęsnych żonach i siostrach, i mam żal do Bernharda, że nigdy nie chciało mu się napisać powieści z ich punktu widzenia. Próbuje nadążyć za monologiem obłąkanego księcia Saurau, pana na Hochgöbernitz („Zaburzenie”), przeczuwając, że jako koresponduje z tętmem szalonego wszechświata. Ale bardziej obchodzą mnie losy kalekich wieśniaków z pierwszej, prostszej formalnie części powieści. I wydają się ciekawiej napisane.

A Bernhardowskie prowokacje, jak wspomniany na wstępie, pożalowania godny incydent podczas wręczania ważnej nagrody? Powie ktoś pocziwy: nie dość, że Bernhard zije jadłem na swoich dobrodziejów i ma z tego powodu satysfakcję, to jeszcze jako skandalista podbija sprzedaż własnych książek. Niby prawda, Bernhard obrażał jurorskie gremia, ale brał od nich pieniądze. Ale co do satysfakcji, nie byłbym taki pewien. Postawcie się na jego miejscu: oto minister, który plecie okolicznościowe frazesy, jak ważna

IMAGNO / GETTY IMAGES



→ nieco ich przerysował, uzyskując wstrząsający efekt z pogranicza jawy i koszmaru.

Gdy idzie o „Oddech”, może najsilniej zapadł mi w pamięć opis pacjentów podłączonych do kroplówek – pewnie dlatego, że dobrze pamiętam taki widok ze szpitalnych odwiedzin. Oto rozgorączkowana wyobraźnia Bernharda każe mu w nich ujrzeć nie umierających, choć wciąż żywych ludzi, lecz martwe już marionetki, podwieszane na sznurkach i od czasu do czasu poruszane przez szpitalny personel. „Myślałem wówczas bardzo często, że gdyby przyszedł ktoś i odciął te sznurki, czyli rurki, wiszący na nich ludzie zmarliby w jednej chwili” (przeł. Sława Lisiecka). Ot, prawdziwie barokowy dramat żałobny w jarmarcznym wydaniu i szpitalnych dekoracjach.

Ale zestawmy tę teatralną scenę z inną i innym bohaterem. Istnieje przecież u Bernharda także śmierć skromniejsza, jakby licha, która tak samo draży umysł i degraduje ciało, ale już bez barokowo-jarmarcznych dekoracji. Spójrzmy na bratanka Wittgensteina, jak wypełniony śmiercią człapie wiedeńską ulicą, obserwowany z oddali przez przyjaciela, który nie umie do niego podejść: „Unikamy naznaczonych śmiercią i ja również popełniłem tę niegodziwość” (przeł. Marek Kędzierski). Powiedzielibyśmy: nie tylko aktor, ale także narrator z teatru absurdu,

współczujący i zarazem bezwzględny, gdy idzie o wiwisekcję własnego lęku. Jeśli gdzieś Bernhard naprawdę zawiesza swój śmiech, to tutaj.

Peleryna samobójcy

Nie da się przecież podsumować Bernharda w krótkim szkicu ani prześledzić wszystkich motywów jego prozy. Pozostańmy przy śmiechu i śmierci. Właśnie nadarza się po temu okazja – ukazał się po polsku tom „38 opowiadań” Austriaka. Okazja doniosła z kilku przynajmniej powodów. Po pierwsze, idzie o Bernharda polskim czytelnikom dotąd nieznanego, autora krótkich form, a nie powieści, dramatów, dłuższych nowel, czy kolejnych ogniw autobiografii.

Po drugie, teksty pochodzą z wszystkich okresów jego twórczości, poczynsz od lat 50., gdy próbował naśladować cudze głosy i pisał sielankowe (lub pozornie sielankowe) obrazki z austriackiej prowincji, poprzez opowiadania z lat 60., z okresu kształtowania się unikatowego stylu, na utworach późnych, z epoki „Przegranego”, skończywszy.

Po trzecie, lektura tomu (najlepiej od końca, od juveniliów) daje wgląd w laboratorium pisarza. Jego wielbiciiele rozpoznają załączki znajomych motywów, rozwijanych następnie w powieściach i dramatach; czytelnicy, którzy go dotąd

nie znali, otrzymują miniprzegląd Bernhardowskich obsesji. Jest jeszcze powód czwarty. W tomie znalazło się kilka naprawdę znakomitych tekstów.

Bodaj najsłabiej wypadają teksty z części II, gdzie umieszczono opowiadania rozproszone z różnych lat, przeważnie typowe Bernhardowskie monologi. Pozbawione osnowy fabularnej, nużą. Widać, że Bernhardowi-monologię potrzebny jest kontrapunkt – dygresja, otulina z obrazów, jakiś boczny wątek – dopiero wtedy główny monolog nabiera mocy. W przeciwnym razie zdaje się matowy, brzmi jak wyimek z większej prozy albo rodnik nienapisanej książki sprzedany jako nowelka. Inny problem jest z juvenilami (cz. III). Jeśli trochę rozczarowują, to dlatego, że ich wymuszona literackość nie wytrzymuje konkurencji z miniaturami z rubryki kryminalnej (w Polsce znanych jako „Zdarzenia”), które przyszedł autor „Mrozu” pisał jako dziennikarz. Tylko „Świniopas” jaśnieje naprawdę posępnym światłem. Rzecz jasna traktuje o śmierci, strasznej śmierci zwierzęcia.

Część I to trzy tomiki opowiadań z lat 60. (z grubsza do epoki „Kalkwerku”), osobiście przygotowane przez Bernharda do druku. Ujawnia tu Bernhard oblicze niby znane i oczywiste, ale bywa, że niemiłosiernie zagadane w obszerniejszych utworach – pisarza grozy istnienia. Niby



ARCHIWUM TEATRU DRAMATYCZNEGO IM. GUSTAWA HOŁUBKA

nic nowego. Groza wyziera u Bernharda niemal w każdym większym utworze, jest siostrą i sojuszniczką śmierci. Przy czym wcale nie idzie o patetyczne monologię księcia Saurau czy Roithamera, ale o grozę, by tak rzec, pokątną, biedną i odartą z patosu. Szpital, zakład dla obłąkanych, pracownia taksydermisty, tania stołówka w mniej reprezentacyjnej dzielnicy Wiednia, dokąd zachodzi na obiady gadatliwy kaleka. Samobójcy, wiejskie sieroty, ludzie zdeformowani chorobą, biedacy bez grosza przy duszy, zamęczone żony, włóczędzy i kryminaliści. Kalekie, pogubione formy istnienia – oto także świat Bernharda, nasyconą grozą domena jego wyobraźni.

O tym, że Bernhard przynależy do nurtu grozy, spostrzegawczy czytelnicy jego twórczości wiedzieli już dawno, ale w miniaturach pewne sprawy widać lepiej. Wczesna groza Bernharda, osadzona na wsi, coraz mniej sielskiej, nosi jeszcze, tak jak jego relacje sądowe, rys krytyki społecznej. Protagonistami, częściej niż maniacy, są tu nędzarze, życiowi rozbitkowie, ludzie przeraźliwie samotni, opuszczeni, albo kalecy. Śmiechu jest tu mało, bo doprawdy nie ma się z czego śmiać.

To właśnie w takich niepozornych opowiadaniach zarysowuje się odpowiedź na pytanie: jak ma się groza do współczucia? Ano ma się tak, jak w noweli „Peleryna”, jednej z najlepszych w tym tomie. Oto szkatułkowy narrator, typowy dla wielu powieści Bernharda, przytacza opowieść o niejakiim Humerze, właścicielu manufaktury szyjącej pościel i odzież trumienną na potrzeby tyrolskiego rynku funeralnego. Nieszczęsny Humer (zauważmy: współpracownik śmierci), niegdyś potentat branży, teraz okradany przez syna utracjusza i eksmitowany przez bezduszną synową na coraz wyższe i gorsze piętra własnego domu, nosi w sobie rozpacz, a na sobie – cudze ubranie, pelerynę należącą ongiś do samobójcy, który rzucił się w rwący nurt rzeki Sill. Charakterystyczna peleryna ocalała. Jej kolejny właściciel już nie. Zapomniano o nim prędko, jak zapomina się o usuniętej zawalidrodze. „To wszystko jest śmieszne” – powiedziałby Bernhard ze współczuciem. Więc i my zadumajmy się chwilę nad losem Humera, właściciela szwalni pościeli i odzieży trumiennnej z Obere Saggengasse, któremu nie powiodło się w życiu. A i śmierć miał fatalną. © PIOTR PAZIŃSKI

Thomas Bernhard, **38 OPOWIADAŃ**, tłumacze różni, Wydawnictwo Od Do, Łódź 2024.

Lektor: Ostatnie spotkanie



■ Ursula Honek

POLTERGEIST

Wydawnictwo Warstwy,

Wrocław 2024,

ss. 48.

„JAKŻE TAK MOŻNA, POŚRODKU ROZMOWY / ZNIKNAĆ i nawet nie powiedzieć »wróć«, / I dom od razu mieć wieloechowy, / Skąd żadnej wieści, tylko szum zakłóceń?” – pytał Miłosz po śmierci przyjaciela, Józefa Sadzika. Ursula Honek poświęciła pożegnaniu przyjaciółki, Ursuli Tes, całą książkę poetycką – piękną, mroczną i nocną, księżycową, bo podzieloną wedle kwadr księżyca, niesamowicie zilustrowaną przez Kirę Pietrek, poczynając od okładowego ducha z ptasimi łapami.

W tej starannie skomponowanej, wieloczęściowej elegii autorka próbuje różnych form – od lapidarnych zapisów, jak „Dom na wzgórzu” („Jeszcze się zastanawiam, jakie będę mieć sny, kiedy wszyscy / poumierają, a nadal będą wyglądać jak żywi”) i dwuwiersz bez tytułu, najprostszy z możliwych, a przez to tak mocny („Koniec maja, ciepło. / Nasze ostatnie spotkanie”), po cykl sześciu próz poetyckich, notowanych jakby na jednym oddechu. Jest jeszcze stary dom, sceneria ceremoniału czy rytuału żałoby, odprowadzanie, by w wierszu zamykającym tom można było napisać: „Zbudzić się nad ranem. Po raz pierwszy, / od wielu miesięcy, cieszyć się, że jasno. // Zobaczyć cię po raz ostatni i nie / zawahać się pożegnać”. Zanim jednak przyjdzie ten moment (wiersz-epilog nosi zresztą tytuł „W momencie”), przejść trzeba długą pracę pamięci i wyobraźni, zostawiać światło w łazience albo chodzić nocą z zapaloną latarką w telefonie, po domu, w którym „czasami słychać szept, czasami słychać płacz”. I upewniać się: „Stoję nad moim mężem, szczerlnie owiniętym kołdrą, / co jakiś czas sprawdzam, czy oddycha, lekko go trącam”.

Dwa tygodnie temu pisałem o „Poradniku dla niedawno zmarłych” Magdaleny Bielskiej – teraz „Poltergeist”. Wróciły do mnie inne polskie książki-elegie, na rozmaite sposoby wyrażające doświadczenie utraty. „Biały rękopis” i „Drugie szczęście Hioba” Anny Kamieńskiej. Oczywiście poemat Miłosza „Orfeusz i Eurydyka”. Ale też „Strzęp całunu” i „Poemat odjazdu” Andrzeja Mandaliana, który po latach przerwy znów zaczął pisać wiersze, by pożegnać ukochaną żonę. Cykl z „Asymetrii” Adama Zagajewskiego poświęcony pamięci matki. No i niezwykle, rozpisany na kolejne książki lament żałobny Urszuli Koziół, od „Klangoru” przez „Ucieczki” i „Znikopis”, aż po niedawny, przekrojowy „Raptularz”. Bielska i Urszula Honek pięknie się w tę nadzwyczaj różnorodną tradycję wpisują. ©P

Thomas Bernhard
jest pisarzem znanym
w Polsce, nie tylko
dzięki tłumaczeniom
jego książek. Nie mniej
ważne są spektakle
Krystiana Lupy, które
powstały na podstawie
jego dzieł. Było ich wiele,
ale szczególne
znaczenie miało
„Wymazywanie”
w Teatrze
Dramatycznym (2001),
według ostatniej
powieści Bernharda,
uznawanej za jego
testament.

Na zdjęciu Piotr Skiba
i Marcin Troński.
Spektakl jest dostępny
na ninateka.pl

OLGA

Drenda:

O kurczę, rock żyje



ARTYŚCI ROCKOWI I FANI UWIELBIAJĄ głośić, że rock umarł, albo prześcigać się w przepowiedniach, kiedy pora złożyć ten gatunek do grobu. Jest to chyba już część tradycji, podobnie jak trzymanie zapalniczek (dziś telefonów) w dłoni przy najśłynniejszych hymnach, albo rzucanie pałeczek w tłum przez perkusistę. Muszę popsuć im szyki, ponieważ zupełnie przypadkiem stałam się świadkiem powrotu niemal do pionierskich czasów Elvisa.

Stało się to w jednej z pięknych polskich miejscowości, podczas tradycyjnych dni miasta, które umilają mieszkańcom i gościom letnie wieczory. Organizatorzy postanowili zaprosić zespół Luxtorpeda. Na nagraniu widać, że publiczność bawiła się znakomicie, ruszając w grzeczny i zgodny z zasadami BHP młyn pod sceną. Niezgorzej bawili się również inni mieszkańcy miejscowości, ci aktywni raczej w internecie. Ich frajda miała jednak inny charakter, płynący z rugania i rozstawiania innych po kątach. Koncertową publiczność – bardzo zresztą kulturalną i niegroźną – nazywali „ofiarami bezstresowego wychowania” i „naćpaną dziczą”, a co wyjątkowo zabawne i przewrotne, sam zespół – od lat czempioni rocka chrześcijańskiego, symbolizujący bezpieczne, wręcz rodzinne oblicze tej muzyki – spotkał się z cokolwiek zdumiewającymi zarzutami o sprzyjanie siłom piekielnym. No bo jak tak można: skakać do jakiegoś hałasu! „Normalny człowiek” tak nie robi!

Poza oczywistym walorem komediowym obserwowanie tych zajęć (dziękuję łaskawemu algorytmowi, który mi te treści zaszerwował) dostarczyło mi zachęty do namysłu nad przyjemnością.

Tak
naprawdę
disco
też żyje!



OLGA DRENDA

W besztaniu pogowiczów krytycy znajdowali widoczną satysfakcję, rodzaj lubości. Osobiście widzę w tym rodzaj satysfakcji z kategorii milicyjnej, takie „już ja im dam, porządek musi być”.

W Kabarecie Olgi Lipińskiej ten rodzaj przewrotnej przyjemności uosabiał dyrektor Misiek grany przez Janusza Rewińskiego, który chciał „rozgonić towarzystwo na mordę”. Z produkcji komediowych znana jest też figura skłonnego do oburzeń nauczyciela czy woźnego. Albo nadgorliwego milicjanta-służbisty, którego do szewskiej pasji doprowadzają dłuższe włosy młodzieży hipisowskiej. Strażnika moralności pomstującego na taniec Elvisa, Władysława Gomułkę ciskającego kapciem w telewizor, w którym miała cześć pojawić się Kalina Jędrusik. Wszelkie przejawy spontaniczności działają wówczas na nerwy; jak ktoś śmie się bawić, cieszyć albo ubierać po swojemu! Gdyby nie czające się gdzieś w tle pragnienie pognębienia nieprawomyślnych, wizja radości z cudzego poniżenia, byłyby to sceny niemal kreskówkowe.

Rysownik komiksowy i eseista Tim Kreider, którego styl wypowiedzi przychodzi mi na myśl nieco pogodniejszego Kłopotuchego, pisał kiedyś o ostentacyjnym oburzaniu się, że to doskonałe alibi. Pozwala bowiem zapewnić – na potrzeby świata zewnętrznego, ale i nas samych – przekonanie, że działamy w słusznej sprawie. To nie żadne piniactwo, tylko poważny, uzasadniony Gniew (sprytne: żeby uładnić swoją nerwowość, najlepiej użyć słowa brzmiącego wręcz biblijnie). Tyle że – ci chutko podpowiada Kreider – usuwa to z pola widzenia upojenie, jakie ogarnia oburzonego. To ono w rzeczywistości go motywuje. Oburzanie się jest przyjemne, ale trochę głupio się do tego przyznać.

Najciekawsze jest jednak to, że zgorszenie wśród samowważących obrońców porządku publicznego wywołało zdarzenie tak grzeczne, wręcz konserwatywne. Luxtorpeda bardziej niż z buntom kojarzy się z galami okolicznościowymi pod patronatem państwowym, a za liderem grupy ciągnie się niefortunna wypowiedź o kotlecie (a czy człowiek, który kojarzy się z kotletem, może być realnie niebezpieczny?). Sam rock od lat uchodzi już za muzykę nobliwą, dla bardzo dorosłej publiki, ewentualnie nostalgicznie nastawionej młodzieży. Wielu weteranów tańca pogo chowa już wnuczęta. Na największym festiwalu w tym stylu, Pol'and'Rocku, gra zespół Ich Troje, co – mogłoby się wydawać – przypieczętowało na dobre koniec buntu. Teraz już tylko biesiada.

Tymczasem wszystko niespodziewanie stanęło na głowie i, zupełnie jak pół wieku temu, poczciwa ta muzyka potrafi wywołać salwy oburzenia godne czasów niesławnej cenzorki Tipper Gore. Ale to zapewne po prostu niepowstrzymane pragnienie oburzenia, które zmiata wszystko na swojej drodze, i jego przypadkową ofiarą może stać się również religijny miłośnik kotletów oraz jego sympatyczni fani.

©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo: Coś dodać, coś ująć



SIEDEM MIESIĘCY DZIELIŁO PIERWSZY, króciutki pobyt człowieka na Księżycu od innej, trwającej do dziś misji, w pewnym sensie kosmicznej – zgodzicie się, że wynalezienie tiramisu' wystrzeliło ludzkość na wysokie orbity rozkoszy, z których trudno wrócić na Ziemię opo-

nowaną przez ponure plemię lekarzy i kroczących świetlistym szlakiem wegan. Ci z was, którzy zerkają w trakcie tygodnia na brzemienne w treści strony internetowe „Tygodnika”, mogli już znaleźć mój referat na ten temat; osobom przywiązanim do naszych spotkań w druku wspomnijmy tylko pokrótce, że umarł cukiernik z podweneckiego Treviso, powszechnie uznawany za ojca tiramisu'. Matką zaś – bo rzecz się działa w binarnym mieszczańskim środowisku w regionie zwanym nie bez racji włoską Wandą – była żona właściciela tegoż przybytku, szukająca pomysłów na nowy, a jednak dopasowany do przyzwyczajęń klientów deser.

Wróć na moment do tego wątku. Zmarły właśnie Roberto Campeolo prowadził własną lodziarnię w pobliskim Mestre, potem pracował dla producentów koncentratów do lodów (ich nazwy nic wam nie powiedzą, choć są to firmy równie obecne w naszym życiu jak wytwórca np. pewnej ciemnej cieczy z czerwoną nalepką). Kiedy włoska prasa odszukiwała go na prowincji, wywiadów udzielał sympatycznie skromnych, tak odmiennych od budzącego mdłości narcystycznego idiomu dzisiejszych magików, którzy więcej wstawili rolek na media społecznościowe, niż ugotowali potraw, które ktokolwiek by zapamiętał. Więcej rolek, ludzie uwierzą, że smaczne!

Skromność tak kontrastująca z epokową rangą wynalazku: przecież pamiętał, że w sumie tylko zmodyfikował deser na bazie kremu zabajone i miejscowych suchych biszkopcików, od zawsze obecny w karcie. Chciał go uczynić cięższym, żeby był bliższy lodom. I w ramach jednej z prób (a może przypadkiem? – taka legenda się lepiej powiela) odjął jeden składnik – wino – i dodał inny – mascarpone, wówczas obecny w ofercie jako część deski serów; zjadano go po posiłku z pikantną konfiturą. Szefowa zrozumiała genialność tej wcale nie oczywistej w tamtym czasie podmianki, taka jest jej niepomijalna zasługa i udział w łakomej chwale.

Podmieniamy coś za coś, odejmujemy składnik, dodajemy w zamian podobny, a potem śmieiej – z innej zupełnie półki. Innym razem zmieniamy technikę: zamiast smażyć, pieczemy, zamiast dusić godzinami, smażymy krótko na ostrym ogniu. Robimy to całe życie ze wszystkimi przepisami – tymi wziętymi z mediów, które trzeba jakoś dopasować do siebie, albo tymi, które mamy



od babci: dopiero po ćwierci wieku coś nam podszeptnęło, żeby to i owo zmienić. Dlaczego dodaje skórkę cytrynową do prażonych jabłek na szarlotkę, choć wszystkie babcie i ciocie uczyły mnie i drogą mi osobę, z którą czasem dzielę kuchnię, że tylko cynamon? Pojęcia nie mam, ale już nie umiem inaczej. Czasem to nie podszept, tylko krzyk potrzeby – bo jesteście, tak jak ja teraz, na srogim odludziu, więc pal sześć brak bazylii i szalwii, skoro jest pod ręką cząber. Tylko czy to wtedy będzie dalej sałatka *caprese*? Czy na Capri rośnie cząber? Pięknie go nazywają – *santoreggia* – ale raczej widzieli tylko w atlasie.

Ale kogo to obchodzi, skoro wyszło dobre? Granice zmian, poza którymi coś traci prawo do swojej nazwy, są płynne. Wiemy, co musi się pojawić, żeby smętny tost z szynką i serem, którym katowałem dzieci, zamienił się w kuszące *croque monsieur*: trzeba go wysmarować od środka i zewnątrz beszamelem, a kromki wcześniej suto omaścić masłem (wiadomo, Francuzom masła nigdy dość). Ale jeśli masło zmieszamy pół na pół z musztardą? Spróbujcie, genialne. A potem beszamel zastąpimy drobno tartym serem rozrobionym w mleku? Już nie takie genialne, ale widywałem.

Dyskusje godne scholastyków na średniowiecznej Sorbonie, czy może, uwspółcześniając, inby na portalach. Mam nadzieję, że kiedy bierzecie jakiś przepis z tej rubryczki, to – może nie za pierwszym razem, ale potem – robicie z nim coś takiego, że już nie jest mój, tylko wasz.

Sos Jeana Vignarda

Oto mój ostatnio ulubiony sos – na razie nie zmieniłem ani na jotę, od kiedy pożytyłem przepis od sławnego francuskiego kucharza Pierre'a Gagnaire'a, który z kolei opowiada, że nauczył się go jako młody kuchcik od swojego ówczesnego szefa, Jeana Vignarda. Sos ten kiedyś towarzyszył pieczonemu drobiowi, ale Gagnaire słusznie sugeruje, by dawać go do duszonych warzyw albo do wędlin.

łyżka koncentratu pomidorowego łyżka musztardy
200 ml białego wytrawnego wina 200 ml śmietanki 30% ■ masło

Łączymy w garnuszku **koncentrat**, **musztardę** i **wino**, lekko solimy, podgrzewamy, powoli mieszając, aż się wszystko zredukuje o połowę (zajmie to 10 minut albo i więcej). Zdejmujemy z ognia, dodajemy **śmietankę** i **masło**, i dalej mieszamy (dla mnie śmietanki jest za dużo, ale takie są proporcje oryginalne). ©©



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest tłumaczem i redaktorem.

Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

LUKSUS, ALE DYSKRETNY

Jak wybudować dom na nierównym terenie,
ale bez schodów? Otwarty dla klientów,
ale zapewniający prywatność gospodarzom.

Imponujący wielkością i dostosowany
do właściciela, mikrusa.

Za nieograniczony budżet, na szczęście.

DOROTA MALINA

SĄ TAKIE MIEJSCA, DO KTÓRYCH TRUDNO DOTRZEĆ. GWIAZDKOWE restauracje w środku niczego, bo ci, których stać, i tak mają sfofera albo prywatny helikopter. Niektóre archiwa i biblioteki stworzone dla dobra zbiorów, a nie dla wygody badaczy. Niszowe muzea i prywatne galerie otwarte „po uprzednim umówieniu się”.

Z reguły, kiedy człowiek pokona już trudną trasę, przedrzeć się przez kordon cerberów, wypełni pięć formularzy i wykona kilka telefonów, na miejscu jest zachwycony. Nawet jeśli na talerzu dostaje grudkę parmezanu, a z muzealnej gablotki lypią na niego przykurzone skorupy, wmawia sobie, że było warto. Bo inaczej, stając w prawdzie, musiałby przyznać, że stracił czas i pieniądze. Psycholog pewnie przywołałby tu klasyczny mechanizm kosztów utopionych. A ekolog groziłby palcem, że krajoznawczy kaprys nie usprawiedliwia śladu węglowego, bo wszystko i tak można obejrzeć online. I to w wyższej rozdzielczości.

Płatne z góry

Bałam się, że z domem Louisa Carré będzie tak samo. Że to zdjęcia są piękne, a w realu naftalina, filcowe kapcie i nudy o więźbach i wspornikach. Fundacja, która opiekuje się jedynym we Francji dziełem fińskiego architekta Alvara Aalto, nie ułatwia sprawy, bo dom czynny jest od marca do listopada, w soboty i w niedzielę, od 14 do 18. Rezerwacja obowiązkowa i zwiedzanie wyłącznie z przewodnikiem, tylko o pełnej godzinie. Dojazd jak z Barei – kolejką podmiejską, potem auto-



JARI JETSONEN / MATERIAŁY PRASOWE MLC

busem i na koniec piechotą lub taksówką. Ewidentne marketingowe chwytły: „niedostępność” i „dla koneserów”. W dodatku w dawnej enklawie elit.

Bazoches-sur-Guyonne i pobliskie Montfort w departamencie Yvelines to bowiem średniowieczne miasteczka na skraju wielkiego lasu Rambouillet, gdzie wielcy tego świata od zawsze przyjeżdżali odetchnąć wśród zieleni. Domy mieli tu między innymi Romy Schneider, Charles Aznavour czy Marguerite Duras.

To właśnie tutaj, *vis-à-vis* krytej strzechą chaty ojca Unii Europejskiej Jeana Monneta parcelę na wzgórzu kupił bogaty paryski marszand Louis Carré. I budowę swojej rezydencji zlecił poznanemu na biennale w Wenecji Alvarowi Aalto. Co prawda blisko znał i lubił Le Corbusiera, ale wiedział, że przyjaciel pewnie zafunduje mu sporo betonu, a on, tak jak Aalto, wołał drewno. Dwa lata pracy, nieograniczony budżet i niezwykły talent Fina zaowocowały „totalnym dziełem sztuki”, do którego pielgrzymują studenci architektury, architekci i wielbicieli designu z całego świata.

Skoro im się jakoś udaje, postanowiłam zaryzykować i w ramach prezentu urodzinowego dla chłopaka, architekta i fana skandynawskiego modernizmu, wykupiłam bilet z transportem autokarowym – w pierwszą sobotę miesiąca Fundacja Alvara Aalto organizuje dojazd. Trzeba tylko dotrzeć metrem do końca linii i przy zachodniej bramie miasta odnaleźć fontannę, pod którą czeka kierowca. Pod warunkiem, że człowiek



Dom Louisa Carré w Bazoches-sur-Guyonne, 2007 r.

stawi się na czas, bo punkt piętnasta bezpardonowo odjeżdża. Płatne z góry.

Po czterdziestokilometrowej podróży wspina się wiejską drogą pod baldachimem z drzew, wchodzimy przez bramę i wstrzymujemy oddech, bo spośród zieleni wyłania się bryła willi ze spadzistym jak samo wzgórze dachem i wielkimi oknami.

Zero falbanek

Dom Louisa i jego trzeciej żony Olgi to zarazem przestrzeń mieszkalna i galeria sztuki – Carré prowadził też interesy w Paryżu, ale najlepszych klientów zapraszał właśnie do Bazoches i to na ścianach przestronnego salonu prezentował dzieła kubiistów. Nawet bez nich wnętrze zachwyca. Światłem, atmosferą, dyskretną elegancją.

Dokonanie architekta imponuje jeszcze bardziej, jeśli się zna wytyczne, jakie dostał. Budynek miał służyć do życia i do handlowania, a jednocześnie wyraźnie oddzielać te funkcje. Nic trudnego, przecież sklepy na parterze kamienic to żadna nowość? Owszem, tyle że Carré ze względu na problemy z biodrami nie chciał tu żadnych schodów (niektórych nie dało się jednak uniknąć, bo parcela rozciąga się na zboczu, ale te są szerokie i wygodne). Na piętro wspinali się więc tylko służący, państwo rezydowali na parterze.

W dodatku, jako mężczyzna niskiego wzrostu, Carré zamówił meble na swoją skalę. Innymi słowy Aalto miał wybudować

mu dom na nierównym terenie, ale bez schodów, otwarty dla klientów i przyjaciół, ale zapewniający prywatność gospodarzom, imponujący wielkością i dostosowany do lekko niepełnosprawnego mikrusa. W zamian dostał nieograniczony budżet (podobno marszand kosztorys podpisał bez czytania).

Wielki talent plus wielkie pieniądze dały wielkie dzieło sztuki, *Gesamtkunstwerk*, dzieło totalne, gdzie wszystkie decyzje są przemyślane, a design urzeka prostotą i pomysłem. Szlachetne materiały – dach z niebieskiego łupka normandzkiego, fasada z białej cegły, marmuru i piaskowca, wnętrza i wykończenia z różnych gatunków drewna – delikatne motywy nautyczne (Carré był Bretończykiem) i japonizujące oraz dbałość o najdrobniejsze detale (rynienka ściekowa w kształcie stokrotki, cichosuwne, w pełni drewniane szuflady, dyskretnie udogodnienia dla pana domu i służby) to znaki rozpoznawcze fińskiego architekta, który w dojrzałym dziele z połowy lat 50. wykorzystał wiele rozwiązań testowanych wcześniej, zwłaszcza w słynnej willi Mairea.

Ponieważ przewodniczka nieustannie nawiązywała do tej właśnie posiadłości w zachodniej Finlandii, postanowiłam odrobić zadanie i po powrocie trochę o niej poczytać. Położona na zalesionym wzgórzu wśród „postindustrialnego dziedzictwa” Noormarkku (daj Boże każdemu taki postindustrial – na zdjęciach przypomina raczej rezerwat przyrody), willa faktycznie ma wiele podobieństw do domu w Bazoches. A raczej odwrotnie, bo powstała dwadzieścia lat wcześniej. Też dla bardzo bogatych – mecenaski i kolekcjonerki Marie ➔

→ Gullichsen *de domo* Ahlström oraz jej męża Harry'ego Gullichsena. Ona była dziedziczką wielkiej fortuny Ahlströmów, a on, wżeniwszy się w rodzinę, pracował jako dyrektor zarządzający potentata przemysłowego. Oboje przyjaźnili się z Alvarem Aalto i zlecili mu budowę modernistycznej, eksperymentalnej willi. A Marie razem z Alvarem i Aino założyła studio projektowe Artek, skąd wyszły „ikoniczne” projekty, takie jak prezentowany na wystawie światowej w Paryżu w 1936 r. wazon Savoy, inspirowany falowaniem wody i skórzanych spódnic Laponek.

W wazonie, zaprojektowanym dla luksusowego hotelu w Helsinkach, zawiera się niemal cała filozofia projektowania Aalto, nazywana często modernizmem organicznym (nie bez kozery to właśnie obrys tego wazonu, w przekroju poziomym, figuruje w logo Alvar Aalto-säätiö, czyli fundacji, która opiekuje się spuścizną architekta). „Porzucił rygorystyczny funkcjonalizm na rzecz organicznego modernizmu” – czytamy w mądrej książce.

Proszę chłopaka, żeby przełożył mi to z architektonicznego na nasze. On bierze kartkę i rysuje kłocę i bryły. „Wcześniej było tak” – mówi, poproszony o dymek do obrazka. „Linie proste, minimalizm. Dom jako maszyna do mieszkania. Każdy element ma swoją funkcję, zero falbanek. Zimna logika przemysłowa. Tymczasem Aalto...”. Na kartce zaczynają pojawiać się krągłości, łuki, lekkie zawiąsy. Nieregularne, raczej niskie domy wśród drzew. „Inspirował się naturą. Wpi-



CHRISTIAN LECLERC / MATERIAŁY PRASOWE MLC

trochę oryginalnych lamp i szlachetnych mebli Artek, ale największą ozdobą jest oprawiona framugami okien zieleń w ogrodzie, którą w ładny dzień można zaprosić do środka, otwierając szklane drzwi. Oto luksus dyskretny.

Dla zdeterminowanych

Ktoś powie, że to nie sztuka projektować dla krezusów z dobrym smakiem, którzy dają architektowi *carte blanche* i piękne zielone tereny. Owszem, ale Aalto ma na koncie również budynki użyteczności publicznej, domy dla szeregowych robotników (na które w zniszczonej wojną Finlandii zapotrzebowanie było ogromne) i sanatorium dla gruźlików w Paimio.

To właśnie z Paimio pochodzi słynne krzesło, które zapewniło Finowi międzynarodową sławę. Dzięki meblom ze sklejkі Aalto figuruje na pierwszych stronach wszystkich encyklopedii dizajnu. Sanatoryjne krzesło jest lekkie – idealne dla rachitycznych rącek – giętkie, przez co ułatwia zmianę pozycji i oddychanie, oraz bardzo wygodne. Równie znany jest fotel 404, bez tylnych nóg, idealny do wygodnej lektury i nazywany „fotelem emerytów”. Obydwa modele do dziś cieszą się ogromnym powodzeniem, nie tylko wśród starców i suchotników, co pokazuje, że dobry dizajn jest prosty i demokratyczny. Dan Norman udowadnia to na przykładzie obieraczki OXO (projektant miał żonę z artrozą), a ja obserwuję codziennie na pływalni, gdzie największa kolejka jest do prysznica dla niepełnosprawnych.

Oczywiście prostota niekoniecznie tożsama jest z minimalizmem. My oglądamy dziś lekko pustawę wnętrza domu-muzeum, w którym nikt nie mieszka. Za życia Louisa Carré na ścianach wisiały jednak obrazy wielkich artystów, których reprezentował olbrzymie kolorowe płótna Caldera, Picassa czy Légera. Dziś już ich nie ma, bo dostali je spadkobiercy Olgi, która w 1977 r. owdowiała i od tego czasu mieszkała w willi samotnie. Po jej śmierci w 2002 roku jej synowie zgodzili się sprzedać dom Fundacji Aalto. Zważywszy na charakter posiadłości – prawie czterysta metrów kwadratowych z podgrzewanym basenem, a całość sygnowana przez wielkiego architekta – cena była niemal symboliczna: jeden milion euro. Dzięki tej transakcji pasierbowie uniknęli jednak bardzo wysokich francuskich podatków spadkowych. No i zgarnęli sporo świetnej sztuki.



MATERIAŁY PRASOWE MLC

sywał budynki w krajobraz. Ociepłał wnętrza drewnem i tradycyjnymi materiałami”. Na długo zanim jego szwajcarski kolega po fachu Peter Zumthor pisał o architekturze, która „pozostaje w wyjątkowo cielesnym związku z życiem” i jest „tłem dla przemijającego życia, wrażliwym naczyniem dla rytmu kroków po podłodze, dla skupienia przy pracy, dla ciszy snu” („Myślenie architekturą”, przeł. Artur Kozuch), Aalto odrzucał chłodną geometrię na rzecz dialogu z naturą. I z klientem, którego życzeń uważnie słuchał.

Faktycznie, zarówno willa Mairea, jak i dom Louisa Carré stoją pod znakiem drewna i zieleni. W obu budynkach zachwyca przestrzeń, wpadające przez wielkie okna światło oraz niesamowita mieszanka przytulności i minimalizmu: jest tu

Od 2006 r. Maison Carré dostępny jest dla (zde-terminowanych) zwiedzających, którzy uczą się, że projektowanie wnętrz nie ma nic wspólnego z dobieraniem elementów według własnego widzi-mi się (wszystkie decyzje są tu przemyślane i uza-sadnione), oraz studentów architektury i dizajnu, którzy zapewne uczą się pokory, wsłuchiwanie się w potrzeby klienta i szacunku do natury. Fundacja wynajmuje też posiadłość na plany filmowe.

Miła wycieczka i pouczająca, bo Aalto, choć od prawie czterech dekad spoczywa na „helsińskich Powązkach”, czyli przepięknie położonym cmentarzu Hietaniemi, nadal pozostaje ważnym punktem odniesienia. Wyprzedził swoje czasy, bo w okresie powojennej prosperity oraz zachwytu przemysłem i plastikiem promował lokalność, drewno i sza-cunek dla natury.

W kimonie

Warto zaliczyć którąkolwiek z realizacji Aalto, bo można obej-rzeć tysiąc zdjęć, ale żeby w pełni zrozumieć jego geniusz, trzeba tej architektury doświadczyć. Dotknąć, jak pisze Zumthor, „twardego jądra piękna”. W Bazoches stanąć pod drewnianym stropem galerii i ze szczytu szerokich wersalskich schodów po-dziwiać zachód słońca w ogrodzie. W bibliotece w Wybörgu usiąść pod falującym drewnianym sufitem, a w kościele we włoskim Riola di Vergato poczuć spokój i światło Absolutu. Najle-piej oczywiście wybrać się do Finlandii, bo to w ojczyźnie Aalto budował najwięcej.

Można by nawet wysunąć śmiałą tezę, że w dobie kryzysu klimatycznego i rozwoju informatyki nie warto już jeździć do muzeów – dzieła dwuwymiarowe da się równie dobrze obejrzeć przez internet. Architektura to co innego, zwłaszcza architek-tura Alvara Aalto, dla którego światło, (metaforyczne) ciepło i dialog budynku z najbliższym otoczeniem były kluczowe. Podobnie jak detale, które niekoniecznie widać na zdjęciach. W domu Louisa Carré Fin zaprojektował nawet rynny i stu-dzienki kanalizacyjne z dyskretnym motywem kwiatowym. Pal licha Luwr, ruszajmy do Bazoches! A jeszcze lepiej do Helsi-nek czy Rovaniemi.



MATERIAŁY PRASOWE MLC

Sam Aalto sporo podróżował, głównie do Włoch, żeby kształcić gust, i do Stanów, gdzie wykładał. Fascynował się tra-dycyjną architekturą Japonii, ale nigdy nie zdecydował się na tak daleką wyprawę. Podobno wystarczyło mu kimono, które dostał w prezencie od ambasadora i które dla inspiracji zakła-dał do pracy.

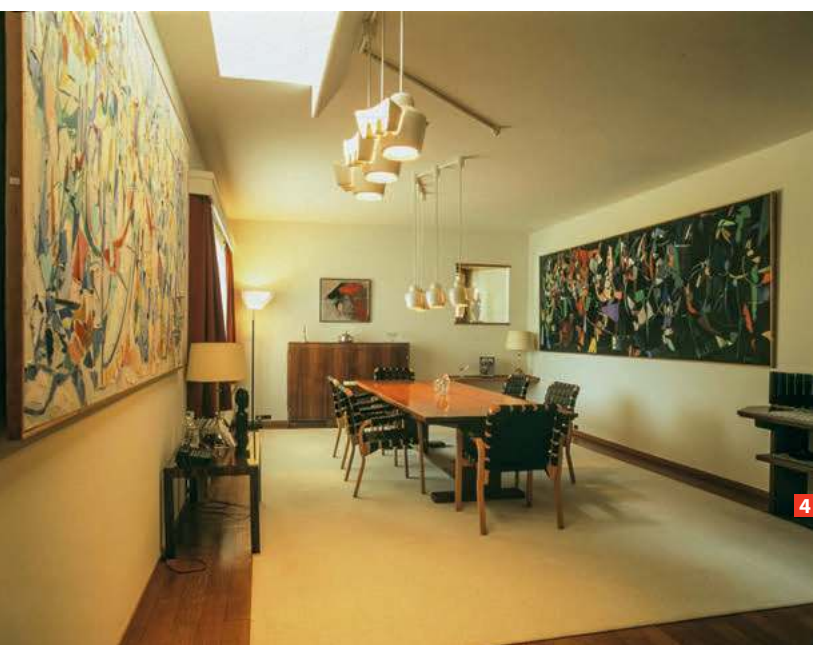
W ogóle to najbardziej lubił przebywać w ojczyźnie. Wnuk leśnika i syn geodety kochał rodzime lasy, jeziora i światło Północy. Projektował dla przyjaciół, pracował z żoną. A raczej z żonami, bo po śmierci Aino (w 1949 r. zmarła na raka) związał się z architektką Elszą Mäkinieni. Słynął też ze skromności – w przeciwieństwie do dzisiejszych „starchitek-tów” wcale nie chciał na siłę forsować swojego stylu ani sta-wiać pomników własnemu ego. I nawet projektując domki dla robotników, starał się szanować ich indywidualizm i lo-kalną specyfikę.

Człowiek wyprzedzający swoje czasy, ekolog, socjalista, fe-minista? Poniekąd, ale w pancerzu doskonałości nie brak szcze-lin. Twórcza współpraca z małżonkami wcale nie oznaczała, że uważał się za równe sobie. Zapytana, czy zdaniem ojca Aino miała przede wszystkim zajmować się dziećmi, a dopiero po-tem projektować, Hanni Aalto zaprzecza. Nie, zdaniem taty Aino miała przede wszystkim dbać o niego. W drugiej kolejno-ści o dzieci. Jej lampy i wazony były trzeciorzędne. Cóż, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. *Notabene*, tak właśnie Aalto nazwał zaprojektowaną przez siebie łódkę: „Nemo pro-pheta in patria” (skręcane do Nemo). To dzięki niej do-stawał się do eksperymentalnego domu letniskowego na wyspie Muuratsalo.

„Podobało ci się?” – pytam solenizanta, kiedy po dwugodzinnym zwiedzaniu wracamy autokarem z zie-lonego Bazoches do szarego Paryża. „Tak. Ten człowiek był geniuszem”. A willa zdecydowanie ma *genius loci* i Zumthorowską „magię realności”. © DOROTA MALINA

Maison Carré zwiedzać można w weekendy od marca do listopada. Rezerwacja obowiązkowa.
maisonlouiscarre.fr

1. Louis Carré (z lewej) i Alvar Aalto (w środku), 1959 r.
- 2-3. Dom Louisa Carré w Bazoches-sur-Guyonne, (wnętrze), 2014 r.
4. Wnętrze z roku 2002.



TOMASZ

Stawiszyński: Imagine



WYOBRAŹCIE SOBIE ŚWIAT, W KTÓRYM wielkie zbiorowe wydarzenia, w tym także ceremonie otwarcia międzynarodowych imprez, tworzone są z myślą, żeby łączyć, a nie dzielić.

Świat, w którym organizatorzy tych wydarzeń na pierwszym miejscu stawiają wrażliwość i dbałość o wspólne dobro. I próbują budować taką formę, która nikogo nie uwiera, nie prowokuje i nie drażni. I w której każdy czuje się spokojnie, czuje się przyjęty i widziany. Ze swoimi potrzebami i wartościami. Z tym, co dla niego najważniejsze.

To proste, wystarczy, że próbujecie.

Wyobraźcie sobie świat, w którym wszyscy starają się najpierw usłyszeć innych. A ewentualnie potem spierać się z nimi, kłócić albo walczyć. Wyobraźcie sobie świat, w którym wszyscy są dla siebie wyrozumiali. Nie wpadają we wściekłość albo histerię, kiedy tylko ktoś powie lub zrobi coś, co im się nie podoba. Świat, w którym wszyscy stosują takie same standardy wobec podobnych sobie oraz tych, którzy się od nich różnią.

Wyobraźcie sobie świat, w którym da się otwarcie debatować o najbardziej nawet trudnych i kontrowersyjnych sprawach. Bo nie ma tematów, których się nie porusza, albo których poruszenie grozi furią tego czy innego stronnictwa. Świat, w którym można bezpiecznie przyznawać się do wątpliwości, choćby największych. Świat, w którym wolno się bać i nie zostanie się za to wyśmianym albo uznanym za złego, ograniczonego czy zacofanego. Świat, w którym nikt nie posługuje się

szantażem moralnym i emocjonalnym. Nie blokuje dyskusji, kiedy nie jest ona w jego interesie. Świat, w którym wspólnie ustala się reguły, a nie taki, w którym ktoś je odgórnie narzuca.

To wcale nie jest trudne.

Wyobraźcie sobie świat, w którym ludzie – świadomi, że wiele ich różni, bo mają różne wartości i style życia – naprawdę chcą ze sobą rozmawiać. Świat, w którym każdy uczy się kontrolować swoje oburzenia i wściekłości, nie podłączać się pod kule śniegowe nienawiści i pogardy przetaczające się przez media społecznościowe. Gdzie każdy stara się puszczać w niepamięć drobne urazy. I nie koncentrować się bez przerwy na sobie.

Wyobraźcie sobie świat, w którym wszyscy – znając moc słów – dbają o to, co mówią i piszą. Nie tylko do tych i o tych, z którymi się zgadzają i identyfikują, których uważają za fajnych, mądrych i słuszych. Ale także do tych i o tych, których wyborów życiowych czy światopoglądowych nie tylko nie rozumieją, ale wręcz uważają je za błędne.

Wyobraźcie sobie...

Możecie powiedzieć, że jestem marzycielem.

Ale jest nas więcej.

Założę się, że też jesteście strasznie zmęczeni, wyczerpani i zaleknieni nieustannymi aferami i prowokacjami. Pogardą, agresją, odmową rozmowy. Permanentnym wzmożeniem. Plemienną mobilizacją, hipokryzją, podwójnymi standardami.

Dołączcie więc do nas. Nie ma innego sposobu, żeby przeciwstawić się tym zjawiskom, jak tylko przestać im ulegać. I zacząć budować inny sposób myślenia, komunikowania się i bycia.

To proste, wystarczy, że próbujecie.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie

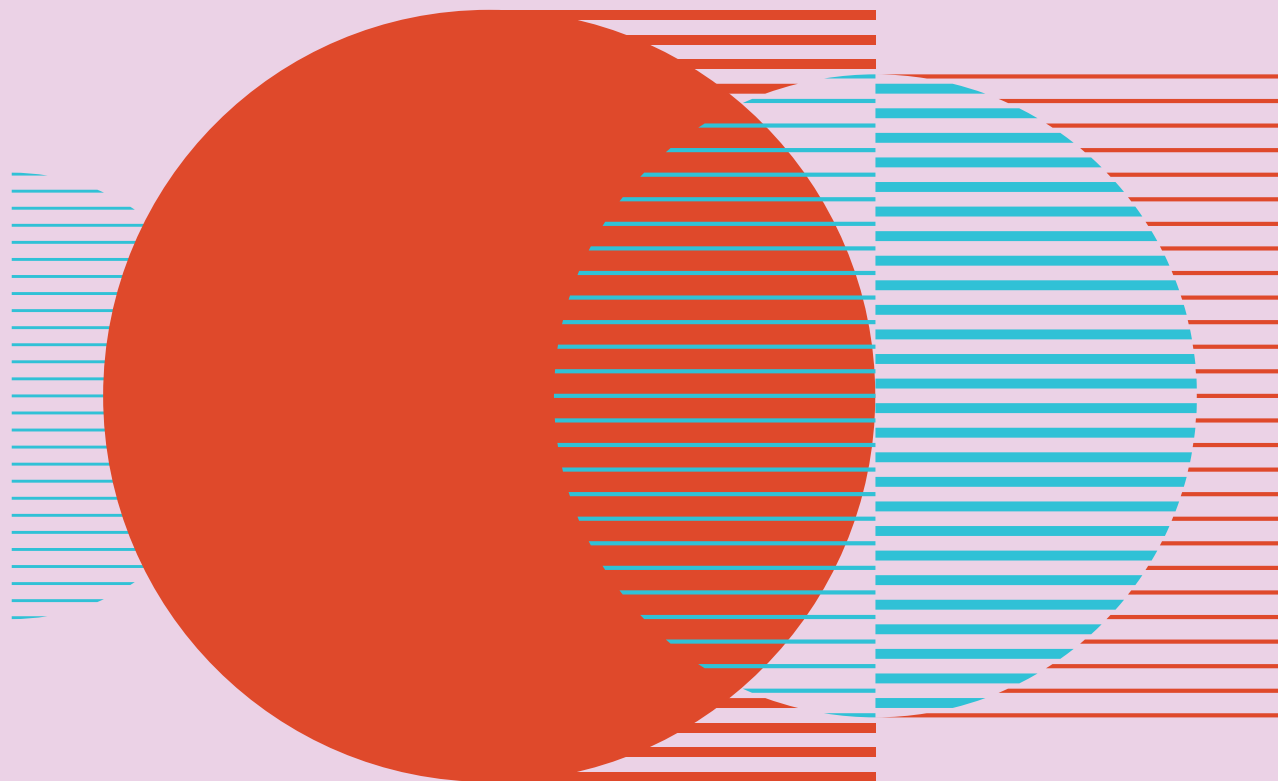


s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**



re:tradycja JARMARK JAGIELLOŃSKI

23–25
08.2024

Festiwal
muzyki
i rzemiosła
tradycyjnego

Stare Miasto
Lublin

wstęp wolny

retradycja.eu

koncerty:

Duality (POL)

Drëszë (POL)

Barrut (FRA)

Duo Ruut (EST)

Katarina Barruk (SÁ / SWE / NOR)

Lumpeks z gośćmi (FRA / POL)

potańcówki

wystawy

warsztaty

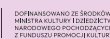
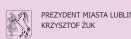
targi rzemiosła tradycyjnego

organizatorzy | organisers

patronat honorowy | honorary patronage

mecenas | patron

sponsor



MASZ TO W NATURZE